

NORA ROBERTS

**Ostatni
wiraż**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wpatrzona w podwozie sportowego MG, dokręcała śruby.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, Kirk, jaka ci jestem wdzięczna, że mi pożyczyłeś kombinezon - oznajmiła z lekką nutą ironii.

- Drobiazg, w końcu po to są bracia, prawda?

Choć leżąc pod samochodem miała widok jedynie na brudne tenisówki i postrzępione dżinsy, Foxy wiedziała, że Kirk uśmiecha się szeroko.

- Jak to dobrze, że nie masz żadnych bezsensownych uprzedzeń. Inni bracia mogliby się uprzeć, że sami naprawią skrzynię biegów.

- Och, nie jestem męskim szowinistą. - Tenisówki odeszły parę kroków, potem rozległ się brzęk

odkładanych na miejsce narzędzi. - Gdybyś nie uparła się zostać fotografem, przyjąłbym cię do zespołu serwisowego.

- Wiesz, tak się dziwnie składa, że wolę zapach wywoławacza od zapachu oleju silnikowego. - Przetarła ręką policzek. - Gdyby nie zlecono mi wykonania zdjęć do książki Pam Anderson, nie byłabym teraz cała utytłana smarem.

Słyszając serdeczny śmiech Kirka, uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za bratem. W ciągu tych dwóch lat, odkąd widzieli się po raz ostatni, nic się nie zmienił. Twarz wciąż miał ogorzałą, poznaczoną bruzdami, włosy - podobnie jak ona - gęste i kręcone, tyle że jego były w odcieniu ciemnego złota, a jej ognistej rdzy. No i wąsy. Miała sześć lat, a on szesnaście, kiedy się pojawiły. Od tej pory ani razu ich nie zgolił.

Uwielbiała brata. Jako dziecko patrzyła w niego jak w obrazek. Był jej idolem; pozwalał za sobą wszędzie łązić i nigdy się na nią nie złościł. To on nadał jej przydomek Foxy, które dziesięcioletnia Cynthia Fox przyjęła z radością. Gdy wyjechał z domu, żeby zawodowo ścigać się na torach wyścigowych, z niecierpliwością czekała na jego krótkie wizyty i listy. Miał dwadzieścia trzy lata - ona trzynaście - kiedy wygrał swój pierwszy ważny wyścig.

Był to dla niej trudny rok: z dziecka przeobrażała się w dziewczynę. Któregoś wieczoru wra-

cała z rodzicami z miasta. Słuchając muzyki Gershwina, którego jako trzynastolatka nie potrafiła docenić, leżała wyciągnięta na tylnym siedzeniu i patrzyła na uderzający w szybę śnieg. W końcu zamknęła oczy i zaczęła nucić pod nosem jakąś popularną piosenkę. Chciała już być w domu, by zadzwonić do przyjaciółki i porozmawiać na ulubiony temat: chłopców.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, samochód wpadł w poślizg. Zaczął się obracać, koła straciły przyczepność. Foxy zobaczyła wirującą za oknem biel, usłyszała, jak ojciec przeklina, usiłując zaprowadzić nad kierownicą. Zanim zdążyła się wystraszyć, samochód wpadł z hukiem na słup telegraficzny. Poczowała ostry ból, potem straszliwy ziać, a potem już nie czuła nic.

Obudziwszy się z trwającej dwa dni śpiączki, zobaczyła twarz Kirka. Ucieszyła się, po chwili jednak przypomniała sobie wypadek. Nie musiała o nic pytać; wszystko - znużenie, rozpacz, akceptację - wyczytała z oczu brata. Potrząsnęła głową, sprzeciwiając się prawdzie, której jeszcze jej nie wyjawiał.

- Mamy siebie, Foxy. - Pochylił się, delikatnie przytulając twarz do jej policzka. - Zaopiekuję się tobą.

I dotrzymał słowa, lecz zrobił to po swojemu. Przez kolejne cztery lata Foxy jeździła tam, gdzie odbywały się wyścigi. Naukę pobierała

od prywatnych korepetytorów. W owym czasie poznała nie tylko historię Stanów Zjednoczonych czy algebrę; nauczyła się również rozbierać na części i składać z powrotem silniki. Dorastała w świecie mężczyzn, w którym królował zapach benzyny i ryk samochodów.

Kirk miał w życiu jedną wielką pasję: wyścigi. Do tego stopnia go pochłaniały, że czasem zapominał o istnieniu siostry. Nie przeszkadzało jej to. Drobne niedoskonałości sprawiały, że jeszcze bardziej go kochała. Żyła bez żadnych nakazów i zakazów, lecz zawsze czuła się bezpieczna.

Potem wyjechała na studia. Mieszkała w żeńskim akademiku, zdobywała wiedzę i doświadczenie. Poznawała zarówno świat, jak i samą siebie. Szybko przekonała się, że nie pasuje do różnych klubów ani korporacji; za bardzo ceniła wolność i swobodę, do której przywykła w dzieciństwie, aby żyć według narzuconych z góry reguł. Na randki też się nie umawiała; koledzy z uczelni wydawali się jej strasznie niedojrzali.

Zaczynała studia jako chuda, niezdarna dziewczyna; kończyła jako młoda kobieta obdarzona wdziękiem, własnym stylem oraz zamiłowaniem do fotografii. Przez kolejne dwa lata szkoliła swoje umiejętności. Obecne zlecenie przyjęła z ogromną radością: stanowiło wyzwanie, a jednocześnie pozwalało jej spędzić jakiś czas z bratem.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale od ponad dwóch

lat nie leżałam pod samochodem - powiedziała, przykręcając ostatnią śrubę.

- A co robisz, jak coś się zepsuje? - spytał Kirk, rzucając okiem na silnik.

- Oddaję wóz do warsztatu.

- Nie żartuj! Jesteś fachowcem. - Przykucnął i ze zgorzszą miną popatrzył siostrze w twarz.

- Kara za takie przestępstwo wynosi co najmniej dwadzieścia lat.

- Nie mam czasu. - Foxy westchnęła ciężko.

- Ale - dodała szybko, chcąc uzyskać przebaczenie - w zeszłym miesiącu sprawdziłam wszystkie styki, świece, filtry i tym podobne.

Kirk delikatnie opuścił maskę, po czym przetarł ją czystą ściereczką.

- Mało jest takich aut jak to. Ja bym nie pozwalał być komu się nim zajmować.

- Trudno, żebym za każdym razem podrzucała je Charliemu. Poza tym... - Urwała, słysząc, jak ktoś podjeżdża pod garaż.

- Hej, biznesmenie, co cię tu sprowadza? - spytał ze śmiechem Kirk.

- Sprawdzam, jak się miewa moja inwestycja.

Lance Matthews. Foxy natychmiast rozpoznała jego głos. Odruchowo zacisnęła ręce w pięści. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała, że Lance również ma na sobie dzinsy, wprawdzie nie poplamione smarem, ale też postrzępione. Spokojnie, nie denerwuj się, powtarzała w myślach.

Przecież nie można się na kogoś gniewać przez sześć lat. Może facet się zmienił? Nie bardzo jednak w to wierzyła.

- Nie dałem rady dotrzeć na poranny trening. Jak się auto spisało?

- Świetnie. - Rozległ się dźwięk otwieranej puszki z piwem. - Charlie chce je jeszcze raz obejrzeć, ale już nic nie można poprawić.

Wiedziała, że brat zapomniał o jej obecności; myślał tylko o samochodzie i zbliżającym się wyścigu. Po chwili poczuła znajomy zapach cygara. Wierzchem dłoni potarła nos, jakby usiłowała wyłączyć receptory węchowe.

- Nowe autko? - spytał Lance, podchodząc do MG. - Wygląda identycznie jak to, które kupiłeś siostrze. Swoją drogą, co u niej? Wciąż się bawi aparatami?

Rozżłoszczona, wyturlała się spod samochodu. Na twarzy Lance'a odmalowało się zdumienie.

- Nic dziwnego, że wygląda identycznie - oznajmiła chłodno i usiadła. - A aparatami się nie bawię. Robię nimi zdjęcia. To moje narzędzia pracy.

Włosy miała uczesane w koński ogon, twarz brudną od smaru. Ubrana w luźny kombinezon, który skrywał jej kształty, ścisnęła w ręce narzędzie. Mimo że nie posiadała się z oburzenia, nie mogła oderwać od Lance'a oczu. Nie był przystojny w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Czarne fału-

jące włosy opadały mu na kołnierz. Oczy raz miał stalowoszare, kiedy indziej prawie czarne, zależnie od humoru. Regularne, niemal klasyczne rysy psuła biała szrama nad lewą brwią. Był wyższy od Kirka i nieco chudszy. Przed laty należał do najlepszych kierowców wyścigowych na świecie. Znawczy twierdzili, że miał ręce chirurga, instynkt wilka, odwagę diabła. W wieku trzydziestu lat zdobył tytuł mistrza świata i wycofał się z wyścigów. Z rzadkich listów brata Foxy wiedziała, że od trzech lat Lance sponsoruje innych kierowców.

- No proszę, mała Foxy we własnej osobie.

- Wykrzywił w uśmiechu wargi. - Nic a nic się nie zmieniłaś.

- Ty też nie - warknęła, zła, że podczas pierwszego od sześciu lat spotkania z Lance'em ma na sobie brudny kombinezon. - Wielka szkoda.

- Widzę, że język ci się nie stępił. - Najwyraźniej bawiło go, że wciąż zachowuje się jak niegrzeczny urwis. - Tęskniłaś za mną?

- Ani trochę. - Z butną miną podała bratu narzędzie.

- Dalej nie czuje respektu przed starszymi - stwierdził Lance, nie spuszczać z niej wzroku.
- Pocałowałbym cię na powitanie, ale nie przepadam za olejem silnikowym.

Swoim zwyczajem drażnił się z nią. Foxy instynktownie uniosła brodę.

- Na szczęście dla nas obojga, Kirk ma nieograniczone zapasy różnych smarów.

- No, siostrzyczko, wyskakuj z kombinezonu, bo inaczej wcielę cię do zespołu - ostrzegł Kirk.

- Co najmniej do końca sezonu.

- Zamierzasz towarzyszyć nam do końca sezonu, Foxy? - zdziwił się Lance. - Długie wakacje...

- Mylisz się. - Wytarła ręce o nogawki. - Przyjechałam tu jako fotograf, nie jako widz.

- Foxy współpracuje z tą dziennikarką Pam Anderson - wyjaśnił Kirk, podnosząc do ust puszkę z piwem. - Nie mówiłem ci?

- Wspominałeś o dziennikarce - odparł Lance. Zmrużywszy oczy, przyglądał się Foxy, jakby chciał dojrzeć, co się kryje pod warstwą smaru.

- Czyli co, znów jedziesz w trasę?

Wstrzymała na moment oddech. Tak jak i dawniej, od Lance'a biła zwierzęca zmysłowość; nic się nie zmieniło.

- Owszem. Jaka szkoda, że ciebie z nami nie będzie.

- Mylisz się, złotko. - Oczy lśniły mu wesoło.

- Kirk ściga się moim samochodem. Zamierzam mu kibicować. - Zerknął na przyjaciela. - Pewnie spotkam Pam Anderson na przyjęciu, które wieczorem wydajesz, prawda? A ty, Foxy, nie myj twarzy. - Ruszył do drzwi. - Boję się, że mógłbym cię nie rozpoznać. Aha, i zarezerwuj dla mnie przynajmniej jeden taniec.

- Wypchaj się! - zawołała, po czym pokręciła głową, zła na siebie za swoje dziecinne zachowanie. - Twój gust, jeśli chodzi o dobór przyjaciół, nie przestaje mnie zadziwiać - rzekła do brata.

Na wieczór wybrała suknię z krótkim żakiecikiem z cieniutkiego krepdeszynu w kolorze przydymionej zieleni i lawendy, bez rękawów, opiętą u góry, rozkloszowaną u dołu. Ponętnie i romantycznie, pomyślała z satysfakcją, przyglądając się sobie w lustrze.

Do uszu wpięła małe złote kolczyki, po czym jeszcze raz zmierzyła się krytycznym wzrokiem. Ale się Lance Matthews zdziwi! Zobaczysz, że Cynthia Fox nie jest już podlotkiem.

Lśniące rude loki opadały jej na ramiona i plecy. Twarzy o wysokich kościach policzkowych nie zdobiły żadne czarne smugi. Foxy cofnęła się krok od lustra. Oczy miała migdałowe w kształcie, o zielonkawo-szarawej barwie, nos prosty, wargi pełne. Stanowiła zlepek kontrastów. Było w niej coś z płóchej sarny i dzikiej tygrysicy. Szczupła sylwetka i delikatna cera sprawiały, że wydawała się krucha, a płomienne włosy i nieulekłe spojrzenie świadczyły o dużym temperamencie.

Wkładała buty, kiedy rozległo się pukanie.

— Foxy, mogę wejść? - Dziennikarka wsunęła głowę do pokoju, po czym pchnęła szerzej drzwi.
- Wyglądasz rewelacyjnie.

- Ty też.

Jasnoniebieski szyfon idealnie pasował do nieco lalkowatej urody Pam. Przyglądając się jej, Foxy zastanawiała się, skąd ta drobna kobieta czerpie siłę, aby uprawiać tak trudny i wyczerpujący zawód. Mimo cichego głosiku i wyglądu niewiniątka przeprowadzała błyskotliwe wywiady nawet z ludźmi, którzy wywiadów nie lubią udzielać. Poznały się pół roku temu i chociaż Pam była starsza o pięć lat, w Foxy z miejsca obudziły się instynkty opiekuńcze.

- Jak miło rozpocząć pracę od przyjęcia, prawda? - Usiadłszy na łóżku, Pam obserwowała, jak Foxy czesze włosy. - Twój brat ma piękny dom. A mój pokój... hm, to marzenie.

- Oboje mieszkaliśmy tu jako dzieci. - Foxy przysunęła do nosa flakonik perfum. - Kirk postanowił zatrzymać dom z powodu jego bliskości z Indianapolis. Gdyby mógł, najchętniej zamieszkałby na torze wyścigowym - dodała ze śmiechem.

- Jest czarującym człowiekiem. - Pam poprawiła ręką swoją krótką fryzurę.

- O tak... - Zbliżywszy twarz do lustra, Foxy pociągnęła szminką usta. - Jest czarujący, dopóki nie zaczyna myśleć o zawodach. Wtedy zamyka się w sobie, staje się nieobecny. Pam... - Napotkała w lustrze spojrzenie dziennikarki. - Ponieważ będziemy mu towarzyszyć przez cały sezon, powinnaś wiedzieć, że Kirk... - westchnęła - niekie-

dy bywa oschły, nerwowy i nieuprzejmy. Uwielbia wyścigi, rywalizację. Czasem zapomina, że w przeciwieństwie do samochodów ludzie to żywe czujące istoty.

- Bardzo go kochasz. - Było to stwierdzenie, a nie pytanie. Właśnie niezwykłej przenikliwości i spostrzegawczości Pam zawdzięczała sukces zawodowy.

- Ponad życie. - Odwróciwszy się, Foxy popatrzyła przyjaciółce w oczy. - Zwłaszcza odkąd zostaliśmy sami. Kirk naprawdę nie musiał się mną opiekować. Uświadomiłam to sobie w pełni dopiero wtedy, kiedy wyjechałam na studia. Mógł mnie umieścić w rodzinie zastępczej; nikt by mu nie miał tego za złe. Niektórzy wręcz krytykowali go za to, że tak nie postąpił. Ale ja... może kiedyś zdołam mu się odpłacić za wszystko, co dla mnie zrobił. - Ruszyła do drzwi. - Zejdę sprawdzić, czy pracownicy firmy cateringowej niczego nie potrzebują.

- Pójdę z tobą. - Pam wstała z łóżka. - Słuchaj, a co masz przeciwko temu Lance'owi? Z moich informacji wynika, że facet kiedyś odnosił duże sukcesy jako kierowca, a obecnie szefuje Matthews Corporation, firmie projektującej wozy wyścigowe. Jest właścicielem i projektantem kilku bolidów biorących udział w mistrzostwach Formuły 1, między innymi tego, który będzie prowadził twój brat. - Zmarszczyła z namysłem czoło,

usiłując sobie przypomnieć więcej faktów z życia Lance'a. - Pochodzi z bardzo starej i bardzo zamożnej rodziny mieszkającej w Bostonie albo New Haven, która dorobiła się majątku na... hm, chyba na przewozach morskich. A może na handlu?

- Owszem. Są zamożni, mieszkają w Bostonie i dorobili się na handlu - oznajmiła Foxy, kiedy schodziły na dół. - Błagam, nie chcę rozmawiać o Lansie.

- Czyżbym słyszała nutkę wrogości w twoim głosie?

- Nutkę? Raczej cały akord!

W jadalni na przykrytych niebieskimi obrusami stołach stały drewniane talerze i miski. Środek głównego stołu ozdobił gliniany wazon pełen gałązek derenia i żonkili. W drewnianych świecznikach paliły się żółte pękate świece.

- Ładnie to wszystko wygląda - powiedziała Foxy, kiwając z uznaniem głową. Z trudem powstrzymała się, aby nie poczęstować się paroma ziarnkami kawioru.

Z kuchni wyłonił się właściciel firmy cateringowej, niski, łysiejący mężczyzna, który resztkę włosów na skroniach i z tyłu głowy miał ufarbowaną na kruczoczarny kolor. Wsunął się pomiędzy Foxy a miskę z kawiozem, jakby własnym ciałem zamierzał bronić do niej dostępu.

- Zeszły panie za wcześnie. Goście zjawiają się najwcześniej za kwadrans.

- Jestem Cynthia Fox, siostra pana Kirka. - Foxy uśmiechnęła się przyjaźnie. - Pomyślałam, że może mogłabym w czymś pomóc.

- Pomóc? Broń Boże! - Mężczyzna wykonał taki ruch ręką, jakby chciał odpędzić Foxy od stołu; jakby była muchą, która usiłuje przysiąść na pasztecie. - Proszę niczego nie dotykać. Wszystko jest zharmonizowane.

- Pięknie zharmonizowane - przyznała Pam, ściskając przyjaciółkę za łokieć. - Chodź, kochanie, nalejemy sobie drinka i poczekamy na gości w salonie.

- Co za bufon! - mruknęła Foxy, opuszczając jadalnię. Na widok barku roześmiała się wesoło.

- O rany! Pułk wojska nie wypiłby tego przez rok!

- Spojrzała na Pam, która usiadła w fotelu. - Chętnie bym ci coś zaproponowała, ale potrafię przyrządzać jedynie dżin z tonikiem, który Kirk pija.

- Możesz mi nalać kieliszek wytrawnej sherry, jeśli takową znajdziesz. A ty czego się napijesz?

- Niczego. - Zaczęła szukać butelki z sherry.

- Po wypiciu staję się przesadnie szczerą, zapominam o dyplomacji. Znasz Joyce Canfield, szefową pisma „Wedding Day”?

Pam skinęła głową.

- Parę miesięcy temu spotkałyśmy się na jakimś przyjęciu. Wcześniej fotografowałam do jej pisma stroje ślubne. Na tym przyjęciu Joyce pyta mnie, jak mi się podoba jej suknia. Popijając

drugiego szprycera, przyglądam się jej znad kieliszka i w końcu oznajmiam, że powinna unikać koloru żółtego, bo wygląda w nim tak, jakby miała początki żółtaczki. - Odszedłszy od baru, podała Pam kieliszek sherry. - Idiotka! Od tamtej pory nie dostałam ani jednego zlecenia od „Wedding Day”.

Dźwięczny śmiech Pam wypełnił pokój.

- W porządku, nie będę zadawać ci żadnych kłopotliwych pytań, kiedy trzymasz w ręce kieliszek. - Przez chwilę obserwowała, jak Foxy delikatnie gładzi brzeg szafki. - Jak się czujesz z powrotem w domu?

- Dziwnie. Tyle mam stąd wspomnień... - Podeszła do okna i odciągnęła na bok zasłonę.

Słońce wisiało nisko na niebie, zalewając świat ciepłym złocistoczerwonym światłem.

- Właściwie to jest jedyne miejsce, które mogę nazwać domem, bo Nowy Jork się nie liczy. Od śmierci rodziców ciągle się przenoszę z kąta w kąt. Najpierw jeździłam z Kirkiem, teraz jako fotograf stale zmieniam adresy. Nagle do mnie dotarło, że nigdzie nie zapuściłam korzeni.

- A chciałybyś?

- Zapuścić korzenie? Nie wiem. - Kiedy się odwróciła, na jej twarzy malował się wyraz zadumy. - Sama nie wiem. Ale chyba tak. - Zmrużyła oczy, jakby usiłowała dojrzeć coś, co ciągle umykało jej uwadze.

- O czym rozmawiacie?

Podskoczyła nerwowo. Kirk stał oparty o framugę, z rękami w kieszeniach i leniwym uśmiechem na ustach.

- No proszę... Jedwab? - Foxy podeszła do brata i poprawiła kołnierzyk jego koszuli. - W tym stroju wszystkie silniki omijasz z daleka, co?

Pociągnął ją za kosmyk włosów i pocałował w czubek nosa. W butach na wysokich obcasach niemal dorównywała mu wzrostem. Jacy oni są do siebie niepodobni, przemknęło Pam przez myśl. Jedyne włosy mieli identyczne - gęste i kręcone. Kirk był całkowicie pozbawiony wdzięku i elegancji swojej siostry. Obserwując jego profil, Pam poczuła, jak przebiega ją dreszcz. Czym prędzej opuściła wzrok. Praca i dreszcz to niebezpieczna kombinacja.

- Przyrządę ci drinka - zaproponowała Foxy, zwracając do baru. - Do jadalni nie wolno nam się zbliżać przez - spojrzała na zegarek -jeszcze dwie i pół minuty... Ojej, nie ma lodu. - Zamknawszy kubeczek na lód, wzruszyła ramionami. - Dobra, zbiorę się na odwagę i wejdę tam... Pam pije sherry - rzuciła przez ramię, znikając w jadalni.

- Dolać ci? - spytał Kirk, przenosząc wzrok na dziennikarkę.

- Nie, dziękuję. - Podniosła kieliszek do ust. - Nie miałam okazji podziękować ci za gościnę. Nawet nie wiesz, jaka to przyjemność spać w domu, a nie w hotelu.

- Wiem. Spędzam w nich połowę życia.
- Uśmiechając się szeroko, usiadł naprzeciwko niej.

Po raz pierwszy, odkąd wczoraj się poznali, byli sami. Pam zignorowała dreszcz, który znów przebiegł jej po plecach. Z pudełka na stole Kirk wyjął papierosa. Zapaliwszy go, przez chwilę bacznie przypatrywał się dziennikarce. Co widział? Klasę. Wdzięk. Inteligencję. Pam Anderson różniła się od amateerek wyścigów samochodowych, które licznie oblegają kierowców.

- Foxy często o tobie opowiada. Mam wrażenie, jakbym cię znała. - Ugryzła się w język. Przestań pleść banały, zganiła się w duchu. Ponośnie pociągnęła łyk sherry. - Nie mogę się doczekać wyścigu.

- Ja też. - Kirk rozparł się wygodnie w fotelu. - Nie wyglądasz na kogoś, kogo podnieca ryk silników i szybkość osiągana na zakrętach.

- Nie? A na kogo wyglądam?

Zaciągnął się papierosem.

- Na kobietę, która lubi szampana i Chopina.

- To prawda, lubię - przyznała, nie odrywając od niego wzroku. - Ale interesuje mnie wiele różnych rzeczy. Liczę na to, że okażesz się szczodry i podzielisz ze mną swoją wiedzę.

Przysłonięte wąsami kąciki warg lekko zadrżały.

- Potrafię być bardzo hojny - rzekł, zastana-

wiając się, czy jej skóra rzeczywiście jest jedwabista, czy tylko mu się tak wydaje. Jego rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi.

Kirk wstał, wyjął z ręki Pam pusty kieliszek i podciągnął ją na nogi. Serce zabiło jej mocniej.

- Jesteś mężatką? - spytał.
- Co? Nie - odparła zaskoczona.
- To dobrze. Nie lubię sypiać z mężatkami.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co powiedział.

- Co za tupet...
- Posłuchaj - przerwał jej. - Zanim sezon dobiegnie końca, wylądujemy w łóżku. Na sto procent.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli odrzucę twoją wspaniałomyślną ofertę? - spytała lodowatym tonem.

- Byłaby wielka szkoda - odparł ze wzruszeniem ramion, po czym biorąc ją za rękę, ruszył do drzwi. - Musimy otworzyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

W ciągu następnej godziny dom stopniowo zapełniał się ludźmi, hałas rósł. Otwarto drzwi na patio i do ogrodu, aby goście - kierowcy, mechanicy, żony jednych i drugich oraz zaprzyjaźnieni kibice - mogli swobodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce. Wieczór był ciepły i bezwietrzny.

Foxy krążyła wśród gości, wcielając się w rolę gospodyni. Harmonia, która panowała na stole, została dawno zburzona; tace, talerze i sztucce leżały porozrzucane po całym domu. Ludzie stali w grupkach, pijąc, śmiejąc się, rozmawiając.

Przechodziła koło drzwi, kiedy ponownie roz-

legł się dzwonek. Uśmiech na jej twarzy zgasł na widok Lance'a. Poczowała jednak satysfakcję, gdy w jego szarych oczach ujrzała wyraz zaskoczenia. Zmarszczywszy czoło, Lance powiódł po niej wzrokiem. Wyglądał jak klient w galerii sztuki, który rozważa kupno drogiej rzeźby do gabinetu. Foxy odruchowo wyprostowała ramiona i zirytowana odwdzięczyła się tym samym: zmierzyła go od stóp do głów.

Miał na sobie czarne spodnie i czarny golf. Stał bez ruchu, tajemniczy, przystojny, niebezpieczny.

- No, no, no - powiedział cicho i uśmiechnął się, widząc jej naburmuszoną minę. - Chyba jednak się pomyliłem.

- Pomyliłeś się? - Zamknęła drzwi. - Nie rozumiem.

- Jednak się zmieniłaś. - Ujął ją za rękę, nic sobie nie robiąc z tego, że usiłowała je wyszarpnąć. Ponownie powiódł po niej wzrokiem. - Wciąż jesteś przeraźliwie chuda, ale na szczęście w paru ważnych miejscach ładnie się zaokrągliłaś.

Zadrzała, jakby owiał ją rzeński wiaterek. Zła na siebie, próbowała się oswobodzić. Bez skutku.

- Daruj sobie komplementy, Lance. I bądź łaskaw mnie puścić.

- Jasne. Za chwilę. - Nie odrywał od niej oczu. - Wiesz, ciekaw byłem, co z ciebie wyrośnie. Zawsze miałaś mnóstwo wdzięku, nawet jak chodziłaś umazana smarem.

- Dziwię się, że pamiętasz. - Zrezygnowana, przestała się wrywać. Wiedziała, że i tak nic nie wskóra. Przyjrzała mu się uważnie, szukając jakichś skaz, które mogły pojawić się na twarzy Lance'a w ciągu ostatnich sześciu lat. - Nic a nic się nie zmieniłeś.

- Miło mi to słyszeć. - Puściwszy jej ręce, objął ją w tali i skierował się w stronę salonu.

- To nie miał być komplement - mruknęła. Zrobiło się jej ciepło, gdy obdarzył ją promiennym uśmiechem. Tak łatwo poddać się jego urokowi! - Myślę, że znasz tu wszystkich - rzekła, oswobadzając się. - Na pewno też znasz drogę do baru.

- Foxy, Foxy... czarująca, jak zwykle. - Pokręcił z rozbawieniem głową. - Jeśli dobrze pamiętam, dawniej nie czułaś do mnie takiej niechęci.

- Byłam młoda i głupia.

- Lance, kochanie! - zawołała Honey Blackwell, śliczna, mocno umalowana, niezwykle bogata blondynka o krótkich włosach i figurze modelki.

Zdaniem Foxy, była to największa pijawka w świecie wyścigów samochodowych. Nie potrafiła żyć bez codziennego zastrzyku adrenaliny. Zrzuciwszy Lance'owi ręce na szyję, pocałowała go na powitanie.

- Widzę, że nie muszę was sobie przedstawiać - stwierdziła kwaśno Foxy, po czym odwróciła się, by odejść w stronę rozmawiającej z ożywieniem

grupki gości. Nagle poczuła, że ktoś przytrzymuje ją za łokieć.

- Cześć. Wiedziałem, że prędzej czy później cię dopadnę. Jestem Scott Newman.

- Cześć. Cynthia Fox.

- Wiem. - Ucisnęła jej dłoń. - Siostra Kirka.

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Ujmująca twarz, piwne oczy, prosty nos, szerokie, skóre do uśmiechu usta, ciemnoblonde włosy, wzrost średni, szczupła sylwetka. Dość przystojny, ładnie opalony. Ubrany w doskonale skrojony trzyczęściowy garnitur wyglądał jak młody, przedsiębiorczy człowiek wspinający się po szczeblach kariery. Szkoda, że do beżowego garnituru nie włożył nieco ciemniejszej koszuli, pomyślała odruchowo Foxy.

- Podejrzewam, że w najbliższym czasie będziemy się często widywać - rzekł.

- Tak?

- Jestem menedżerem Kirka odpowiedzialnym za sprawy organizacyjne. Załatwiam bilety, rezerwuję hotele i tym podobne rzeczy. - Podniósł do ust kieliszek.

- Rozumiem. - Foxy odrzuciła do tyłu włosy.

- Nie było mnie parę lat, więc... - Kątem oka dojrzała Kirka, który stał z atrakcyjną brunetką przy boku, otoczony grupą ludzi. - Dawniej sami wszystko organizowaliśmy: transport, hotele...

Przypomniała sobie, jak zmęczona zasypiała na tylnym siedzeniu samochodu w warsztacie

cuchnącym smarami i dymem papierosowym. Albo na trawie przy torze wyścigowym.

- W ostatnich dwóch latach zaszło sporo zmian - zauważył Scott. - Kirk zaczął wygrywać ważne zawody. Jego kariera nabrała tempa i blasku. Nie bez znaczenia okazała się pomoc Lance'a Matthews.

- Istotnie. - Foxy roześmiała się cicho. - Pieńki grają niemałą rolę.

- Nic nie pijesz? - Zauważył brak kieliszka w jej dłoni, umknęła mu jednak ironia w jej głosie.

- Zapraszam cię do baru.

Zgodziła się chętnie, żeby nie myśleć o Lansie.

- Na co masz ochotę?

Popatrzyła na Scotta, a potem na barmana.

- Poproszę szprycera.

Promienie księżycy przedzierały się przez młode listowie. Zalane srebrzystym blaskiem wiosenne kwiaty wydzierały słodką woń. Wyczuwało się zapowiedź lata.

Wzdychając głośno, Foxy usiadła na białej huśtawce i oparła stopy o podnózek. Kuchennymi drzwiami wymknęła się do ogrodu za domem; marzyła o chwili spokoju. Z daleka docierały do niej odgłosy przyjęcia. Rozkoszując się czystym, świeżym powietrzem - w salonie męczył ją zapach perfum zmieszanych z dymem papierosowym - zaczęła się leniwie huśtać.

Scott Newman... Hm, co o nim wie? Że jest przystojny i kulturalny, w dodatku inteligentny i wyraźnie się nią interesuje. Niestety, jest także nudny.

Po niebie przetoczyły się chmury, na moment zasłaniając księżyc. Psiakość, dlaczego wszystkich ciągle tak krytycznie oceniam? - pomyślała. Czy facet musi stać na jednej nodze i żonglować pięcioma piłeczkami, żeby wzbudzić moje zaciekawienie? Na kogo czekam? Na księcia? Na rycerza w srebrnej zbroi? Zadumała się. Nie, księżę czy rycerz to postaci zbyt szlachetne, nieskalane. Wolała człowieka z krwi i kości, z paroma skazami. Kogoś, kto potrafiłby ją rozzłościć i rozśmieszyć, kto doprowadzałby ją do łez i przyprawiał o dreszcz podniecenia. Pokręciła ze śmiechem głową; czy istnieje ktoś, kto ma poszukiwane przez nią cechy? Mało prawdopodobne. Skrzyżowała nogi w kostkach. Chcę kogoś szalonego, a zarazem delikatnego, pomyślała, wpatrując się w niebo. Silnego i czułego, mądrego, a zarazem niepoważnego. Co za wymagania! Gdzieniegdzie zza chmur wyłaniały się migoczące jaskrawo gwiazdy.

- O czym marzysz?

Rozejrzała się, szukając właściciela głosu. Nieopodal zobaczyła ciemną sylwetkę, która poruszała się z wdziękiem pantery. Czarny strój Lance'a zlewał się z czernią drzew, ale oczy mu lśniły.

Przez moment miała wrażenie, jakby z podmiejskiego ogrodu trafiła do dzikiej dżungli.

- O czym marzysz? - powtórzył cicho.

Nagle zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Wolno wypuściła z płuc powietrze. Po skórze przeszło ją mrowie.

- Och, o wszystkim - odparła lekkim tonem.

- Co tu robisz? Myślałam, że będziesz otoczony wianuszkami długonogich blondynek.

- Zapraǳnałem świeżego powietrza - odparł.

- I odrobiny ciszy.

Zaskoczona, że mają identyczne potrzeby, zamknęła oczy.

- Jakim cudem udało ci się odkleić od tej lepkiej seksbomby?

Mimo zaciśniętych powiek czuła, że Lance na nią patrzy.

- Ho, ho, widzę, że urosły ci pazurki. Tylko nie rozumiem, dlaczego je na mnie ostrzysz.

Otworzywszy oczy, napotkała jego wzrok. Faktycznie, od pierwszej chwili zachowywała się nieładnie wobec Lance'a.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie wiem, co mnie naszło. Na ogół nie warczę na ludzi. Usiądź. Obiecuję, że będę miła.

Spodziewała się, że spocznie w fotelu naprzeciwko, on jednak usiadł obok niej na huśtawce. Foxy zesztyniała. Nieświadomy jej reakcji, wyciągnął nogi i, podobnie jak ona, oparł je o podnózek.

- Lubię pojedynki, ale czasem trzeba zrobić sobie przerwę.

Wyjął zapalniczkę oraz długie cienkie cygaro. W ciemności nocy zamigotał płomień. Po chwili w powietrzu rozszedł się znajomy zapach.

- Przerwę w pojedynkach, powiadasz? Hm, może nam się uda. - Obróciła się do Lance'a twarzą. Kąciki ust jej zadrgały. - To o czym będziemy rozmawiać? O pogodzie, o najnowszym bestsellerze czy o systemie politycznym Rumunii? Już wiem! - Podparła dłońią brodę. - O wyścigach. Powiedz, wolisz projektować samochody czy się na nich ścigać? Większe nadzieje pokładasz w wozie, który zaprojektowałeś na tor w Indianapolis czy na wyścigi Formuły 1? W walce o Grand Prix Kirk radzi sobie całkiem nieźle, prawda? Podobno ma bardzo szybkie, niezawodne auto.

Lance uniósł brwi.

- Wciąż studiujesz pisma poświęcone wyścigom, co?

- Gdybym nie była na bieżąco, Kirk nigdy by mi tego nie wybaczył. - Roześmiała się wesoło.

- To się akurat nie zmieniło. Nawet jako piętnastolatka miałaś niezwykle seksowny śmiech - wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie.

Wypuścił z ust obłok dymu. W blasku księżyca włosy dziewczyny wyglądały tak, jakby tańczyły w nich dziesiątki maleńkich srebrzystych płomieni.

- Twoja firma mieści się w Bostonie, prawda?
- spytała, kierując rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Pewnie tam spędzasz teraz większość czasu?

Sprytnie zagranie, pomyślał z uśmiechem.

- Owszem. Znasz Boston? - Niedbałym ruchem położył ramię na oparciu huśtawki.

- Nie, ale chciałabym tam kiedyś pojechać. Podobno to bardzo piękne miasto. Pełne kontrastów. Z jednej strony stare domy porośnięte bluszczem, z drugiej nowoczesne konstrukcje ze stali i szkła. Widziałam wspaniałe zdjęcia...

- A ja niedawno widziałem jedno z twoich.

- Tak? - Odwróciła się z zaciekawioną i ze zdumieniem odkryła, że ich twarze niemal się stykają.

Poczuła na wargach ciepły oddech Lance'a. Coś ją do niego ciągnęło, jakaś niesamowita siła. Najwyższym wysiłkiem woli odsunęła się od niego.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Przedstawiało zimowy pejzaż. Nie było śniegu, jedynie szadź na bezlistnych drzewach. Park, ławka, na ławce starzec przykryty szaroburym płaszczem. Promienie wschodzącego słońca przeźdierały się przez gałęzie i padały na śpiącą postać. Zdjęcie było przejmujące, piękne, a zarazem smutne.

Przez chwilę milczała; nie wiedziała, co powiedzieć. Nie spodziewała się, że ktoś taki jak Lance

Matthews okaże się człowiekiem wrażliwym na sztukę. Gdy tak siedzieli pogrążeni w zadumie, działo się między nimi coś dziwnego. Tak jakby przeskakiwała iskra. Foxy wyraźnie to czuła; ani nie potrafiła, ani chyba nie chciała temu zapobiec. Lance wciąż świdrował ją wzrokiem, w dodatku bawił się jej włosami, owijając sobie rudy kosmyk wokół palca.

- Zrobiło na mnie duże wrażenie - kontynuował, nie doczekawszy się reakcji. - Zauważyłem u dołu twoje nazwisko. Z początku uznałem, że to nie możesz być ty. Że Cynthia Fox, którą znałem, nie zdołałaby przekazać takiego nastroju, takiej głębi. W moich oczach nadal byłaś niewinną nastolatką o wybuchowym temperamencie.

Dopiero gdy oderwał od niej wzrok, by zgasić niedopałek, wypuściła z płuc powietrze. Spokojnie, nakazała sobie, nie zachowuj się jak idiotka.

- Na tyle mnie to zaintrygowało, że postanowiłem sprawdzić. Kiedy dowiedziałem się, że to jednak ty jesteś autorem zdjęcia, tym bardziej nie mogłem wyjść z podziwu. Masz ogromny talent.

- Do zabawy aparatem? - spytała żartobliwym tonem. Słowa Lance'a wprawiły ją w znakomity humor.

Błysnął w uśmiechu zębami.

- Uważam, że człowiek powinien czerpać radość z tego, co robi. Dlatego ja od lat bawię się samochodami.

- Stać cię na to - rzekła. Nawet nie spostrzegła, że powiało od niej chłodem.

- Nigdy mi nie wybaczyłaś, że jestem bogaty?
- spytał z rozbawieniem.

Lekko speszona, wzruszyła ramionami.

- Dziesięć milionów to zawstydzająco wielka suma.

Pociągnął ją za włosy, zmuszając, aby popatrzyła mu w oczy.

- Istnieje różnica między starym bogactwem a nowym, przynajmniej w Bostonie. Nowobogacy chwalą się swoim majątkiem, stare pieniądze nie kłują w oczy.

- Co rozumiesz przez stare? - Podobało się jego kpiące spojrzenie, a także dotyk jego palców na szyi.

- Takie, które są w rodzinie co najmniej od trzech pokoleń. Wiesz, Fox, wolę zapach konwalii od zapachu benzyny, który dawniej rozsiewałaś.

- Tak? Od czasu do czasu spryskuję się jeszcze bezołowiową, ale muszę mieć do tego odpowiedni nastrój. - Wstała. Była zdziwiona, że przedkłada towarzystwo Lance'a nad towarzystwo gości w salonie. - No dobra, wracam na przyjęcie. A ty?

- Zostanę tu jeszcze chwilę.

Szarpnął Foxy za rękę. Wylądowała ze śmiechem na jego kolanach.

- Lance! - zawołała, odpychając się dłońmi od

jego torsu. - Co ty wyprawiasz? - Bez większego przekonania usiłowała się oswobodzić.

- Nie przywitałem się z tobą jak należy.

Śmiech zamarł na jej ustach. Wyczuwając zagrożenie, próbowała wstać. Przytrzymał ją. Rozchyliła wargi, zamierzając zaprotestować. Zamknął je pocałunkiem.

Z początku był to lekki, żartobliwy całus. Może gdyby zaczęła się szamotać, gdyby ostrzej się sprzeciwiła, na tym by się skończyło. Ale dotyk warg Lance'a sprawił, że znieruchomiała. Miała wrażenie, że serce jej stanęło, że krew przestała krążyć. A potem znów zaczęło walić, i to ze zdwojoną siłą.

Nie była pewna, które z nich wykonało pierwszy krok, ale po chwili całowali się namiętnie, jakby całe życie na to czekali. Przytłumione pomruki dobywały się raz z jednego gardła, raz z drugiego. Oddechy mieli przyśpieszone, ręce zajęte pieśczołkami. Po paru minutach, gdy trudno im było dłużej wytrzymać, Lance delikatnie się odsunął.

Bez słowa patrzyli sobie w oczy. Ona wciąż obejmowała go za szyję. Już nie czuła zapachu kwiatów, tylko ciepły zapach wody kolońskiej, nie słyszała dźwięków dolatujących z salonu, tylko bicie serca. Świat zniknął. Byli wyłączni oni - ona i Lance. Nagle na pobliskim drzewie poruszyła się sowa i trzy razy zahuczała. Nastrój prysł. Foxy poderwała się na nogi.

- Nie powinieneś był tego robić - powiedziała, unikając jego wzroku. Strzepnęła kilka niewidocznych pyłków z sukienki. Po plecach przebiegały jej dreszcze.

- Nie? Dlaczego? - spytał spokojnie. - Jesteś już dużą dziewczynką.

Wstał. Musiała podnieść głowę, by widzieć jego twarz.

- Zresztą podobało ci się nie mniej niż mnie. Trochę za późno, żeby grać rolę oburzonej dziewczyny, nie sądzisz?

- Wcale nie gram roli oburzonej dziewczyny!
- zawołała ze złością. - A to, czy mi się podobało czy nie, jest bez znaczenia!

Odwrociła się na pięcie; zamierzała odejść z uniesioną głową, ale zanim postąpiła dwa kroki, Lance przytrzymał ją za ramię.

- A co ma znaczenie? - W jego głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. - Powiedz, Foxy, o co chodzi?

- Nigdy więcej tego nie rób! - wycedziła przez zęby.

- To brzmi jak rozkaz. A ja nie lubię rozkazów.

- Posłuchaj... - Westchnęła. - Zaskoczyłeś mnie. Nie spodziewałam się, że... no wiesz. Może byłam trochę ciekawa i... i dałam się ponieść emocjom.

- Ciekawa? - Parsknął śmiechem. - Czy chociaż zaspokoilem twoją ciekawość?

Pogładził ją po ramieniu. Zadrżała.

- Och, jesteś niemożliwy! - Zniecierpliwionym gestem odgarnęła włosy z czoła. - Co za irytujący facet!

Obróciwszy się, pobiegła tam, gdzie nic jej nie groziło. Tam, gdzie było mnóstwo ludzi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podczas Indianapolis 500 leżące na środkowym zachodzie normalne miasto zmienia się w tętniącą życiem stolicę sportów samochodowych. Więcej ludzi ogląda ten wyścig niż jakiegokolwiek inne wydarzenie sportowe w Stanach. Dla kierowców i miłośników wyścigów Indy 500 jest tym samym co Wimbledon dla graczy i kibiców tenisa, co Kentucky Derby dla amatorów wyścigów konnych i World Series dla miłośników baseballu - pasjonującą walką o honor, prestiż i zwycięstwo.

Spoglądając w bezchmurne niebo, Foxy odechnęła z ulgą: wyścigi w deszczu zawsze przejmowały ją niepokojem. Lekki wiatr targał jej

związanymi w koński ogon włosami. Miała na sobie ukochane džinsy, starte do białości na kolanach, i wpuszczoną w spodnie koszulę w biało-czerwone paski. Na szyi aparat nikon, który kupiła z drugiej ręki jeszcze na studiach; nie zamieniłaby go na skrzynię złota.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała, że trybuny są puste. Ekipy telewizyjne, kierowcy, mechanicy krążyli wkoło zajęci swoimi sprawami. Jedni rozmawiali, inni pili kawę ze styropianowych kubków. Od czasu do czasu ciszę przerywał ptasi świergot. Powietrze jednak wibrowało od napięcia i podniecenia. Za dwie godziny trybuny i boksy zapełnią się ludźmi. Kiedy zatrzepocze zielona chorągiewka, wyścig będzie oglądało czterysta tysięcy widzów, tyle co populacja wielu dużych amerykańskich miast. Ryk z czterystu tysięcy gardeł zabrzmi z siłą piorunu.

Potem przez wiele godzin będzie słyhać jedynie wycie silników. Mechanicy w boksach będą się uwijać. Oczy wszystkich będą skierowane na nisko zawieszony torpedy okrążający ponadczterokilometrowy owal.

Foxy powiodła wkoło spojrzeniem. Minęły dwa lata, odkąd stała przy torze, a sześć, odkąd uczestniczyła w wyścigach. Doskonale jednak pamiętała emocje towarzyszące rywalizacji sportowej: nerwowe oczekiwanie, a potem niesamowite podniecenie, które rosło z minuty na minutę; podziw

dla talentu brata; dumę z jego osiągnięć. Ale również zimny, dławiący strach, który nigdy nie słabł.

Wiedziała, jak się wszystko odbywa. Znała kierowców, ich upodobania i zwyczaje. Jedni lekkim, beztroskim tonem udzielali wywiadów na temat czekającego ich wyścigu. Inni koncentrowali się na szczegółach technicznych. Jeszcze inni warczeli na dziennikarzy, starali się ich unikać.

Kirk z typowym dla siebie wdziękiem połączonym z arogancją odpowiadał na pytania godzinę przed startem, ale później milczał. Dla niego każdy wyścig był identyczny, a zarazem niepowtarzalny. Identyczny - ponieważ za każdym razem Kirk ścigał się, by wygrać, a niepowtarzalny - bo za każdym razem przychodziło mu zmierzyć się z innymi problemami. Po udzieleniu paru wywiadów uciekał w samotność. Pojawiał się dopiero, gdy nadchodziła pora zajęcia miejsca w kokpicie.

Nikomui nie przeszkadzając w pracy, Foxy krążyła wśród kierowców, mechaników, fotoreporterów, rejestrując na zdjęciach atmosferę przed wyścigiem.

- Co tak pstrykasz i pstrykasz?

Rozpoznała głos, ale odwróciła się dopiero po skończeniu ujęcia.

- Cześć, Charlie. - Zarzuciła mechanikowi ręce na szyję i przytuliła się do niego. Wiedziała, że Charlie mruknie coś gniewnie pod nosem, ale wiedziała też, że ucieszył go jej widok.

- Typowa baba - burknął, nieśmiało odwzajemniając uścisk.

Przez kilka chwil przyglądali się sobie w milczeniu. Charlie niewiele się zmienił. Może przybyło mu siwych włosów na brodzie, a ubyło na głowie, ale oczy miał równie niebieskie co podczas ich pierwszego spotkania dziesięć lat temu. Wtedy pięćdziesięcioletni Charlie Dunning, główny mechanik w zespole Lance'a Matthews'a, wydawał się jej starcem. Dziś sześćdziesięcioletni Charlie, główny mechanik w zespole Kirka, jawił się jej jako dojrzały mężczyzna w sile wieku.

- Wciąż jesteś chuda jak szczapa. - Skrzywił się z niesmakiem. - Nie stać cię na jedzenie? Tak mało ci płacą za te twoje zdjęcia?

- Od paru lat nie znajduję w kieszeni żadnych batonów czekoladowych. - Pogłaskała go czule po szorstkim policzku, dobrze wiedząc, że Charlie nawet na torturach nie przyznałby się do tego, że podrzucał jej ukradkiem różne łakocie. - Nie widziałam cię wczoraj na przyjęciu u Kirka.

- Nie chodzę na imprezy dla przedszkolaków. To co, obie z tą elegancką damulką będziecie nam towarzyszyć przez cały sezon? - Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- Jeśli masz na myśli Pam, to owszem. Pam jest dziennikarką - dodała.

- Tylko pilnujcie się, żeby nam nie przeszkadzać.

- Dobrze - obiecała poważnie Foxy, ale oczy lśniły jej wesoło.

Nie uszło to uwadze Charliego.

- Bezczelne dziewczuszyisko - mruknął. - Dawno temu powinienem był ci złoic skórę. I zrobiłbym to, gdybyś nie była takim chuchrem.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Foxy podniosła aparat i pstryknęła Charliemu zdjęcie.

- Bezczelne dziewczuszyisko-powtórzył. Kąciki ust mu zadrgały. Odszedł pośpiesznie, by Foxy niczego nie zauważyła.

Przez chwilę stała bez ruchu. Kiedy Charlie znikł w tłumie, odwróciła się... i wpadła prosto na Lance'a. Przytrzymał ją. Przez cały ranek nie myślała o tym, co zdarzyło się na huśtawce; teraz wszystko odżyło jej w pamięci. Wargi, które wczoraj tak namiętnie całowała, rozciągnęły się w uśmiechu.

- Zawsze byłaś jego ulubienicą.

Nie wiedziała, o kim Lance mówi. Zapomniała o bożym świecie. Jak w transie wpatrywała się w jego szare oczy. Psiakrew, czy on musi być tak diabelnie przystojny? Ubrany był podobnie jak ona, w džinsy i koszulę.

- Cześć, Lance. - Starąła się nadać swojemu głosowi przyjazne, choć lekko chłodne brzmienie.

- Żadni dziennikarze się za tobą nie uganiają?

- Cześć, Fox. Pstrykasz fotki?

- Pstrykam.

Zbliżyła aparat do twarzy. Nie patrzyła na Lance'a, ale każdym skrawkiem swojego ciała czuła jego obecność.

- Nadal pociągają cię wyścigi? - spytał, wsuwając rękę w jej koński ogon.

Zmarnowała cztery zdjęcia.

- Podobno Kirk osiągnął najlepszy czas w serii treningowej. - Kiedy opuściła aparat, na jej twarzy malowała się obojętność. Jeden pocałunek. W końcu o co tyle krzyku? Nic takiego przecież się nie stało. - Pewnie jako sponsor i właściciel samochodu jesteś zadowolony?

Nie odpowiedział.

- Oglądałam wóz. Robi wrażenie.

Lance wciąż milczał.

- Ta rozmowa jest doprawdy frapująca - rzekła Foxy, patrząc mu prosto w oczy. - Niestety, muszę ją przerwać i wrócić do pracy.

Zanim uszła trzy kroki, zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Dziś wieczorem urządzam małe przyjęcie - oznajmił. - W moim apartamencie hotelowym.

- Tak? - Zmrużyła oczy przed rażącym blaskiem słońca.

- O siódmej. Zapraszam.

- A czy możesz mi zdradzić, jak małe będzie to przyjęcie?

- Bardzo małe. Będziemy tylko we dwoje.

- Mylisz się. Będziesz sam jeden.

Obok przeszło dwóch mechaników w jaskrawo-czerwonych koszulach, jakie nosiła cała ekipa Kirka. Lance nawet na nich nie spojrzął.

- Mam randkę ze Scottem Newmanem - dodała Foxy.

- To ją odwołaj.

- Nie.

- Boisz się? - Nieznacznym ruchem dłoni zmusił ją, by podeszła pół kroku bliżej.

- Nie, nie boję - odparła; jej zielone oczy płonęły. - Ale nie jestem głupia. I pamiętaj, że znam cię nie od dziś. Widywałam te tłumy dziewczyn, jakie wszędzie za tobą ciągnęły.

- Skrzywiła się. - Przebierałeś w nich jak w ulęgałkach; ta ci się podobała, tę odrzucałeś. Była to dla mnie prawdziwa szkoła życia. - Coraz bardziej złościło ją jego milczenie. - Wyobraź sobie, że ja też umiem wybierać i odrzucać. Znajdź sobie inną zabaweczkę.

Ku jej zdumieniu wybuchnął śmiechem.

- Widzę, że wciąż masz gorący temperament. Poza tym jesteś inteligentna, ciekawa świata, energiczna. Dłużej niż godzinę nie wytrzymasz z Newmanem. Facet zanudzi cię na śmierć.

- To mój problem, nie twój - odcięła się, po czym wyszarpnęła ramię.

- Mądrze mówisz - zgodził się Lance.

Ostatnie słowo należało do niego, bo zwyczajnie w świecie zostawił ją i odszedł.

Wściekła, obróciła się na pięcie, zamierzając ruszyć w przeciwnym kierunku. I wtedy zobaczyła, że trybuny zapełniają się widzami. Czym prędzej skierowała się więc w stronę bokсів, gdzie znajdowały się punkty serwisowe.

Przeprowadzając wywiad z młodym kierowcą, który pierwszy raz brał udział w tak poważnych wyścigach, Pam kątem oka obserwowała rozmawiających nieopodal Lance'a i Foxy. Była za daleko, aby słyszeć cokolwiek, ale widziała wachlarz emocji malujący się na twarzy przyjaciółki. Bystre oko dziennikarki dostrzegło, że coś tych dwoje łączy. Cokolwiek to było, Foxy wyraźnie się przed tym broniła. Ale chyba bez powodzenia.

Pam polubiła Lance'a Matthews'a. Miała nosa do ludzi i instynkt nigdy jej nie zawodził. Może właśnie dzięki temu, że potrafiła każdego przejrzeć na wylot, cieszyła się uznaniem w świecie dziennikarskim. Jej zdaniem Lance Matthews należał do ludzi, którzy nie tyle gardzą konwenansami, co ustalają własne reguły gry. Wzbudzał sympatię i zainteresowanie, bo miał wiele do zaoferowania. Był silny, władczy i niezwykle pociągający. Podejrzewała, że jest wiernym przyjacielem i doskonałym kochankiem.

Nowicjusz, nieświadom tego, o czym Pam myśli, odpowiadał wyczerpująco na wszystkie pytania. Po paru minutach, widząc, jak Lance się oddala, Pam zakończyła wywiad. Podziękowała

swemu rozmówcy i życząc mu powodzenia, skierowała się za Lance'em.

- Panie Matthews!

Zobaczył podążającą za nim drobną blondynkę o delikatnej urodzie, elegancko ubraną w szare spodnie i żakiet. Na jednym ramieniu miała zawieszoną torebkę, na drugim magnetofon. Zaintrygowany przystanął. Pam, lekko zasapana, dobiegła do niego i uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Jestem Pam Anderson. - Wyciągnęła na powitanie szczupłą dłoń o pomalowanych na różowo paznokciach. - Piszę serię artykułów na temat wyścigów. Może Foxy wspomniała panu o mnie?

- Dzień dobry. - Lance zmierzył ją wzrokiem; spodziewał się kogoś wyższego, trochę solidniej zbudowanego. - Jakoś rozminęliśmy się na przyjęciu u Kirka.

- Pokazano mi pana - rzekła Pam. Postanowiła grać w otwarte karty. - Ale zniknął pan, zanim zdołałam do pana dotrzeć. Foxy również zniknęła.

- Jest pani niezwykle spostrzegawcza.

Ucieszyła się, słysząc lekką irytację w jego głosie. Przynajmniej zdołała skupić na sobie jego uwagę.

- Lubię Foxy. - Odgarnęła włosy z oczu. - Potrafię też nie wtykać nosa w cudze sprawy. Tak naprawdę to jestem zainteresowana wyścigami. Mam nadzieję, że mogę liczyć na pańską pomoc? Nie tylko projektuje pan wozy, ale jest pan właś-

cicielem auta ścigającego się w Formule 1, a także z doświadczenia wie pan, co czuje kierowca pędzący trzysta kilometrów na godzinę. To, że jest pan człowiekiem znanym nie tylko w środowisku sportów motorowych, ale również w eleganckim świecie Bostonu, przyciągnie do pisma rzesze czytelników.

Lance, który w trakcie jej wywodu wsunął ręce do kieszeni, odczekał dobre dziesięć sekund, by upewnić się, czy Pam skończyła mówić, zanim pokręcił ze śmiechem głową.

- Jeszcze dwie minuty temu zastanawiałem się, czy to możliwe, że jest pani tą samą Pam Anderson, która napisała serię krytycznych artykułów o błędach w naszym systemie karnym. Ale teraz wiem, że to możliwe. Spędzimy w trasie wiele miesięcy. Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowę. - Powiódł spojrzeniem w stronę bandy, przy której stała Foxy z przytkniętym do oczu aparatem. Na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. - Mnóstwo czasu - powtórzył cicho, po czym ponownie wbił wzrok w Pam. - Co pani wie o Indy 500?

- Pierwszy wyścig na tutejszym torze zorganizowano w tysiąc dziewięćset jedenastym roku. Triumfator osiągnął rekordową szybkość stu dziewiętnastu kilometrów na godzinę. Pierwotnie tor wyłożony był cegłami, dlatego miejsce nazywane bywa Old Brickyard, starą cegielnią. Od pewnego

czasu Indy 500 nie jest zaliczany do mistrzostw świata Formuły 1, ale istnieje wiele podobieństw między samochodami biorącymi udział w Indy i w Formule. Poza tym wielu kierowców chętnie uczestniczy w obu imprezach, choćby Kirk Fox. Tutejsze bolidy napędzane są alkoholem. Pożar bywa bardzo niebezpieczny, ponieważ nie pojawiają się płomienie.

- Odrobiła pani lekcję - rzekł z uśmiechem Lance.

- Znam liczby, fakty. - Podobało jej się jego szczerze spojrzenie. - Ale suche fakty nie mówią nam całej prawdy. Zginęło na tym torze czterdziestu sześciu kierowców, ale tylko trzech w ostatnich dziesięciu latach. Dlaczego?

- Robi się coraz bezpieczniejsze samochody. Dawniej były jak pancerniki; kierowca łamał się, a one pozostawały nieuszkodzone. Teraz jest na odwrót; samochód przejmuje na siebie siłę zderzenia. Poza tym kombinezony szyje się z materiałów ognioodpornych. - Ponieważ zbliżał się czas startu, Lance wolnym krokiem ruszył w stronę linii mety.

- Czyli wyścigi samochodowe stały się bezpiecznym sportem? - spytała niewinnym tonem Pam.

Uważnie przyjrzał się dziennikarce, doceniając jej przenikliwość.

- Tego nie powiedziałem. Zagrożenia nie spo-

sób całkiem wyeliminować. Zresztą czym byłyby wyścigi bez elementu ryzyka? Nudną jazdą w kółko.

- Ale zniknął strach przed kraksą? Przed kalectwem?

Lance pokręcił z uśmiechem głową.

- Mało który kierowca myśli o wypadku. Gdyby tak było, nie usiadłby za kierownicą. Każdy wierzy, że jeśli ma się zdarzyć coś złego, to przytrafi się innym, a nie jemu. Ale to nie kraksa wzbudza największy strach, lecz ogień. Chyba nie ma takiego kierowcy, który w skrytości ducha nie bałby się ognia.

- A kiedy inny zawodnik wpada na bandę albo dachuje? Co czuje się wtedy?

- Nic - odparł Lance. - Nie ma czasu na emocje.

- No tak. - Zamilkła. - Nie ma czasu... to rozumiem. Ale jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego ktoś przypina się pasami do fotela i z tak porażającą szybkością pędzi po krętym torze? Dlaczego naraża się na kalectwo lub śmierć?

Spoglądając na tor, potarł z namysłem brodę.

- Istnieje wiele powodów. Podejrzewam, że każdym zawodnikiem kieruje co innego: dreszcz emocji, chęć rywalizacji, dążenie do zwycięstwa,

wyzwanie, pieniądze, prestiż, umiłowanie szybkości. Szybka jazda bywa nałogiem. Człowiek chce się wykazać, sprawdzić własną wytrzymałość i odwagę. No i jak we wszystkich dyscyplinach sportu, ogromną rolę odgrywa ego. - Kątem oka dojrzał wyłaniającego się z boksu Kirka. - Każdy zawodnik ma inną motywację, ale każdy pragnie pierwszy dojechać na metę.

Kirk zajął miejsce w kokpicie, nie zwracając uwagi na Foxy, która krążyła wokół z aparatem. Nasunął na twarz kominiarękę. Przez chwilę - zanim włożył kask - wyglądał jak średniowieczny rycerz szykujący się do turnieju. Na pytania Charliego odpowiadał monosylabami. Był maksymalnie skoncentrowany. Nie rozglądał się na boki; patrzył przed siebie. Czuło się, że ogrodził się niewidzialnym murem. Foxy pośpiesznie wykonała serię zdjęć, utrwalając na kliszy jego skupienie i izolację. Kiedy wyprostowała się, zobaczyła, jak Lance podchodzi do Kirka i się nad nim pochyla.

- Skrzyńka szkockiej, że nie pobijesz rekordu toru.

Kirk skinął nieznacznie głową, przyjmując zakład. Foxy wiedziała, że brat potrzebuje bodźców, że uwielbia wyzwania. Obserwując obu mężczyzn, uświadomiła sobie, że Lance zna Kirka lepiej niż ktokolwiek. Ponad ogłuszającym rykiem silnika napotkała jego spojrzenie. Po chwili Kirk pod-

jechał kilka metrów, by zająć miejsce na starcie, a ona w tym czasie zniknęła w boksie serwisowym.

Kiedy ucichły ostatnie takty „Back Home Again in Indiana”, przy akompaniamencie okrzyków publiczności w powietrze wzleciały tysiące kolorowych balonów. A przez megafon rozległ się głos:

- Panowie, proszę włączyć silniki.

Prosta startów. Lśniące w słońcu bolidy wyglądają jak kolorowe plamy na tle asfaltu. Jadą w równym szyku za wozem prowadzącym. Już nie słychać ptasich treli. Wkrótce wóz prowadzący zjeżdża na bok.

- Zaczęło się - szepnęła Foxy.

Pam podskoczyła.

- Gdzieś ty się podziewała, co? - Nasadziła mocniej na nos okulary słoneczne.

- Chyba nie myślałaś, że przegapię start?

- Trzymała w ręku aparat, w którym zmieniała obiektyw. - Jeszcze moment i pojawi się zielona chorągiewka.

I nagle powietrzem wstrząsnął potężny ryk. Foxy uniosła aparat, celując prosto w samochód Kirka.

- Jak oni to robią? - mruknęła pod nosem Pam.

- Po co tak prują?

Nie spodziewała się odpowiedzi, ale Foxy usłyszała pytanie, opuściła aparat i uśmiechnęła się.

- Po to, żeby wygrać - odparła.

Czas mijał. Hałas nie ustawał. W boksach panował potworny upał; w powietrzu unosił się zapach smarów, paliw i potu. Z trzydziestu samochodów, które stanęły do startu, dziesięć już się wycofało na skutek awarii lub drobnych kraks. Pam zdjęła żakiet, podciągnęła rękawy bluzki. Z magneto-fonem w ręce krążyła po boksach. Foxy obserwowała tor; kropelki potu spływały jej po plecach. Czując na sobie czyjś wzrok, obejrzała się przez ramię. Tuż za nią stał Lance.

- Zaczyna osiemdziesiąte piąte okrążenie.

Nie odrywając oczu od toru, podał jej szklanekę z zimnym napojem. Zaskoczona miłym gestem pociągnęła łyk.

- Ma prawie jedno okrążenie przewagi nad Johnstonem - ciągnął Lance. - Mierzyłaś mu średnią szybkość?

- Około trzystu.

Wstrzymała oddech, kiedy Kirk wyprzedzał na krótkim prostym odcinku innego kierowcę. Potem spoglądając na kostki lodu, pociągnęła kolejny łyk.

- Zmontowałeś niesamowitą ekipę, Lance. Tankowanie zajęło niecałe dwanaście sekund. To daje Kirkowi sporą przewagę nad rywalami. Poza tym samochód jest szybki i doskonale się trzyma nawierzchni.

Popatrzył jej w oczy.

- Oboje wiemy, że zwycięstwo w wyścigach zależy od wysiłku całego zespołu.

- To prawda, ale ten ostatni etap to już zasługa kierowcy.

- Tkwisz tu od samego początku - rzekł łagodnie. - Może być usiadła na chwilę, co? - Pogładził ją po policzku, jakby chciał usunąć ból, który rozsadzał jej czaszkę. - Sprawiasz wrażenie zmęczonej...

- Nie, nic mi nie jest. - Mimo że cofnął rękę, wciąż czuła na policzku jego dotyk. - Usiądę, jak się skończy. Chyba przegrasz zakład.

- Na to liczę. Cholera jasna! - Zaklął tak ostro, że Foxy przeniosła spojrzenie na tor. - Nie podoba mi się, jak piętnastka bierze pierwszy zakręt. Za każdym razem jedzie coraz bliżej muru.

- Piętnastka? - Zmrużywszy oczy, Foxy odnalazła samochód z wymalowanym numerem piętnastym. - To jeden z młodziaków, prawda? Zdaje się, że chłopak z Long Beach.

- Ten młodziak, jak go nazywasz, jest starszy od ciebie o rok. Tyle że ma za mało doświadczenia, aby tak szarżować.

Kilkanaście sekund później piętnastka ponownie wjechała w zakręt pierwsza. Tym razem tylne koła zahaczyły o mur, poleciały iskry, potem koła odpadły, kierowca stracił panowanie nad wozem. Części karoserii fruwały w powietrzu. Trzy inne samochody usiłowały wyminąć pechowego kierowcę. Jeden wpadł w poślizg, na szczęście w ostatniej chwili koła złapały przyczepność. Piętnastka

zatrzymała się na trawie. Natychmiast z pomocą rzucili się ratownicy i strażacy z gaśnicami.

Zawsze na widok wypadku Foxy ogarniał lodowaty spokój. Przystawała czuć, przystawała myśleć. Tym razem też tak było. W chwili gdy samochód uderzył o bandę, podniosła do oczu aparat i zaczęła rejestrować wszystko, co się dzieje. Skoncentrowana, naciągała migawkę, zmieniała przysłonę. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła wysuwającą się z rozbitego wozu postać. Kierowca pomachał do widzów, dając im znać, że nic złego mu się nie stało.

Za plecami usłyszała głos Pam:

- Boże, jakim cudem człowiek wychodzi bez szwanku z takiej kraksy?

Nie zareagowała. Dalej w skupieniu robiła zdjęcia.

- Tak jak mówiłem, samochód przyjmuje na siebie siłę uderzenia, a kierowca na ogół uchodzi z życiem - odpowiedział dziennikarce Lance.

Nie spuszczał oczu z Foxy, której twarz była pozbawiona zarówno koloru, jak i wyrazu. Po torze śmignął samochód Kirka.

- Na ogół - potwierdziła cicho. - Ale nie każdy i nie zawsze. - Poczowała, jak krew napływa jej do policzków. - Idź porozmawiać z chłopakiem, Pam. On ci powie, jak to jest, kiedy pędzi się trzysta na godzinę i nagle życie przelatuje ci przed oczami.

- Słusznie, masz rację. - Dziennikarka jeszcze

moment się ociągała, ale w końcu ruszyła w stronę zbliżającego się kierowcy.

Foxy odgarnęła włosy z czoła.

- Myślę, że w przyszłości piętnastka nie będzie tak brawurowo brała zakrętów.

- Zachowujesz zdumiewający spokój - zauważył Lance.

- Jako fotograf muszę, inaczej nigdy bym nie zrobiła dobrych zdjęć. - Napotkała jego chłodne spojrzenie. Nie chciała wdawać się w dyskusję.

- A emocje przeszkadzają w pracy, tak? - Ujął w palce pasek, na którym wisiał aparat, i przyciągnął ją do siebie. - Za kierownicą piętnastki siedział człowiek. A ty, jak gdyby nigdy nic, cykałaś zdjęcia.

- Czego się spodziewałeś? - zezłościła się. - Że zacznę szlochać? Że zasłonię oczy? Widziałam wiele karamboli, i to takich, kiedy kierowca nie opuszczał wozu o własnych siłach. Takich, kiedy samochód stawał w płomieniach. Patrzyłam, jak Kirka, a także i ciebie, wyciągano nieprzytomnych. Chcesz emocji? - Prawie nie panowała nad wściekłością. - Poszukaj sobie kogoś, kto nie dorastał wśród śmierci i smrodu spalin!

Przyglądał się jej w milczeniu.

- Twarda z ciebie sztuka. - W jego głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia i lekceważenia.

- A żebyś wiedział! - syknęła. - Bądź łaskaw zabrać łapy z mojego aparatu.

Stał bez ruchu. Jedyne jego lewa brew lekko drgnęła. Mogło to oznaczać zdziwienie lub akceptację. Po chwili puścił aparat i teatralnym gestem uniósł ręce. Sam jednak nie cofnął się; ich twarze dzieliła odległość może dwudziestu centymetrów.

- Przepraszam - powiedział cicho.

- Daj mi święty spokój - warknęła.

Chciała go ominąć, ale zagroził jej drogę.

- Dobrze, ale za chwilę.

Zanim zorientowała się, co zamierza, Lance przrzucił jej aparat na plecy, a ją samą pochwycił w objęcia. Nie zdążyła zaprotestować. Przywarł z całej siły do jej ust. Zamiast go odepchnąć, zacisnęła ręce na jego ramionach. Ciało kompletnie ignorowało polecenia wydawane przez umysł. Usta, wbrew nakazom głowy, odwzajemniały pocałunek. Płonął w niej taki sam płomień jak wczorajszego wieczoru na huśtawce. Gotowa była ulec Lance'owi tu i teraz. Nie miała siły ani ochoty sprzeciwiać się, walczyć. Obejmując go za szyję, przywarła do niego całym ciałem. Jak przez mgłę słyszała ryk silników, a potem świat zewnętrzny zniknął - zniknęły samochody, ludzie, trybuny. Był tylko głód, żar, pragnienie bliskości. Lance pierwszy ochłonał. Oderwał usta od jej ust i przez chwilę przyglądał się jej bez słowa.

- Pewnie mi zaraz powiesz, że nie powinienem był tego robić.

- Jeśli powiem, czy to cokolwiek zmieni?

- Nie. .

- Możesz mnie puścić? - Serce waliło jej jak młotem, ale była szczęśliwa, że przynajmniej głos jej nie drży.

- Na razie tak. - Rozluźnił uścisk, ale nie cofnął rąk. - Zawsze możemy zacząć od nowa.

- Cierpisz na przerost arogancji i pewności siebie. - Usunęła jego dłonie ze swoich bioder.

- Nie do twarzy ci z tym.

Uśmiechając się szeroko, dał jej pstryczka w nos.

- Uwielbiam ten twój wyniosły ton. Jesteś urocza, kiedy się złościś. - Zerknął ponad jej ramieniem na samochód Kirka, który zbliżał się do punktu serwisowego. - Kirk jedzie. Jak tak dalej pójdzie, druga połowa powinna wypaść nie gorzej niż pierwsza.

Nie racząc odpowiedzieć, Foxy przewiesiła aparat z powrotem na piersi i odeszła. Lance wsunął ręce do kieszeni i kołysząc się na piętach, odprowadził ją wzrokiem.

Tylko połowa kierowców ukończyła wyścig. Wygrał Kirk. Foxy to nie zdziwiło. Obserwując twarz brata podczas ostatniego postoj, widziała skupienie w jego oczach. Czuła, że pierwszy dotrze na metę. Samochody już nie lśniły w słońcu; były brudne, zakurzone. Przy akompaniamencie ryku z trybun Kirk wykonał zwycięską rundę wokół toru.

Foxy wiedziała, że kiedy brat zajedzie pod boksy i wysiądzie z wozu, będzie szczęśliwy, uśmiechnięty, odprężony. Wszelkie oznaki napięcia znikną z jego twarzy. Będzie rozmawiał z dziennikarzami, rozdawał autografy, przyjmował gratulacje. Innymi słowy - będzie ładował akumulatory. A potem zapomni o wyścigu.

Za dwa dni ruszą na kwalifikacje do Monako. Dla Kirka zawsze najważniejszy był następny wyścig, ten, który go dopiero czeka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Monte Carlo leży na wąskim skrawku ziemi między zadrzewionymi szczytami Alp Nadmorskich a błękitną tonią Morza Śródziemnego. Stare eleganckie domy i nowoczesne wieżowce sąsiadują ze sobą, tworząc piękną gęstą zabudowę. Dziwne jest to miasto - nieduże pod względem powierzchni, lecz tętniące życiem, o tajemniczej, bajkowej atmosferze.

Najbardziej podobały się Foxy kolory. Biele i pastele budynków, soczysta zieleń i brąz gór, błękit wody. Do tego barwne kwiaty i fantazyjne palmy. Wspaniałe połączenie kultury, architektury i przyrody.

Kirk zajęty był kwalifikacjami i treningiem, Pam zaś pochłaniały wywiady i gromadzenie informacji. W tej sytuacji Foxy często spędzała czas ze Scottem Newmanem. Przekonała się, że jest to niezwykle miły, inteligentny człowiek, ale - niestety, Lance miał rację! - mało porywający. Jak na jej gust wszystko zbyt starannie obmyślał, a potem sztywno trzymał się swej koncepcji. Każda randka przebiegała według ustalonego z góry planu; nie było żadnych odstępstw, żadnej spontaniczności. Ubierał się elegancko i takie też miał maniery. Foxy zawsze wiedziała, co ją czeka i na co może liczyć. Niespodzianki nie wchodziły w grę. Scott był jak rycerz na białym koniu, który wybawia z opresji uwięzione dziewice, a potem wraca do siebie i pucuje swoją zbroję.

Pograżona w zadumie, krążyła od okna do okna. Za jej plecami rozlegał się jednostajny stukot maszyny do pisania. W rozciągającej się w dole malowniczej zatoce cumowały jachty. Spoglądając na nie, przypomniawszy sobie, że podczas któregoś z wyścigów kwalifikacyjnych jeden kierowca nie zmieścił się w zakręcie i wylądował w wodzie.

Zerknęła za siebie. Palce przyjaciółki fruwały po klawiaturze. Stolik, na którym stała maszyna, zavalony był stosami kaset i papierów. Ale Pam doskonale się orientowała, gdzie co leży.

- Wybierasz się dziś do kasyna? --spytała. Czuła się niespokojna i rozdrażniona.

- Nie. Chcę skończyć ten fragment - odparła Pam, nie przerywając pisania. - A ty idziesz ze Scottem?

Foxy usiadła na fotelu, podciągnęła pod siebie nogi i westchnęła ciężko.

- Chyba tak.

Palce Pam zastygły w powietrzu. Po chwili odsunęła krzesło od stolika i przyjrzała się przyjaciółce. Zobaczyła marsa na czole, skrzywione usta, smutne oczy, potargane włosy opadające w nieładzie na ramiona. Nagle poczuła się bardzo stara.

- No dobrze. - Oparła brodę na dłoni. - Opowiedz o wszystkim mamusi.

Foxy, bojowo nastawiona, poderwała głowę, ale widząc ciepły uśmiech na twarzy Pam, nieco się rozluźniła.

- Czuję się jak idiotka - przyznała. - Nie wiem, co mi dolega. Uwielbiam Monte Carlo. Jest to najbardziej romantyczne i urokliwe miejsce na świecie. W dodatku pobyt tu nic mnie nie kosztuje. Przystojny facet spełnia wszystkie moje życzenia. A ja... - Wzruszyła bezradnie ramionami.

- A ty się nudzisz - dokończyła za nią Pam. Wypiła łyk zimnej kawy i skrzywiła się z niesmakiem. - Wszyscy są zajęci, więc towarzystwa dotrzymuje ci Scott Newman, miły, lecz bezbarwny. Kirk trenuje, ja przeprowadzam wywiady, a Lance...

- Co mnie obchodzi Lance? - przerwała jej

Foxy. To, że całymi dniami go nie widywała, było błogosławieństwem, a nie powodem do zmartwień.

Pam przypomniała sobie namiętny pocałunek, którego była świadkiem na torze w Indianapolis.

- Po prostu dokucza ci samotność - powiedziała cicho.

- Lubię Scotta, to naprawdę sympatyczny gość - rzekła stanowczym tonem Foxy. - Kulturalny, nienachalny. Od początku postawiłam sprawę jasno: że nie interesuje mnie żaden romans. On to zaakceptował, nie próbuje mnie uwodzić. - Wstała z fotela i zaczęła przemierzać pokój. - Zawsze jest uprzejmy, opanowany, nigdy się nie spóźnia, niczym mnie nie zaskakuje. - Pomyślała o pocałunkach Lance'a, o tym, jak nic sobie nie robił z jej sprzeciwu. - Czuję się przy nim... swobodnie. Bezpiecznie.

- Ja się tak czuję w moich niebieskich kapciuszках.

Foxy usiłowała zachować powagę, ale nie dała rady.

- Jesteś paskudna! - zawołała ze śmiechem.

- Posłuchaj. Należysz do ludzi, którzy nie cierpią stagnacji i nudy. - Pam zaczęła obracać w palcach ołówek. - Podobnie jak Kirk uwielbiasz wyzwania, może innego rodzaju niż on, ale... - Odłożyła ołówek na stół i wbiła wzrok w przyjaciółkę. - Lance Matthews za to...

- Och, nie, błagam! - Foxy potrząsnęła gniewnie głową. - Może nie szukam ciepłych i wygodnych paputków, ale skoki z dziesiątego piętra też mnie nie pociągają.

- Chciałam tylko powiedzieć, że przy Lansie nigdy nie zaznasz nudy.

- A wiesz, że im dłużej rozmawiamy, tym bardziej zaczynam dostrzegać uroki nudy ze Scottem? - oznajmiła Foxy, kierując się ku drzwiom.

- Zamierzam spędzić z nim bardzo miły, nudny wieczór. Jeśli uda mi się wygrać fortunę w ruletkę, to jutro podczas rajdu zafunduję ci hot doga.

- Mrugnawszy do przyjaciółki, przeszła do swojego pokoju.

Przez kilka minut Pam wpatrywała się w zapisaną kartkę, która tkwiła w maszynie. Rozmyślała o Kirku. Odkąd z beczelnym uśmiechem rzucił tę uwagę na przyjęciu o tym, że prędzej czy później wylądują w łóżku, ani razu nie próbował jej podejrzewać. Skupiony na zawodach, ledwo zauważał jej obecność. No cóż... Starając się powściągnąć złość, wyrównała stos pustych kartek. W dodatku ciągle otaczał go wianuszek kobiet! Kręcąc z niezadowoleniem głową, Pam wróciła do pisania. Ciekawe, czy przez cały sezon będzie tak zajęty?

Czując lekkie wyrzuty sumienia-bo bez względu na to, co mówiła o Scotcie, był to naprawdę miły człowiek - Foxy postanowiła ubrać się na randkę wyjątkowo atrakcyjnie. Włożyła czarną

sukienkę bez rękawów, która ciasno ją opinała. Włosy zaczesła w kok, po czym wyciągnęła kilka kosmyków, tak by opadały wokół twarzy. Jeszcze cienki srebrny łańcuszek na szyję, parę kropli perfum i jest gotowa do wyjścia.

Przekładała najpotrzebniejsze rzeczy do małej srebrnej torebki, gdy rozległo się pukanie. Rzuciwszy okiem na swoje odbicie w lustrze, pobiegła do drzwi. Nacisnęła klamkę i znalazła się twarzą w twarz z Lance'em.

- Ojej - szepnęła zaskoczona.

Od wyjazdu z Indiany udawało jej się go unikać. Nagle przyszło jej do głowy, że nigdy nie widziała go w smokingu. Wyglądał inaczej - groźnie i seksownie. Przez moment miała wrażenie, że patrzy na obcego człowieka: nie na rajdowca i konstruktora wozów wyścigowych, lecz na absolwenta Harvardu, mieszkańca ekskluzywnej dzielnicy Beacon Hill, spadkobiercę fortuny Matthewsów.

- Cześć, Fox. Wpuścisz mnie czy będziemy stać na korytarzu? - spytał, wykrzywiając ironicznie wargi. Znow był Lance'em, którego znała i który działał jej na nerwy.

Wyprostowała ramiona.

- Przykro mi, Lance. Właśnie wychodzę.

- Nie tylko piękna, ale i punktualna. - Oczy lśniły mu wesoło. - Te dwie cechy rzadko idą w parze. - Ujął ją lekko za brodę. - Wypijemy

koktajl przed kolacją, dobrze? Rezerwację mamy dopiero na ósmą.

Foxy odruchowo się cofnęła. Lance ruszył za nią w głąb pokoju.

- Przepraszam, nie rozumiem... - Dlaczego on wciąż zaciska rękę na jej brodzie?

- Rezerwację mamy na ósmą - powtórzył z uśmiechem. - Co chciałabyś zrobić przez godzinę?

- Spędzić czas w samotności - oznajmiła zimno. - A teraz bądź łaskaw zabrać rękę.

- Hm, ale jej tu bardzo dobrze. - Utkwił wzrok w jej wargach. - Newman błagał, żebym cię przeprosił - rzekł, przenosząc spojrzenie na jej oczy. - Coś mu nieoczekiwanie wypadło. Masz jakiś szal? Wieczory bywają chłodne...

- Coś mu wypadło? - powtórzyła Foxy. Dłoń, która dotąd dotykała jej brody, spoczęła na jej gołym ramieniu. - O czym ty mówisz?

- Okazało się, że Newman ma dziś zajęty wieczór. Szkoda zasłaniać takie ramiona, ale czerwcowe wieczory naprawdę bywają tu chłodne. - Niezauważenie przysunął się pół kroku bliżej.

- Jak to: ma zajęty wieczór? - Zanim zdążyła się cofnąć, zacisnął palce na jej łokciu. - Coś ty mu zrobił? - Powoli ogarniała ją złość. - Przyznaj się, Lance. Scott jest za dobrze wychowany, żeby odwoływać randkę w ostatniej chwili, w dodatku przez osobę trzecią. Zastraszyłeś go, prawda? Uciekłeś się do szantażu?

- Owszem, zastraszyłem - przyznał zadowolony z siebie. - To co, weźmiesz szal?

- Czy wezmę... czy... - dukała oburzona. - Nie wezmę!

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami i biorąc ją za rękę, ruszył do wyjścia.

- Jeżeli myślisz, że gdziekolwiek z tobą pójdę, to się grubo mylisz! - powiedziała, usiłując się oswobodzić. - Zostaję w hotelu.

- Tak? - Obróciwszy się, objął ją w pasie. - To doskonały pomysł. Bardzo mi się podoba. - Zanim się zaczęła wrywać, przywarł ustami do jej szyi.

- Nie... - Zabrzmiało to mało przekonująco. - Nie możesz tu zostać.

- Dlaczego? Możemy zamówić kolację do pokoju - szepnął, całując ją lekko w ucho. - Mmm, pachniesz jak las, który budzi się wiosną do życia.

- Lance, ja... - Obsypywana pocałunkami, miała problemy z koncentracją. - Proszę cię...

- Prosisz? - Musnął wargami jej usta. - O co prosisz, mała?

Czuła, że za moment straci nad sobą kontrolę; że mu ulegnie. Najwyższym wysiłkiem woli uwolniła się.

- Jestem głodna jak wilk - powiedziała, stosując taktyczny odwrót. Jak gdyby nigdy nic, odgarnęła włosy z zarumienionych policzków. - Skoro wystraszyłeś Scotta, musisz zapłacić za kolację. W restauracji - dodała z naciskiem, widząc błysk

w oczach Lance'a. - A potem zabrać mnie do kasyna, tak jak zamierzał to uczynić Scott.

- Dobrze. Z przyjemnością.

- Ja natomiast - ciągnęła coraz bardziej butnym tonem - postaram się przegrać jak najwięcej twoich pieniędzy.

Chwyciwszy z łóżka jedwabny szal, zarzuciła go sobie na ramiona, po czym z dumnie uniesioną głową opuściła pokój.

Tafla wody lśniła srebrzyście w powleczonej blaskiem księżycza zatoce. Znad morza wiał lekki wiaterek pachnący wiosenną świeżością. Foxy z Lance'em siedzieli przy cichym stoliku na tarasie. Nad ich głowami migotały gwiazdy i cichutko szumiały liście palm. Powietrze wypełniała muzyka. Na stoliku paliły się dwie białe świece, pomiędzy nimi stał wąski wazon z czerwoną różą. Gdzieś obok siedzieli inni goście, ale Foxy ich nie widziała. Miała wrażenie, że są sami w tym bajkowym świecie. Było tak pięknie, tak romantycznie... Z całej siły starała się opanować emocje. Chciała uchodzić za światową kobietę, a nie za niedojrzałą dziewczynkę, którą łagodna muzyka i gwiazdy na niebie wprawiają w rzewny nastrój. Na wszelki wypadek pilnowała się, by nie wypić za dużo szampana.

- Zauważyłam, że wczoraj Kirk miał jakieś problemy z samochodem. - Nabiła na widelec

krewetkę, po czym zanurzyła ją w sosie. - Mam nadzieję, że je usunięto?

- Tak, wymieniliśmy pierścień i wszystko już działa jak należy. - Lance przyglądał się jej uważnie.

- To dziwne, prawda? Że czasem drobna rzecz warta pół dolara może przesądzić o tym, na jakim miejscu dotrze na metę samochód, którego budowa pochłonęła setki tysięcy dolarów?

- Niekiedy tak się zdarza - przyznał, usiłując zachować powagę.

- Jeżeli zaczniesz się ze mnie śmiać, wstanę i odejdę - ostrzegła go.

- Przywlókłbym cię z powrotem.

Zmrużyła oczy. Przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem. Łobuzerski uśmiech wciąż igrał na jego ustach. Och, jak chętnie by go starła!

- Chyba faktycznie byś to zrobił. - Rycerskość nie leżała w jego charakterze, zresztą na jakiś czas miała dość uprzejmych facetów. - A gdybym zaczęła się awanturować i policja wsadziłaby nas na noc do aresztu, wcale byś się tym nie przejął, prawda? - Westchnąwszy cicho, wypięła łyk szampana. - Nie przejmujesz się konwenansami. Po prostu dążysz do celu. - Zamyśliła się. - Takim też byłeś kierowcą. Skoncentrowanym na wygraney. Jak Kirk. Tyle że jemu brakuje twojej wprawy. I twojego luzu. Wiesz, kiedy się patrzyło na ciebie za kierownicą, odnosiło się wrażenie, że nie ma

łatwiejszej rzeczy pod słońcem. No ale ty ścigałeś się dla sportu, dla przyjemności.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem.

- A Kirk nie?

- On żyje dla wyścigów, a to zupełnie co innego. Owszem, ściganie się sprawia mu przyjemność, ale głównie to jego życie. Jego pasja. - Nad migoczącym płomykiem napotkała wzrok Lance'a. - Gdybyś traktował wyścigi tak jak on, nie wycofałbyś się w wieku trzydziestu lat. A Kirk... Podejrzewam, że jako stuletni starzec ledwo trzymający się na nogach będzie pchał się do kokpitu i ścigał z młokosami.

- Widzę, że nie doceniałem twojej przenikliwości. - Poczekał, aż kelnerka postawi na stole zamówione dania, po czym odłamał kawałek bagietki. - Od dziecka nie lubisz wyścigów, prawda?

- Tak - odparła, patrząc mu prosto w oczy. Skinieniem głowy podziękowała za bagietkę. - To straszny sport. - Posmarowała bułkę masłem. - Lance, co czuli twoi bliscy, kiedy się ścigałeś?

- Byli zakłopotani.

Foxy wybuchnęła śmiechem.

- A ciebie to bawiło nie mniej niż sama jazda po torze.

- Tak, jesteś bardzo domyślna i spostrzegawcza. - Uniósł kieliszek.

- Rodziny kierowców na różne sposoby radzą sobie ze stresem. Znacznie trudniej jest stać

i patrzeć, niż siedzieć za kierownicą i wciskać gaz do dechy. - Wzdrygnęła się. Dość ponurych rozmyślań! - Teraz, kiedy jesteś biznesmenem, twoi bliscy pewnie już nie czują zakłopotania, prawda? Powiększanie majątku bardziej przystoi Matthewsowi niż ściganie się po torze. Oczywiście ty pieniędzy masz w bród, więc mógłbyś leżeć do góry brzuchem i nic nie robić.

- A propos pieniędzy... jeśli chcesz mnie ich pozbawić, to bierz się do jedzenia. - Uśmiechnął się. - Tracenie forsy pochłania więcej energii niż zarabianie.

Foxy posłusznie chwyciła sztucce.

Był wczesny wieczór, kiedy weszli do kasyna. Zapominając o swojej „światowości”, Foxy zaczęła rozglądać się wokół z zafascynowaniem. Ekscytująca atmosfera, elegancja, oszałamiający przepych - trudno się temu oprzeć.

- Boże! - szepnęła, ściskając rękę Lance'a.
- Tu jest... po prostu bajecznie!

W oczy rzucały się wspaniałe kreacje gości oraz zdobiące szyje, nadgarstki i uszy pań piękne kolczyki, kolie i bransolety. W powietrzu rozbrzmiewały rozmowy prowadzone we wszystkich językach świata, nad które od czasu do czasu wzbijały się wypowiedane przez krupierów francuskie zwroty. Rozmowom towarzyszyły też inne dźwięki: stukot kulek obracających się na tarczy, szura-

nie drewnianej łopatką po suknie, szurgot tasowanych kart, szelest banknotów, brzęk monet.

Śmiejąc się wesoło, Lance otoczył Foxy ramieniem.

- Moja mała naiwna ślicznotko, oczy masz wielkie jak spodki. Naprawdę nigdy nie byłaś w jaskini hazardu?

- Przestań, Lance - powiedziała cicho, nie mogąc ochłonać z wrażenia. - Jak tu pięknie.

- Ale hazard pozostaje hazardem. Bez względu na to, czy gracz siedzi w miękkim fotelu, z kieliszkiem szampana w ręce, czy na stołku w obskurnym garażu, racząc się piwem z butelki.

Popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- Pamiętam, jak graliście w pokera. Chciałam się przyłączyć. Nigdy mi nie pozwalaliście.

- Byłaś niewinnym dzieciątkiem. - Pogładził ją po szyi.

- Akurat! Po prostu baliście się, że was orżnę.

Lance wybuchnął śmiechem. Foxy ogarnęły wyrzuty sumienia: cieszyła się z towarzystwa Lance'a. Ze Scottem, nawet w kasynie, wieczór byłby poprawnie nudny.

- Naprawdę masz wielkie lśniące oczy - szepnął jej nad uchem. - O czym myślisz, Foxy?

- Że powinnam być wściekła na ciebie za to, że wykołegowałeś Scotta - przyznała. - I na siebie, że tak dobrze się bawię. Mam okropne wyrzuty sumienia.

Pocałował ją lekko w usta.

- Ważne, że te wyrzuty sumienia nie przyprawiają cię o ból głowy.

- Na szczęście nie przyprawiają. Widocznie jestem samolubną egoistką.

- W takim razie idealnie do siebie pasujemy.

- Biorąc ją za rękę, ruszył w stronę stołu z ruletką.

Foxy usiadła na wolnym miejscu i skupiła uwagę na małej srebrnej kulce podskakującej na kole. Po chwili kulka się zatrzymała; zgarnawszy żetony, krupier ustawił je przed zwycięzcą. Stół przypominał wieżę Babel. Foxy słyszała zdania wypowiedane po włosku, po angielsku, niemiecku i w paru innych językach, których nie umiała rozpoznać. Twarze graczy były równie zróżnicowane: młode, stare, znudzone, pełne ożywienia, należące do osób średnio zamożnych oraz do osób dysponujących ogromnym majątkiem.

Zainteresowała ją kobieta siedząca naprzeciwko - dama o pięknej owalnej twarzy pokrytej siecią zmarszczek, które jedynie dodawały jej uroku, białych jak śnieg jedwabistych włosach oraz oczach w kolorze szmaragdów. Na jej szyi i w uszach połyskiwały brylanty. Ubrana w jaskrawoczerwoną jedwabną suknię, emanowała spokojem i pewnością siebie. Foxy patrzyła z zafascynowaniem, jak kobieta podnosi do ust długą czarną cygaretkę i zaciąga się dymem.

- Hrabina Francesca de Avalon z Wenecji

- szepnął Lance, wręczając Foxy kieliszek szampana. - Niezwykła, prawda?

- Wspaniała - przytaknęła. Nagłe ze zdziwieniem zobaczyła przed sobą równy stos żetonów. Pogłodziwszy je delikatnie, zerknęła pytająco na Lance'a: - Ile zwykle stawiasz?

Wzruszył ramionami, po czym zapalił papierosa.

- Są twoje. Ja tylko kibicuję.

Potrząsnęła ze śmiechem głową.

- Nawet nie wiem, ile są warte.

- Tyle co dobra zabawa - odparł, upijając łyk szampana.

Foxy postawiła pięć żetonów - równowartość pięciu tysięcy franków - na czarne.

- Nie chcę stracić wszystkich twoich pieniędzy naraz.

- To miło z twojej strony - oznajmił Lance. Z uśmiechem obserwował obracające się koło.

- *Vingt-sept, noir.*

- Ojej - zdziwiła się Foxy. - Wygraliśmy. - Podniosła głowę i popatrzyła w szare oczy Lance'a. - Nie miej takiej zadowolonej miny. Nowicjuszom zawsze dopisuje szczęście. - Wypiła łyk szampana. - To taka drobna forma zachęty. Jak się wygrywa na początku, to potem przegrana bardziej boli.

Wyciągnęła rękę w stronę dwóch stosów, każdy po pięć żetonów, stojących na czarnym polu, ale Lance ją powstrzymał.

- Muszą zostać tu, gdzie są. Za późno na zmianę.

- Boże, zagapiłam się! - Na jej twarzy malowało się przerażenie. - Tam musi być ponad sto dolarów!

- Chyba masz rację - przyznał z powagą Lance.

Ze zdenerwowaniem, a zarazem z podnieceniem obserwowała kulkę, która podskakiwała po obwodzie koła.

- *Cinq, noir* - ogłosił po chwili krupier.

Foxy zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą. Udało się! Czym prędzej, zanim znów będzie za późno, przysunęła do siebie cztery stosy po pięć żetonów. Słyszając za sobą cichy śmiech Lance'a, posłała mu groźne spojrzenie.

- Miałbyś za swoje, gdybym przegrała!

Skinąwszy na kelnera, Lance wskazał puste kieliszki po szampanie.

- Miałbym - zgodził się. - Słuchaj, a może tym razem postaw na kolumnę. - Strząsnął popiół do popielniczki. - Zaryzykuj.

- W porządku. Twoja forsa. - Przesunęła pięć żetonów pod pierwszą kolumnę.

Znów wygrała. Stos żetonów, jakie miała przed sobą, rósł z minuty na minutę. W pewnym momencie, całkiem nieświadomie, przegrała dwadzieścia tysięcy franków, ale po chwili je odzyskała. Nie wiadomo, czemu zawdzięczała szczęście: temu, że

grała bez obciążeń, nie wiedząc, jaką wartość przedstawiają żetony, że obstawiała bez planu czy temu, że zwyczajnie w świecie los jej sprzyjał. W każdym razie wygrywała prawie nieustannie. Bardzo się jej hazard podobał. Z podniecenia kręciło się jej w głowie, a może szumiało od szampana? Nie była pewna. Lance siedział obok, z przyjemnością śledząc emocje na jej twarzy. Była jak dziecko: cieszyła się, gdy stos żetonów rósł, posępniała, gdy czasem - rzadko! - malał.

- Nie chcesz sam obstawić? - spytała, wskazując na zgromadzone żetony.

- Po co? Tobie idzie całkiem nieźle. - Owinął wokół palca rudy kosmyk.

- Nieźle? Raczej wspaniale.

Obejrawszy się przez ramię, Foxy ujrzała szmaragdowe oczy hrabiny de Avalon. Drobnutka kobieta mierząca najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu stała wsparta o laskę zakończoną rączką z kości słoniowej. Stanowczym ruchem głowy nakazała Lance'owi, by usiadł z powrotem.

- *Signorina*, doskonale pani obstawia. - Mówiła po angielsku z leciutkim włoskim akcentem.

- Raczej na chybił trafił. - Foxy uśmiechnęła się promiennie. - Szczęście mi sprzyja. Prawdę mówiąc, przyszedłam tu z zamiarem przegrania fortuny.

- Następnym razem też zasiądę z zamiarem przegrania. Może wtedy mnie również szczęście dopisze?

Hrabina wbiła wzrok w Lance'a; przyglądała mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Ku swemu zdumieniu Foxy poczuła ukłucie zazdrości.

- Sprawia pan wrażenie, jakby mnie znał... Można wiedzieć, z kim mam przyjemność?

Lance dokonał prezentacji.

- Hrabino, przedstawiam pani Cynthię Fox...

Foxy uścisnęła wyciągniętą dłoń. Dłoń może była mała i krucha, lecz z zielonych oczu emanowała siła.

- Kochanie, jest pani śliczna, młoda i pełna wdzięku... - hrabina uśmiechnęła się, ukazując rząd idealnie białych zębów - ale jeszcze dziesięć lat temu zdołałabym odbić pani kawalera. Proszę nigdy nie ufać kobietom doświadczonym. - Po chwili skupiła uwagę na Lansie. - A pan, młody człowieku, jak się nazywa?

- Lance Matthews, hrabino. - Uniósł jej rękę do ust. - To dla mnie zaszczyt móc panią poznać.

- Matthews? - Zmrużyła oczy. - No tak, oczywiście! To samo bezczelne spojrzenie, ta sama rycerskość! - Parsknęła dźwięcznym śmiechem. - Dobrze znałam pańskiego dziadka. Można powiedzieć, że bardzo dobrze. Jesteście do siebie szalenie podobni. Nawet, Lancelocie Matthews, został pan nazwany na jego cześć.

- To prawda - przyznał Lance, czując do hrabiny instynktowną sympatię. - Uwielbiałem dziadka.

- Ja również. Dwa lata temu spotkałam na Martynice pańską ciotkę Phoebe. Co za straszna nudziara.

- Całkowicie się z panią zgadzam, hrabino.

Kobieta ponownie przeniosła wzrok na Foxy.

- Miej się na baczności, moja miła. Podejrzewam, że młody Lancelot to taki sam ladaco jak jego dziadek.

Zacisnęła dłoń na ręce dziewczyny.

- Och, jak ja pani zazdroszczę!

Po tych słowach odwróciła się i dumnym krokiem oddaliła. Wielka drobna postać w czerwieni.

- Co za niesamowita kobieta - powiedziała Foxy, uśmiechając się rzewnie do Lance'a. - Myślisz, że twój dziadek się w niej kochał?

- Tak. - Lance dał dyskretnie krupierowi znak, że kończą grę. - Przeżyli płomienny romans. Rodzina do dziś udaje, że nic takiego nie miało miejsca. Sprawę komplikowało to, że oboje nie byli wolni. Dziadek błagał Francescę, żeby zostawiła męża i zamieszkała z nim na południu Francji.

- Skąd to wiesz? - spytała zaintrygowana, nawet nie protestując, kiedy Lance odciągnął ją od stołu.

- Od dziadka. - Zarzucił Foxy szal na ramiona. - Kiedyś mi powiedział, że to była największa miłość w jego życiu. Największa i jedyna. Zmarł w wieku siedemdziesięciu kilku lat. Podejrzewam,

że nawet dzień przed śmiercią gotów byłby rzucić wszystko, żeby tylko zamieszkać z Francescą.

Szli razem przez dużą salę, nieświadomi pełnych zachwyty spojrzeń kierowanych w ich stronę; a rzeczywiście stanowili atrakcyjną parę: zgrabna rudowłosa dziewczyna i wysoki, przystojny brunet.

- Jakie to smutne. - Foxy westchnęła cicho. - Z drugiej strony współczuję twojej babce. Ciężko żyć, wiedząc, że mąż kocha inną kobietę.

- Ależ z ciebie niepoprawna romantyczka! - roześmiał się Lance. - Moja babka pochodzi z bostońskich Winslowów. Wyszła za dziadka z rozsądku, urodziła mu dwójkę dzieci, namiętnie grywała wbrzydza. Uważała, że miłość jest czymś niehigienicznym, w sam raz dla plebsu.

- Żartujesz, prawda?

- Nie do końca.

- Och nie, nie łap taksówki. - Powstrzymała go, po czym spojrzała na rozgwieżdżone niebo. - Jest tak ładnie. - Uśmiechając się, wzięła go pod rękę. - Hotel jest niedaleko, przejdźmy się.

Ruszyli przed siebie. Foxy czuła się tak, jakby unosiła się parę centymetrów nad ziemią. Od szampana kręciło się jej w głowie. Zapomniała o przestrodze hrabiny; nie tylko nie miała się na baczności, ale była całkowicie odprężona. Na niebie świecił wąski rożek księżyca, wokół niego migotały gwiazdy, w powietrzu unosił się zapach kwiatów...

- Wiesz co? - Puściła rękę Lance'a. - Uwielbiam palmy. - Śmiejąc się wesoło, pogładziła gruby, prosty pień. - Kiedy byłam mała, marzyłam o tym, żeby posadzić jedną w ogrodzie za domem. Ale palmy kiepsko rosną w Indianie. Musiałam się zadowolić sosną.

- Nie wiedziałem, że się interesujesz botaniką.

- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. - Przystanąwszy, oparła się o nabrzeżny murek i przez moment spoglądała w milczeniu na ciemne morze. - Kiedy miałam osiem lat, chciałam zostać nurkiem. Albo kardiologiem. Nie mogłam się zdecydować. A ty, Lance, kim chcesz być, jak dorośniesz?

- Miotaczem w drużynie Red Sox.

Wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Powiedz: ile wygrałam? - spytała po chwili.

- Hm? - Zapatrzonego w rude kosmyki opadające na szyję, nie usłyszał pytania.

- Ile wygrałam w kasynie? - powtórzyła, nie dbałym ruchem dłoni odgarniając włosy z czoła.

- Pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć tysięcy franków.

- Co takiego? - Z wrażenia aż się zakrztusiła.

- Pięćdziesiąt pięć tysięcy? To... to ponad dziesięć tysięcy dolarów!

- Owszem. - Wzruszył ramionami.

- Rany boskie! Lance, przecież równie dobrze mogłam przegrać!

- Ale nie przegrałaś. - Z rozbawieniem przy-

glądał się jej przerażonej minie. - Spisałaś się bardzo dobrze. A raczej bardzo źle, zważywszy na to, że chciałaś uszczuplić stan mojego konta.

- Nie miałam pojęcia, ile te żetony są warte. Gdybym wiedziała, grałabym ostrożniej. Boże... jesteś szalony! - Zaczęła trząść się ze śmiechu.

- Słowo daję, powinieneś trafić do czubków!

- Wciąż śmiejąc się wesoło, oparła głowę na jego ramieniu i nawet nie zaprotestowała, kiedy ją objął.

- Wariacie jeden, naprawdę mogłam przegrać! Wtedy pewnie zemdlałabym z wrażenia i dopiero miałbyś kłopot! - Biorąc kilka głębokich oddechów, otarła łzy, które spływały jej z oczu. - Cholera, nie dość że jesteś nieprzyzwoicie bogaty, to jeszcze powiększyłam twój majątek o kolejne dziesięć patyków.

- Te dziesięć patyków, jak je nazywasz, należy do ciebie.

- No co ty? - zawołała oburzona. - To były twoje żetony... - Nagle jej uwagę przyciągnęła rosnąca w trawie stokrotka. Zerwała ją. - A poza tym... - wetknęła kwiatek we włosy - gdybym przegrała, nie oczekiwałbyś, że ci zwrócę forszę, prawda? - Uśmiechnęła się, zadowolona z argumentu, na jaki wpadła. - Oczywiście - dodała po chwili - gdybyś chciał, mógłbyś mi za wygraną kupić jakiś ekstrawagancki drobiazg. To by było uczciwe.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Hm... - Ciszę zakłócał rytmiczny stukot jej obcasów. - Może parka chartów rosyjskich? Albo nie! - Zapiszczała radośnie. - Dwa konie rasy clydesdale; mają takie cudne kitki na pęcinach. O, albo stadko albańskich kózek! Jestem pewna, że w Albanii hoduje się kozy.

- A nie wolałabyś soboli?

- Soboli? - Skrzywiła się. - Nie przepadam za martwymi zwierzętami. - Na moment zamilkła.

- Już wiem! Para czarnych bezrogich krów rasy aberdee angus; założę hodowlę. - Podjąwszy decyzję, przystanąła i utkwiała spojrzenie w Lansie.

- Tylko pamiętaj: koniecznie musi być samiec i samica. Bo inaczej nici z hodowli.

- Oczywiście - szepnął, obejmując ją w pasie.

- Samiec i samica, bo inaczej nici.

- Wiesz, nie powinnam ci tego mówić - wzdychając cicho, zarzuciła mu ręce na szyję - ale bardzo się cieszę, że przestraszyłeś Scotta.

- Naprawdę? - Pocałował ją lekko w ucho.

- Naprawdę. I wiesz co teraz bym bardzo chciała? Żebyś mnie pocałował w usta.

Nie musiała powtarzać prośby. Ich wargi zwały się w gorącym pocałunku, ciała w uścisku. Nawet nie zauważyła, kiedy szal ześliznął się jej z ramion i spadł na ziemię.

Usta Lance'a odbywały wędrówkę po jej twarzy i szyi. Zrobiło się jej gorąco. Mruczając z rozkoszy, zacisnęła powieki. Niczego więcej nie pragnęła.

- Och, Lance - szepnęła z niedowierzaniem, kiedy wreszcie uniósł głowę. - Nie wiem, czy to od pocałunku, czy od szampana, ale świat wiruje mi przed oczami.

Ujmując Foxy za brodę, zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Pragnę cię - szepnął. - Do szaleństwa.

Przytulił ją mocniej do siebie. Nie opierała się. Jej ciało znów ogarnął ogień.

- Nie. Poczekaj... - Uwolnwszy się, cofnęła się o krok. - Kiedy mnie całujesz, dzieje się ze mną coś *dziwnego*. Przestaję myśleć. Tracę nad sobą kontrolę.

- Jeśli usiłujesz mnie zniechęcić... - Ponownie zgarnął ją w ramiona. - Nie uda ci się. Ja się nie poddam.

- Wiem. - Pogładziła go po policzku. - Doskonale o tym wiem. - Odwróciwszy się, podeszła do murka i wciągnęła w płuca morskie powietrze. - Zawsze podziwiałam cię za upór i determinację. Za wolę zwycięstwa. - Zerknęła za siebie, ale nie widziała twarzy Lance'a; stał pod palmą, gdzie nie docierało światło księżycy. - Kiedy miałam czternaście lat, zakochałam się w tobie bez pamięci.

Wyłoniwszy się z cienia, schylił się, by podnieść z ziemi jedwabny szal.

- Naprawdę?

- Tak. - Targane wiatrem włosy wpadały jej do oczu. - Byłeś moją pierwszą wielką miłością

- ciągnęła w przystępie wywołanej szampanem szczerości. - Patrzyłam w ciebie jak w obrazek. - Uśmiechnęła się. - Wydawałeś mi się taki silny, taki niezniszczalny. Chodziłeś zamyślony, jakbyś nie dostrzegał świata zewnętrznego...

- Zamyślony, powiadasz? - Okrył ją szalem.

- Poważny, skupiony. Zwłaszcza przed wyścigiem. Strasznie mnie to fascynowało. No i twoje ręce...

- Moje ręce? - zdziwił się, wyjmując z kieszeni zapalniczkę.

- Tak. Piękniejszych w życiu nie widziałam. Szczupłe, silne, o długich palcach. Często myślałam, że powinieneś być muzykiem albo malarzem. A czasami wyobrażałam sobie, że tak jest, że mieszkasz wśród sztalug na poddaszu, a ja się tobą opiekuję. - Owinęła się ciasniej szalem. - Bardzo chciałam się kimś opiekować. Szkoda, że nie miałam psa. - Pochłonięta wspomnieniami, nawet nie zauważyła, że Lance nie roześmiał się razem z nią. - Byłam okropnie zazdrosna o te wszystkie dziewczyny, które kręciły się koło ciebie. Co jedna to piękniejsza. Najładniejsza nazywała się Tracy McNeil. Pewnie jej nawet nie pamiętasz.

- Zupełnie nie. - Zaciągnął się papierosem.

- Miała cudowne włosy w kolorze pszenicy. Idealnie proste. Długie do pupy. A ja nienawidziłam swoich rudych loków, nigdy nie mogłam nad nimi zapanować. I wiesz co? Świącie wierzyłam,

że całowałaś się z Tracy tylko z powodu jej złocistych włosów. To niesamowite, że ja, która wyrastałam w męskim świecie, mogłam być aż tak naiwna. - Wciągnęła w nozdrza powietrze. - W każdym razie przez cały rok wzdychałam za tobą. Wyobrażam sobie, że musiałam dawać ci się nieźle we znaki, ale traktowałaś mnie z wyrozumiałością. - Ziewnęła; powoli robiła się śpiąca. - Kiedy skończyłam szesnaście lat, poczułam się dorosła. Chciałam, żebyś widział we mnie kobietę, a nie dziecko. Szukałam okazji, żeby jak najczęściej być blisko ciebie. Zauważyłaś?

- Owszem. - Wypuścił z ust kłęby dymu, które natychmiast porwał wiatr. - Zauważyłem.

Foxy pokręciła ze śmiechem głową.

- Kurczę! A mnie się wydawało, że jestem taka dyskretna. No cóż.... Zawsze byłeś dla mnie miły, dlatego kiedy w końcu straciłeś cierpliwość, bardzo to przeżyłam. Pamiętasz tamten wieczór? To było w La Mans, dzień przed dwudziestoczerogodzinnym wyścigiem - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. - Nie mogłam spać, więc wybrałam się na tor. Kiedy zobaczyłam, jak idziesz w stronę boksów, uznałam, że to zrzącenie losu. - Zaczęła bawić się stokrotką we włosach. - Poszłam za tobą. Ręce miałam mokre ze zdenerwowania. Chciałam, żebyś po raz pierwszy w życiu spojrzął na mnie jak na kobietę.

Staralam się być beztroska, pamiętasz? „Cześć,

Lance. Co robisz? Też nie możesz spać?" Miałeś na sobie czarny sweter; do twarzy ci było w czerni. Od kilku tygodni trzymałeś mnie na dystans, byłeś taki chłodny i nieprzystępny, co w moich oczach czyniło cię jeszcze bardziej pociągającym. - Uśmiechając się czule, pogłaskała go po twarzy. - Biedny Lance. Musiałeś się czuć niezręcznie, kiedy się tak za tobą uganiałam.

- Niezręcznie? To mało powiedziane. - Wrzucił żarzącego się papierosa do wody.

- Chciałam być dorosła, światowa - ciągnęła, nie słysząc irytacji w jego głosie. - Ale nie wiedziałam, co zrobić, żebyś się mną zainteresował. Żebyś mnie pocałował. Usiłowałam sobie przypomnieć jakieś sztuczki stosowane przez aktorki w filmach. Podniosłeś pokrywę silnika, zacząłeś coś sprawdzać. Pewnie modliłeś się, żebym ci dała święty spokój. Paliło się jedno małe światełko, w powietrzu unosił się zapach oleju i benzyny. Cała sceneria wydawała mi się szalenie romantyczna. - Uśmiechnęła się szeroko. - W każdym razie stałam za tobą, nerwowo zastanawiając się nad tym, jak się zachować. Po chwili zaciekawiło mnie, co przykręcasz. Usiłowałam zajrzeć ci przez ramię, ty się wyprostowałeś, no i zderzyliśmy się. Przytrzymałeś mnie, żebym nie upadła. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Patrzyłeś na mnie takim dziwnym wzrokiem. Pomyślałam sobie: zaraz mnie pocałuje. Chwyci w objęcia i pocałuje.

Byliśmy jak Clark Gable i Vivien Leigh, a ten śmierzący smarami boks był naszą Tarą. Ale nie pocałowałeś. Zacząłeś się wydzierać, krzyczeć, że ciągle pętam ci się pod nogami, że jestem głupim, rozpuszczonym bachorem. To mnie najbardziej zabolalo, ten bachor. Wszystko bym wytrzymała, ale bachor... Za jednym zamachem zraniłeś moją dumę, zmiażdżyłeś ego, zburzyłeś fantazje. Nie myślałam o tym, że denerwujesz się przed jutrzejszym startem. Ani o tym, że faktycznie ci przeszkadzam. Myślałam tylko o sobie, o tym, jaka jestem biedna i nieszczęśliwa. Zawsze kiedy cierpię, uruchamia się we mnie mechanizm obronny. Wtedy też tak było. Kiedy wybiegłam z boksu, już cię nie kochałam. Ziałam do ciebie nienawiścią.

Delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Wybaczyłaś mi?
- Chyba tak. - Błysnęła zębami w uśmiechu.
- W końcu minęło już tyle lat. Właściwie to jestem ci wdzięczna, bo przestałam karmić się ułudą. - Ziewając szeroko, oparła głowę na jego ramieniu.
- Chodź - powiedział cicho, przytulając ją do siebie. - Wracajmy do hotelu, zanim mi tu zaśniesz na stojąco.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyścig o Grand Prix Monako rozgrywa się w samym sercu miasta. Trasa jest krótka, liczy niecałe trzy i pół kilometra długości; zawodnicy muszą ją przejechać sto razy. Podczas jednego okrążenia czeka ich jedenaście zakrętów, w tym dwa nawroty. W przeciwieństwie do innych torów, ten nie biegnie po płaskim terenie - wznosi się i opada; różnica poziomów dochodzi do pięćdziesięciu metrów. Po drodze na zawodników czyha wiele niebezpieczeństw: krawężniki, nabrzeżne mury, stumetrowej długości tunel, latarnie, no i oczywiście lśniaca w słońcu tafla wody.

Kierowca musi być cały czas maksymalnie

skupiony. Jest to wyjątkowy wyścig pod każdym względem, krótszy i wolniejszy od innych wyścigów Formuły 1, lecz zdecydowanie trudniejszy i bardziej męczący. Tu najlepiej sprawdza się wytrzymałość zawodnika oraz solidność i niezawodność samochodu.

Pam cudem udało się dopaść Kirka i poprosić go o wywiad. Do startu były jeszcze dwie godziny; w boksach panował niesamowity tłok i harmider. W Monte Carlo boksy mieszczą się tuż nad malowniczą zatoką; za nimi widać łagodnie kołyszące się na wodzie jachty i żaglówki. Pam rozejrzała się, szukając wzrokiem Foxy. Czułaby się pewniej, mając ją u boku. Ale Foxy nigdzie nie było widać; no trudno.

Popatrzyła w oczy swojego rozmówcy. Zawsze to robiła, zawsze też ubierała się elegancko. Jej szczupła, drobna sylwetka oraz delikatne rysy sprawiały, że ludzie tracili czujność; nie domyślali się, że ta krucha kobieta ma przenikliwy umysł.

- Słyszałam wiele sprzecznych opinii na temat tego toru - zaczęła, przywołując na usta profesjonalny uśmiech. - Niektórzy, zwłaszcza konstruktorzy samochodów, uważają, że to, co się tu odbywa, to spacerek, a nie wyścig. A ty jak uważasz?

- Ja to traktuję jak wyścig - odparł, popijając kawę. - Kierowcy nie rozwijają oszałamiających prędkości, rzadko przekraczają dwieście na godzinę, a na ostrych zakrętach zwalniają do czterdzie-

tu. Ale tu bardziej niż szybkość liczą się umiejętności i wytrzymałość.

- Zawodnika czy auta?

Roześmiał się. Ku zaskoczeniu Pam oczy Kirka przybrały jeszcze bardziej zielony kolor.

- Jednego i drugiego. W ciągu dwóch i pół godziny zmienia się biegi co najmniej dwa tysiące razy. To męczące, i dla człowieka, i dla samochodu. Potem kwestia tunelu. Ze światła wpada się w mrok, potem znów w jasność. Zdarzyło się, aby wyczerpały ci się baterie? - spytał zniecierpliwiony, wskazując na magnetofon, który nosiła na ramieniu.

- Nie - odparła, nie dając się zbić z tropu. Chrząknęła, po czym kontynuowała: - Dwa lata temu miałeś na tym torze wypadek. Zakończyło się złamaną ręką i skasowanym samochodem. Czy to doświadczenie wpłynie na twoją dzisiejszą jazdę?

- Nie. A dlaczego miałyby? - Dopił do końca kawę. Wpatrywał się w Pam w skupieniu, jakby zupełnie nieświadom krążących wokół zaafierowanych ludzi.

- Nie boisz się, że znów może ci się przydarzyć kolizja? - Niecierpliwym gestem wsunęła za ucho kilka niesfornych kosmyków, odsłaniając mały turkusowy kolczyk. - Że następnym razem może się nie skończyć na złamaniu? Że możesz zginać? Nie myślisz o tym, kiedy zbliżasz się do odcinka, na którym się poprzednio rozbiłeś?

- Nie. - Zgniół w ręku tekturowy kubek

i rzucił go niedbale na bok. - Nie myślę o wypadku. Myślę wyłącznie o wyścigu.

- Wykazujesz zdumiewającą beztroskę. - Nie wiedziała dlaczego, ale jego odpowiedź ją zirytowała. Zawsze podczas wywiadu potrafiła zachować spokój, teraz jednak czuła, że wypuściła z ręki wodze, w dodatku wcale nie miała ochoty się po nie schylać. - Albo arogancję. Przecież wystarczy moment dekoncentracji, błędna ocena sytuacji na torze, drobna usterka w bolidzie i nieszczęście gotowe. Nieraz wyciągano cię z wraku, miałeś połamane kości, leżałeś w szpitalu... Powiedz: co się dzieje w twojej głowie, kiedy zamknięty w kokpicie pędzisz z prędkością trzystu kilometrów na godzinę? O czym myślisz, kiedy zapinasz pasy?

- O tym, żeby wygrać - odparł bez wahania.

Pełen żaru ton Pam nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Ale to, że policzki miała lekko zaczerwienione, nie uszło jego uwadze. Chętnie by je pogładził. Również włosy, które lśniły złociście w promieniach słońca. Przesunął wzrok niżej, do jej warg...

- Czy wygrywanie jest aż tak ważne?

Ponownie popatrzył jej w oczy.

- Tak. Tylko ono się liczy.

Widać było, że szczerze wierzy w to, co mówi. Pam pokręciła bezradnie głową.

- W życiu nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

- Wzięła kilka głębokich oddechów, by spowolnić

bicie serca. - Nawet wśród tych wszystkich kierowców stanowisz wyjątek. Podejrzewam, że gdyby to od ciebie zależało, najchętniej umarłbyś na torze. W blasku chwały.

Wyszczerzył zęby.

- Wiesz, to nie byłoby złe. Ale wolałbym odłożyć tę chwilę o jakieś pięćdziesiąt lat. No i wolałbym też, żeby śmierć nastąpiła, kiedy już minę metę.

Nie zdołała pohamować uśmiechu. Co za wariat! Ale przynajmniej jest szczerzy.

- Wszyscy rajdowcy są takimi szaleńcami?

- Chyba tak. - Zanim zorientowała się, co Kirk chce zrobić, zanurzył rękę w jej włosach. - Mmm, jakie miękkie. Zastanawiałem się, czy tylko tak wyglądają, czy takie są naprawdę. - Po chwili wierzchem dłoni przejechał po jej policzku. - Skórę też masz jedwabistą.

Milczała. Chyba po raz pierwszy w życiu straciła rezon.

- Mówisz cicho, w sposób melodyjny. I zawsze wyglądasz jak grzeczna pensjonarka. Podoba mi się to; ilekroć na ciebie patrzę, mam ochotę potargać ci włosy.

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Ogarnęła ją złość. Psiakrew! To podlotki się rumienia, a nie dojrzałe kobiety! Myślała, że już dawno z tego wyrosła!

- Usiłujesz mnie poderwać? - spytała, siląc się na drwiący ton.

Parsknął śmiechem. Uświadomiła sobie, że w podobny sposób śmieje się Foxy.

- Nie. Kiedy zacznę cię uwodzić, nie będziesz miała czasu na zadawanie pytań.

Ni stąd, ni zowąd przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie w usta. Smakowała jak pyszny deser, którego nie ma się dość, dlatego tak trudno było mu wypuścić ją z objąć.

- To była drobna próbka... - rzekł.

Odwróciwszy się na pięcie, odszedł w stronę samochodu. Pam potarła palcem wargi. Wariat. Po prostu szaleniec, pomyślała. Sama przed sobą bała się przyznać do własnych uczuć.

Prawie dwie godziny później Foxy stała dokładnie w tym samym miejscu. Od rana miała podły humor. Pamiętała każdy szczegół wczorajszego wieczoru. Niestety, film jej się urwał, a szampan ani trochę nie zatarł wspomnień.

Powiedziała Lance'owi, żeby ją pocałował. Niemal mu rozkazała. Nie dość, że poszła z nim na kolację i do kasyna, to jeszcze kilkakrotnie podkreślała, jak świetnie się bawi. Cholerny szampan! Zniecierpliwionym gestem nasunęła głębiej na oczy słomkowy kapelusz. Po chwili znów wróciła myślami do wczorajszego wieczoru. Psiakość!

W dodatku koniecznie musiała mu wypaplać, jak to się w nim podkochiwała przed laty i jak fantazjowała na jego temat. Co za upokorzenie!

Dlaczego nie ugryzła się w język? Zacisnąwszy powieki, jęknęła w duchu. Kretynka! Znad morza zerwał się lekki wiatr. Dzięki Bogu; może ostudzi jej rozgrzane ciało. Podniosła do oczu aparat. Zaczęło się pierwsze okrażenie, tak zwane rozgrzewkowe. Pstrykając zdjęcia, marzyła o tym, aby do końca sezonu nie widzieć Lance'a. A jeszcze lepiej, do końca życia.

Kiedy kierowcy zajmowali miejsca do startu, Foxy szybko zmieniła pozycję. Po chwili powietrzem wstrząsnął potężny ryk silników. Wystartowali! Ubrana w sprane džinsy, białą bluzkę i wielki słomkowy kapelusz klęczała na ziemi, skoncentrowana na pracy. Podniosła się z kolan, dopiero gdy pierwszy samochód zniknął za zakrętem. Odwróciwszy się, wpadła prosto na Lance'a. Przytrzymał ją, by nie straciła równowagi. Psiakrew! Czym prędzej oswobodziła się z jego uścisku, po czym udała, że poprawia aparat.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że stoisz za mną.

Świadoma, że w końcu będzie musiała spojrzeć mu w oczy, ogarnęła z twarzy włosy i uniosła głowę. Spodziewała się zobaczyć bezczelną minę z kpiącym uśmiechem. A tymczasem Lance przyglądał się jej w skupieniu i z powagą.

- Patrzysz na mnie jak na silnik, z którego dochodzą dziwne szmery. - Marszcząc czoło, w torbie na aparaty zaczęła szukać okularów

słonecznych. Poczwała się znacznie lepiej, kiedy nasunęła je na nos. Zawsze to jakaś osłona.

- No cóż... czasem silnik sprawia niespodziankę.

Nie była pewna, jak potraktować jego wypowiedź. W dalszym ciągu przyglądał się jej bez słowa. Było to okropnie denerwujące. W dodatku wiedziała, że Lance może to robić godzinami. Kiedy chciał, potrafił zdobyć się na nadludzką cierpliwość. Czując, że z nim nie wygra, że tak i tak pierwsza opuści wzrok, postanowiła przejąć inicjatywę.

- Lance, chciałabym z tobą porozmawiać o wczorajszym wieczorze...

Przerwał jej ryk śmigających obok wozów. Po pierwszym okrażeniu wciąż stanowiły zwartą masę. Biorąc głęboki oddech, Foxy ponownie utkwiała wzrok w swym rozmówcy. A on w dalszym ciągu milczał. Z radością by go udusiła.

- Widzisz, wczoraj nie byłam sobą... - Z każdą sekundą traciła pewność siebie. - Szampan... to znaczy alkohol szybko uderza mi do głowy, dlatego zwykle się go wystrzegam. Nie chcę, żebyś myślał... żebyś miał błędne... to znaczy, nie zamierzałam... - Sfrustrowana, wsunęła ręce do kieszeni i zamknęła oczy. - Ratunku! -jęknęła, spoglądając w bok.

Lance patrzył na nią z zaciekawieniem. Jak to możliwe, zastanawiał się, zarzucić wędkę, a jednocześnie być rybką?

Pięknie, Foxy, pogratulowała sobie w duchu. Spróbuj jeszcze raz, może uda ci się wydukać

choć jedno zdanie. No, wyduś to wreszcie z siebie!

Unosząc dumnie głowę, ponownie obróciła się twarzą do Lance'a.

- Jeśli zachowywałam się tak, jakbym chciała iść z tobą do łóżka, to przepraszam. Nie taki był mój zamiar. - Wypuściła z płuc powietrze i dodała:

- Zdaję sobie sprawę, że mogłeś odnieść takie wrażenie. Wolałabym jednak, żeby w tej sprawie nie było między nami nieporozumień.

- Ależ nie ma.

Zabrzmiało to dwuznacznie.

- No tak... Kiedy odprowadziłeś mnie do pokoju, nawet nie... nie próbowałeś...

- Cię uwieść? - spytał.

Szybkim ruchem zsunął jej z nosa ciemne okulary. Zamrugała. Słońce raziło ją w oczy.

- Nie, nie próbowałem. - Zacisnął rękę na jej ramieniu. - Choć mogłem, prawda? Cóż, wczoraj akurat miałem ochotę być dżentelmenem.

- Uśmiechając się leniwie, ściszył głos. - Niepotrzebny mi szampan, żeby cię uwieść, Foxy.

Zanim zdążyła się wyrwać, musnął wargami jej usta. Była to zapowiedź tego, co ją czeka. Obietnica dalszych pocałunków. Zirytowana spokojem i arogancją Lance'a, a także wściekła na siebie z powodu przyspieszonego bicia serca, wyszarpięła ramię, po czym chwyciła swoje okulary.

- Za dużo sobie pozwalasz! - wycedziła przez

zęby, czego Lance nie usłyszał, bo w tym samym momencie samochody zaczęły kolejne okrążenie. Rozdrażniona zerknęła za siebie, po czym wbiła w Lance'a wzrok. - Po prostu miej na uwadze, że wczoraj nie byłam sobą. Alkohol uderzył mi do głowy i wszystko, co mówiłam... - Policzki jej płonęły. Chryste, co za lichy ją podkusiło, żeby opowiadać Lance'owi o swoim uczuciu do niego? - ...to jeden wielki stek bzdur.

- Stek bzdur, powiadasz?

- Miałam szesnaście lat. Byłam młoda i naiwna. Chyba nie muszę się dalej tłumaczyć?

- Szesnastu lat już nie masz, ale nadal jesteś naiwna.

- Wcale nie! - oburzyła się. Widząc, jak Lance unosi brwi, zreflektowała się, że w ten sposób niczego nie osiągnie, a jedynie narazi na szwank swą dumę. - Oczywiście masz prawo do subiektywnej oceny. Nie zamierzam się z tobą kłócić. A teraz wybacz, ale chciałabym wrócić do pracy. Myślę, że znajdziesz sobie jakieś ciekawe zajęcie na kolejnych dziewięćdziesiąt osiem okrążeń.

- Dziewięćdziesiąt siedem - poprawił ją, patrząc, jak mija ich kilka pierwszych wozów. - Kirk jest trzeci. - Ponownie przeniósł spojrzenie na Foxy. - A moja, jak ją nazywasz, subiektywna ocena twojej osoby sprawia, że mam ochotę postępować wobec ciebie jak dżentelmen. To prawdziwe wyzwanie. - Jego twarz rozjaśnił łobuzerski

uśmiech. - Ale nigdy nie wiadomo, kiedy przestanę być miłym i kulturalnym facetem.

- Miłym kulturalnym facetem? - Wzniosła oczy do nieba.

Wciąż szczerząc w uśmiechu zęby, wyjął jej z rąk okulary i delikatnie nasadził na nos, po czym odwrócił się i odszedł.

Przez kolejne trzy miesiące Foxy stawała na głowie, by jak najrzadziej widywać Lance'a. Po Monako pojechali do Francji, z Francji do Anglii, z Anglii do Niemiec; wszędzie starała się schodzić Lance'owi z drogi. Trzymała się blisko Pam; zakładała, że gdy przebywa z przyjaciółką, Lance nie będzie próbował wszczynać z nią rozmowy. I nie próbował.

Jej radość z sukcesu maćił jedynie fakt, iż Lance nie sprawiał wrażenia zmartwionego. Od wyjazdu z Monako wszyscy mieli mnóstwo roboty. Praca, przejazdy, posiłki, sen - na nic innego nie starczało czasu. Jeden wyścig się kończył, następny się zaczynał, to oznaczało próby i treningi. Po kilku tygodniach wszystkie hotele wyglądały identycznie, tylko tory się różniły; z każdym wiązały się inne problemy, inne niebezpieczeństwa.

Pod koniec sezonu dotarli na tor Monza, gdzie kierowcy Formuły 1 walczyli o Grand Prix Włoch. Podczas tych kilku męczących miesięcy spędzonych w Europie Foxy uświadomiła sobie jedną

ważną rzecz: że nigdy więcej nie chce brać udziału w tej imprezie, nawet jako widz. Kiedyś uwielbiała jeździć z miasta do miasta, z toru na tor, ale to się skończyło. Teraz z każdym wyścigiem nerwy miała coraz bardziej napięte, z coraz większym trudem zachowywała spokój. Zrozumiała, że te dwa lata spędzone z dala od torów zmieniły ją. Nie mogłaby stale żyć atmosferą wyścigów. Obiecała sobie, że jeśli jeszcze kiedykolwiek wróci do Włoch, to tylko po to, by zwiedzić Rzym lub Wenecję. O Monzę nawet nie zahaczy.

Za dnia na torze odbywały się treningi, powietrze aż wibrowało od nieustającego ryku silników, wieczorem zaś cisza dudniła w uszach. Foxy siedziała na pustych trybunach. W pewnym momencie wydawało jej się, że nie tylko słyszy świst wozów widm, ale również czuje jakiś podmuch. Na czystym bezchmurnym niebie świecił wielki okrągły księżyc, towarzyszyły mu dziesiątki gwiazd. Z pobliskiego lasu docierał lekko piżmowy zapach drzew. Od czasu do czasu ciszę przerywało cykanie świerszczy. Było ciepło, ale już nie upalnie jak za dnia, kiedy grzało słońce.

Idealny wieczór dla zakochanych, pomyślała Foxy. Oczami wyobraźni ujrzała Lance'a. O nie, muszę od niego odpocząć! Podskoczyła nerwowo, kiedy czyjaś ręka zacisnęła się na jej ramieniu.

- Kirk? - Obejrzawszy się, uśmiechnęła się czule. - Nie słyszałam twoich kroków.

- Co tu robisz sama jedna? - spytał, siadając obok.

- Zatęskniłam za ciszą i spokojem. W hotelu panuje za duży ruch. A ty co tu robisz?

Wzruszył ramionami.

- Lubię wpaść na tor w wieczór poprzedzający wyścig. - Wyciągnąwszy się wygodnie, oparł nogi o ławkę przed sobą. - Monza to piekielnie szybki tor. Jutro ustanowimy nowy rekord - powiedział tonem człowieka, który ma dokładnie sprecyzowane plany i zamierza je zrealizować.

- Charlie naprawił tłumik? - spytała Foxy. Nie myślała o żadnym tłumiku, o samochodzie czy wyścigu, lecz o nim, Kirku. Podobnie jak w przeszłości, teraz też usiłowała czerpać spokój z jego siły.

- Tak. Czy Lance ci się naprzykrza?

Zaskoczona pytaniem, którego się nie spodziewała, przez chwilę milczała.

- Co? - wykrztusiła w końcu.

- Słyszałaś. - W jego oczach malował się wyraz powagi i zatroskania. - Czy Lance ci się naprzykrza?

- Czy się naprzykrza? - Przygryzła w zadumie wargę. - Możesz wyrażać się nieco jaśniej?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi! - Wstał zirytowany i utkwiał wzrok w asfaltowym torze. - Widziałem, jak się na ciebie gapi. Gapienie się mi nie przeszkadza. Ale jeżeli próbuje się do ciebie dobrać...

Przytknęła ręce do ust, lecz nie zdołała zdusić śmiechu. Kirk obrócił się; kipiał furia. Foxy walczyła z sobą, usiłując przybrać poważną minę. Walkę przegrała. Zaczęła chichotać.

- Co cię, do diabła, tak śmieszy? - spytał.

- Kirk, ja... - Zakrztusiła się. Wzięła kilka głębokich oddechów i dopiero wtedy dodała:

- Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nie spodziewałam się takiego pytania. - Uszczypnęła się w nogę, by znów nie wybuchnąć śmiechem.

- Zwróć uwagę, że mam dwadzieścia trzy lata.

- No i co z tego? - Patrząc w jej roześmiane oczy, skrzywił się. Czuł się jak idiota.

- Kirk, kiedy miałam szesnaście lat, nie interesowało cię, z jakimi chłopcami się zadaję, a teraz...

- Lance nie jest chłopcem - przerwał jej gniewnie. Przechesał ręką włosy. Jasne loki wróciły dokładnie na to samo miejsce. - A ty nie masz szesnastu lat.

- Już to gdzieś słyszałam - mruknęła pod nosem.

Wzdychając ciężko, wsunął ręce do kieszeni,

- Powinienem być poświęcać ci więcej uwagi.

- Kirk... - Poważniejąc, podniosła się z ławki i stanęła obok brata. - To miło, że się o mnie troszczysz, ale całkiem niepotrzebnie.

Wzruszona, położyła głowę na jego ramieniu. Jakież to dziwny człowiek, pomyślała. Z jednej

strony zimny, twardy, skupiony na rywalizacji, z drugiej ciepły i kochany.

- Potrzebnie, potrzebnie - rzekł, chociaż w głębi duszy pragnął jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Lance był jego najlepszym przyjacielem; z nikim, poza Foxy, nie czuł się tak blisko związany. Przeżyli razem wiele szalonych przygód. I właśnie pamięć o tych szalonych przygodach sprawiała, że nie mógł teraz zamilknąć. - Nadal jesteś moją małą siostrzyczką. Nawet jeśli trochę wydorostałaś.

- Trochę? - Rozciągnęła wargi w uśmiechu. Oczy lśniły jej wesoło. - Kirk, dwudziestotrzyletnie kobiety wychodzą za mąż, rodzą dzieci...

- Posłuchaj, Foxy-wszedł jej w słowo. - Znam Lance'a. Wiem, jak on... - Mruknął coś pod nosem.

- Jak on co? Działa? Podrywa? - Pocałowała brata w policzek. - Nie martw się o mnie. W college'u nauczyłam się nie tyłko sztuki fotografowania. - Widząc naburmuszoną minę brata, pocałowała go w drugi policzek. - Dobrze, powiem ci, skoro to cię tak dręczy: nie, Lance mi się nie naprzykrza. Gdyby się naprzykrzał, umiałabym sobie z nim poradzić. Słowo honoru. Ale się nie naprzykrza. Prawie wcale się do mnie nie odzywa.

- Uświadomiwszy to sobie, nagle posmutniała.

- Ale patrzy - burknął Kirk, spoglądając na piękne włosy siostry, które lekko mierzwił wiatr.

- Ciagle wodzi za tobą wzrokiem.

- Wydaje ci się - oznajmiła stanowczo. Musi

czym prędeż zmienić temat; rozmowa o Lansie przywoływała wspomnienia, o których wolałaby zapomnieć. - Panie Fox, czy zawsze przed wyścigiem jest pan taki milczący i zamknięty w sobie? - spytała tonem dziennikarza sportowego.

Nie od razu odpowiedział; wpatrywał się w tor. Obserwując brata, Foxy zastanawiała się, co takiego on tam widzi, czego ona nie potrafi dostrzec.

- Wiesz, niedawno zrozumiałem, że żadna kobieta nie powinna się wiązać z takim mężczyzną jak ja. Że przeżyje jedynie ból i rozczarowanie.

- Obrócił się twarzą do siostry. Wydawał się spięty, zaferowany czymś więcej niż jutrzejszym wyścigiem. - Lance i ja jesteśmy bardzo podobni - ciągnął. - Nie chcę, żebyś przez niego cierpiała. On może cię bardzo skrzywdzić, w sposób niezamierzony, ale może.

- Kirk...

- Znam go, Foxy. - Zacisnął ręce na ramionach siostry. - Samochody zawsze były dla niego najważniejsze. Żadna kobieta nie mogła z nimi konkurować. Nie warto zadawać się z takimi facetami jak on i ja. Zawsze będzie kolejny wyścig, kolejny nowy samochód, kolejny tor. Kiedy zbliżają się zawody, nikt i nic się dla nas nie liczy. Zaslugujesz na lepsze życie, Foxy, chociaż do tej pory byłaś skazana właśnie na takie. Nigdy nie miałem dla ciebie czasu, nie...

- Przestań, Kirk. - Objęła go za szyję. - Prze-

stań, błagam. - Przytuliła twarz do jego piersi, tak jak lata temu w szpitalu. Tamtego dnia runął jej świat; gdyby nie Kirk, chyba nigdy by się nie pozbierała. - Zająłeś się mną najlepiej, jak umiałeś.

- Tak myślisz? - Westchnął, po czym uściśnął ją z całej siły. - Wiesz, gdybym mógł cofnąć czas, niczego bym nie zmienił, ale to nie znaczy, że obrałem słuszną drogę.

- Wybrałeś słuszną dla nas. - W jej oczach zamigotały łzy. - Słuszną dla mnie.

- Może.

Ujmując jej twarz w dłonie, pocałował ją czułe w oba policzki. Uśmiechnęła się, czując znajome łaskotanie wąsów.

- Jakoś nie spodziewałem się, że dorośniesz. Że ze śmiesznego podlotka przeobrazisz się w piękną kobietę, wokół której zaczną kręcić się faceci. Powinienem był poświęcać ci więcej uwagi. Ale ty nigdy nie narzekałaś.

- Na co? Przecież byłam szczęśliwa. - Kiedy odjął ręce od jej twarzy, uściśnęła je. Dłonie miał szorstkie, pokryte odciskami; jedną znaczyła szrama, pamiątka po niedużej kraksie, w jakiej uczestniczył przed ośmioma laty w Belgii. - Posłuchaj. Po śmierci rodziców byłeś moją opoką. Z radością uczestniczyłam w twoim życiu. Niczego nie żałuję i nie chcę, żebyś ty czegokolwiek żałował. Jasne?

Długo przyglądał się jej w milczeniu. Oczywiście przywykły mu już do ciemności, więc dokładnie

widział jej twarz. Uświadomił sobie, że jako dziewczynka Foxy wydawała mu się niezniszczalna, lecz jako kobieta wzbudza w nim silne instynkty opiekuńcze. Może po prostu świat dzieci był mu obcy, zaś o niebezpieczeństwach czyhających na młode niedoświadczone kobiety wiedział aż za dużo.

- Kocham cię, mała - rzekł, podnosząc jej rękę do ust. - Tylko się nie mazgaj! - dodał, ocierając palcem łzę, która spływała jej po policzku. - Nie mam przy sobie żadnej chusteczki. Chodź... - Otoczywszy siostrę ramieniem, ruszył w stronę wyjścia. - Jestem głodny jak wilk. Zafunduję ci kawę i hamburgera.

- Pizzę. Jesteśmy we Włoszech.

- Niech będzie pizza - zgodził się, gdy szli przed siebie w blasku księżyca.

- Kirk.... - Zadarła głowę. W jej oczach migotały wesołe iskierki. - Czy jeśli Lance zacznie mi się naprzykrzać, dasz mu w zęby?

- Pewnie. - Pociągnął ją za kosmyk. - Ale po zakończeniu sezonu.

Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Tak właśnie myślałam.

Było parę minut po jedenastej, kiedy wrócili do hotelu. Siedząc w swoim pokoju, Pam usłyszała na korytarzu beztroski śmiech przyjaciółki, któremu zawtórował niski śmiech jej brata. Przygryzając wargę, odczekała, aż zamkną się za nimi drzwi.

Chciała porozmawiać z Foxy, poplotkować, pożartować, by choć na moment przestać myśleć o Kirku. Od wielu tygodni na niczym innym nie potrafiła się skupić i powoli zaczynała wariować.

Przemieszczali się z miejsca na miejsce, z toru na tor, lecz z każdym dniem Kirk wydawał się jej coraz bardziej odległy i zamknięty w sobie. Rzadko się do niej odzywał, a jeśli już, to dość chłodno. Kiedy indziej na taki chłód zareagowałyby wzruszeniem ramion, może lekką irytacją. Ale teraz... Po prostu była coraz bardziej spięta. Z trudem zasypiała, straciła apetyt. Nie wiedziała, co jej dolega, aż do pewnego dnia we Francji, kiedy po zakończeniu wyścigu Kirk wysiadł z wozu i ich oczy się spotkały.

W tym momencie uświadomiła sobie, że go kocha. Ogarnął ją paniczny strach; Kirk różnił się od wszystkich mężczyzn, którzy pociągali ją w przeszłości. To nie było zwykłe zauroczenie, fascynacja erotyczna; to było coś więcej. Przez dzień czy dwa walczyła z sobą; zastanawiała się, czy nie zerwać umowy i nie wrócić do Stanów, ale zawodowa duma nie pozwoliła jej tak tchórzliwie się zachować. Nie pozwoliła jej też uganiać się za Kirkiem. Ona, Pam, nie zamierzała być kolejną maskotką Kirka, jego kolejną zdobyczą.

Gdy na korytarzu zaległa cisza, Pam narzuciła cienki szlafrok na koszulę nocną. Chciała przemknąć się do pokoju przyjaciółki. Otworzyła

drzwi... i zamarła. Na wprost siebie ujrzała Kirka. Szedł z pochyloną głową. Uniósł ją, kiedy usłyszał okrzyk zdziwienia. Zatrzymawszy się, przez moment mierzył Pam wzrokiem.

Stała w drzwiach, nie oddychając. Nie potrafiła wypuścić z płuc powietrza ani zmusić nóg do cofnięcia się do pokoju. Nie odrywając od niej oczu, Kirk ruszył jej naprzeciw. Odruchowo zacisnęła rękę na klamce. I nagle spłynął na nią błogi spokój. Wiedziała, czego chce; zaraz ma się spełnić jej marzenie. Kirk przystanął, dzieliło ich pół metra. Patrzyli na siebie bez słowa, bez uśmiechu.

- W ciągu ostatnich paru miesięcy setki razy mijałem twoje drzwi.

- Wiem.

- Dziś ich nie minę. - W jego głosie pobrzmiwało wyzwanie. - Dziś wejdę do środka.

- Wiem. - Cofnęła się.

Jej ciche przyzwolenie sprawiło, że się zawahał. Zobaczyła w jego oczach błysk niepewności.

- Chcę się z tobą kochać - oznajmił.

- Dobrze. - Skinęła głową. Uśmiechnęła się w duchu, zdając sobie sprawę, że Kirk jest równie przerażony jak ona.

Wszedł do pokoju. Zamknęła drzwi i ponownie napotkała jego spojrzenie.

- Niczego nie obiecuję - rzekł, nie wyjmując rąk z kieszeni.

- W porządku.

Szlafrok cichutko zaszeleścił, gdy odwróciła się, by zgasić światło. Dzięki wpadającym przez okno promieniom księżyca w pokoju panował srebrzysty półmrok. W dole na dziedzińcu ktoś powiedział coś po włosku, potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- Będiesz cierpiała - ostrzegł Kirk.
- Może.

Stali naprzeciw siebie w mlecznym blasku księżyca. W nozdrza uderzył go delikatny zapach jej perfum.

- A może nie. Jestem silniejsza, niż się wszystkim wydaje.

Nie potrafiąc się oprzeć, wsunął rękę w jej włosy. Były miękkie jak obłok.

- Popełniasz błąd - powiedział cicho.
- Nie. - Objęła go za szyję. - Żadnego błędu nie popełniam.

Z jego gardła dobył się cichy jęk. Zaciskając usta na wargach Pam, Kirk wziął ją na ręce, a ona się do niego przytuliła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zbliżała się godzina startu. Jak zwykle panował nieopisany zgiełk. Ludzi było mnóstwo. Nikogo nie odstraszył deszczyk, który siąpił od rana. Na niebie wisiały ciężkie ołowiane chmury. W samochodach wymieniono opony na takie, które lepiej trzymają się śliskiej nawierzchni.

Foxy stała w pustej damskiej toalecie, płucząc nad umywalką usta. Następnie umyła twarz i nałożyła na policzki odrobinę różu, by ukryć swoją przeraźliwą bladość. Ręce wciąż miała gorące; wsunęła je pod strumień zimnej wody. Głos z megafonów przenikał przez ściany. Wiedząc, że do startu zostało zaledwie kilka minut, chwyciła

z szafki torbę z aparatami i wybiegła na zewnątrz. Natychmiast wtopiła się w tłum. Zaaferowana nie zauważyła Lance'a, dopóki się z nim nie zderzyła.

- Zjawiasz się później niż zwykle... - Wysunął rękę, by osłonić ją przed napierającym tłumem. Kiedy pod palcami wyczuł zimną wilgotną skórę, aż się wystraszył. - Boże ,jesteś jak lód. - Otoczywszy Foxy ramieniem, wciągnął ją do wąskiego przejścia.

- Na miłość boską, puść mnie - sprzeciwiła się.
- Za chwilę zaczynają.

Nie zwracając uwagi na jej protesty, ujął ją za brodę i zmusił, by popatrzyła mu w oczy. Przez moment bacznie się jej przyglądał. Była blada jak trup; nie zmyliła go warstwa różu.

- Nie możesz tam iść w takim stanie. Ledwo trzymasz się na nogach.

Obejmując ją w pasie, ruszył w przeciwną stronę niż tor. Szamotała się, próbowała się oswobodzić. Z tyłu dobiegał ryk silników; kierowcy szykowali się do startu.

- Chryste! - Westchnęła, zła na Lance'a o to, że wtrąca się w nie swoje sprawy. - Jestem chora przed każdym wyścigiem, ale żadnego jeszcze nie przegapiłam! Puść mnie, do cholery!

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, które po sekundzie zamieniło się w niedowierzanie, a potem wściekłość. Obserwując ten wachlarz emocji, Foxy zrozumiała, że popełniła błąd.

- Ten przegapisz - wycedził przez zęby Lance.

Zaciągnął ją do restauracji mieszczącej się pod główną trybuną i wskazał stolik w rogu, oddzielony przepierzeniem od reszty sali. - Dwie kawy!
- zawołał do kelnera.

- Posłuchaj... - zaczęła, odzyskując odwagę.
- Przestań gadać.

Mimo że powiedział to cicho, zamilkła. W przeszłości widywała go wściekłego, lecz jeszcze nigdy do tego stopnia. Usta miał zasznurowane, głos pełen tłumionej furii, ale to oczy płonące dzikim blaskiem sprawiły, że słowa utknęły jej w gardle. Czasem, pomyślała, lepiej schować dumę do kieszeni, niż narażać się na niekontrolowany wybuch złości.

Restauracja była pusta. Z zewnątrz docierał jednostajny szum samochodów ścigających się na torze. Za oknem rozpościerała się ponura szarość, którą przecinały spływające po szybie krople deszczu. Kelner postawił na stoliku dzbanek kawy oraz dwie filiżanki. Odszedł, nie pytając, czy goście nie życzą sobie czegoś więcej; mina Lance'a wyraźnie mówiła, że nie. Foxy oderwała wzrok od okna. Patrzyła, jak Lance nalewa kawę. Co on się tak wścieka? - zastanawiała się. Powoli złość, którą czuła, zaczęła ustępować miejsca ciekawości.

- Pij - polecił.

Zdziwiona rozkazującym tonem, uniosła brwi.

- Tak jest, panie władzo. - Sięgnęła po filiżankę.

- Foxy, nie denerwuj mnie. - Oczy ponownie zalśniły mu gniewem.

- Lance... - Odstawiwszy nietkniętą kawę, pochyliła się nad stołem. - Co się z tobą dzieje?

Przez moment obserwował jej zdezorientowaną minę, po czym jednym haustem opróżnił prawie całą filiżankę kawy.

- Jak cię czujesz? - spytał, bo wciąż była blada jak ściana. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i cygaro.

- Dobrze - odparła niepewnie.

Zauważyła, że nie zapalił cygara, jedynie obrał je w palcach. Znów zaległa cisza. Przecież to niedorzeczne, pomyślała Foxy. Otworzyła usta, chcąc zażądać wyjaśnień, ale nie zdążyła nic powiedzieć.

- Reagujesz tak przed każdym wyścigiem?

Zawahała się z odpowiedzią. Grając na zwłokę, zaczęła mieszać kawę.

- Lance, posłuchaj...

- Nie zmieniaj tematu!

Zdumiona jego ostrym tonem, podniosła wzrok.

- Zadałem ci pytanie.

Widziała, że Lance z trudem nad sobą panuje. Chociaż nie należała do tchórzy, wolała się nie narażać na jego gniew.

- Czy jesteś chora, fizycznie chora przed każdym wyścigiem?

- Tak - przyznała cicho.

Zaklął tak siarczyście, że aż podskoczyła.

- Mówiłaś o tym Kirkowi? - spytał.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym mu cokolwiek mówić? - Widziała, że jej odpowiedź podziałała na Lance'a niczym płachta na byka. Czym prędzej przykryła ręką jego dłoń. - Lance, posłuchaj. To jest mój problem i moje życie. Gdybym jako dziecko powiedziała Kirkowi, co czuję, ilekroć wsiada do kokpitu, zaczęłyby się zamartwiać. Może nawet zabroniłby mi przychodzić na tor. A wtedy ja po pierwsze, miałabym straszne wyrzuty sumienia, a po drugie, czułabym się podwójnie nieszczęśliwa. - Na moment zamilkła. - Moja szczerość niczego by nie zmieniła. Nie powstrzymałaby Kirka przed wyścigami. Nic by go nie powstrzymało.

- Dobrze go znasz. - Dopił do końca kawę, po czym ponownie napełnił filiżankę.

- Owszem, dobrze. Wyścigi samochodowe to jego pasja. Zawsze tak było. W życiu Kirka ja zajmuję drugie miejsce. - Wczoraj chciała, by Kirk ją zrozumiał, dziś szukała zrozumienia u Lance'a. - Ale nie narzekam. Gdyby umieścił mnie na pierwszym miejscu, byłby innym człowiekiem. A ja kocham Kirka takiego, jakim jest. Wszystko mu zawdzięczam. - Lance otworzył usta, by zaprotestować, lecz nie dopuściła go do głosu. - Nie, proszę. Spróbuj mnie zrozumieć. Dał mi dom, dał nowe życie. Gdybym go nie miała, nie wiem, co by

się ze mną stało po śmierci rodziców. Sam powiedz, ilu dwudziestotrzyletnich facetów wzięło by sobie na głowę trzynastoletnią dziewczynkę? A on się mną wspaniale zaopiekował. Wiem, że nie jest bez skazy. Miewa humory, bywa skoncentrowany na sobie. Przez te wszystkie lata niczego ode nie żądał, jedynie żebym trzymała za niego kciuki. - Utkwiła spojrzenie w filizance z kawą. - To chyba niezbyt wiele.

- Zależy - mruknął Lance. - Tak czy inaczej nie będziesz tego robić w nieskończoność.

- Wiem. - Westchnęła i ponownie skierowała wzrok na okno. Nie widziała swojego bladego odbicia; obserwowała krople deszczu, które ściekały po szybie. - Teraz, po dwuletniej przerwie, uświadomiłam sobie, że dłużej nie podołam. Nie mogę patrzeć, jak Kirk wsiada do bolidu i czekać, kiedy się rozbije. Bo cały czas o tym myślę: że któregoś dnia może zginąć. - Przeniosła udreżone spojrzenie na twarz Lance'a. - Nie chcę być świadkiem jego śmierci.

- Foxy. - Pochyliwszy się nad stołem, ujął jej dłoń. W jego głosie nie było już cienia złości. - Dobrze wiesz, że nie wszyscy kierowcy giną na torze.

- Wiem, że nie wszyscy. Ale ja kocham tylko jednego - oznajmiła z prostotą. - W wypadku straciłam już dwie najbliższe osoby. Staram się o tym nie myśleć... - ciągnęła pośpiesznie, nie dając

sobie przerwać - inaczej chyba bym zwariowała. - Wzięła głęboki oddech. - Odpycham od siebie ponure myśli, tyle że nie zawsze mi się to udaje.

- Posłuchaj, ryzyko oczywiście istnieje. Nie ma sensu się oszukiwać, że wyścigi są bezpiecznym sportem. Ale są o wiele bezpieczniejsze niż przed laty. Wprowadzono wiele nowych ulepszeń, kierowcy są znacznie lepiej chronieni. Śmiertelne wypadki zdarzają się, ale należą do wyjątków.

- Nie interesuje mnie statystyka. - Uśmiechając się smutno, potrząsnęła głową. - Ty tego nie rozumiesz, bo jesteś jednym z nich. Jednym z tych szaleńców. Samochód zastępuje wam matkę, kochankę, przyjaciółkę. Flirtujecie ze śmiercią, łamiecie kości, narażacie się na poparzenia i wracacie na tor, zanim jeszcze ogień wygaśnie. Jednego dnia leżycie w szpitalu, drugiego siedzicie zamknięci w kokpicie. To wasze życie, wasza pasja. Nie pochwalam jej, ale i nie potępiam. Po prostu nie rozumiem siły, która was do tego pcha. - Oparła czoło o chłodną szybę i przez moment spoglądała na deszcz. - Mam nadzieję, że któregoś dnia Kirk się opamięta. Że znudzą mu się bolidy. Że znajdzie sobie inną pasję. - Odwróciwszy się, wbiła wzrok w twarz Lance'a. - Często się zastanawiałam, dlaczego ty zrezygnowałaś...

- Straciłem zapał. Ściganie się przestało mnie pociągać. - Wysunął rękę i odgarnął jej włosy za ucho.

- Cieszę się - powiedziała cicho, sięgając po filiżankę. - Lance, nie mów Kirkowi o naszej rozmowie, dobrze? - poprosiła.

- Obiecuję.

Na twarzy Foxy pojawił się wyraz ulgi.

- Ale...

Ręka z filiżanką zastygła w powietrzu.

- Wolałbym jednak, żebyś darowała sobie ostatnie zawody.

- Nie mogę. - Kręcąc przecząco głową, upiła łyk zimnej kawy i skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie tylko z powodu Kirka, ale również z powodu zobowiązań zawodowych. - Odchyliwszy się na krzesło, patrzyła na Lance'a przez obłoki dymu z cygara. - Poważnie traktuję swoją pracę. Zresztą nie mogę zawieść Pam.

- A kiedy sezon się skończy?

Zmarszczyła czoło. Spojrzenie miała równie posępne jak świat za oknem.

- Muszę oderwać się od Kirka, przestać uczestniczyć w jego życiu. To mnie zbyt wiele kosztuje.

- Wstała od stolika. - Muszę wracać.

Nim się zorientowała, poderwał się na nogi i zagroził jej drogę, po czym przytulił ją mocno do siebie.

- Nie, błagam - szepnęła, zamykając oczy. Zalała ją fala ciepła. - Kiedy stajesz się taki troskliwy i czuły, ja... - Całował ją po włosach, gładził po plecach.

- Proszę cię, bo zaraz tryśnie mi z oczu fontanna łez.

- Fontanna łez? - Zdumiał się. - Wiesz, przez te wszystkie lata, odkąd się znamy, chyba ani razu nie widziałem cię płaczącej.

- Nie cierpię upokarzać się w miejscach publicznych. - Dobrze jej było w ramionach Lance'a; wcale nie miała ochoty nigdzie się ruszać. - Nie bądź dla mnie taki miły, bo jeszcze się przyzwyczaję i co wtedy będzie?

Podniosła oczy; nie zdążyła się uśmiechnąć. Przywarł ustami do jej ust. Był to delikatny pocałunek, bez ognia, bez żaru, po prostu serdeczny i czuły. Mimo to nogi się pod nią ugięły. Lance nie naciskał, nie żądał, jedynie dawał. Nie spodziewała się, że jest zdolny do takiej bezinteresowności. Po chwili zaczęła odwzajemniać pocałunek, też delikatnie, czule, niespiesznie.

Gdy wreszcie Lance opuścił ręce, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Pytania wyczytał z jej oczu.

- Nie wiem, co będzie - odparł cicho, gładząc ją po włosach. - Łatwiej było, kiedy nie wiedziałem, jaka jesteś krucha.

Pochyliła się po torbę z aparatami. Krucha poczuła się dopiero w momencie, kiedy wziął ją w ramiona.

- E tam, wcale nie jestem krucha - sprzeciwiła się wesoło.

Uśmiechnął się, rozbawiony jej protestem.

- Jesteś, choć tego nie lubisz.

- Nie jestem. - Potrząsnęła energicznie głową. Bała się, że znów ją obejmie, a wtedy ona ponownie się rozklei. Słabość ją przerażała. Z doświadczenia wiedziała, że przetrwać mogą tylko silni.

Wziął od niej torbę i przewiesił sobie przez ramię.

- Dobrze, to będzie nasza tajemnica - powiedział i chwyciwszy Foxy za rękę, ruszył na zewnątrz.

Kiedy wrócili do Stanów, Kirk wyprzedził rywala o pięć punktów. Do tytułu mistrza świata wystarczyłoby mu zwycięstwo na torze Watkins Glen.

Foxy zaś od wyjazdu z Włoch zauważyła pewne drobne zmiany, zarówno u siebie, jak i u ludzi jej najbliższych. Nie umiała jednak powiedzieć, na czym one polegają. Zawsze dotąd kontrolowała swoje myśli i uczucia, a teraz... teraz jakby nie do końca nad nimi panowała. Na przykład wcale nie chciała tak często myśleć o Lansie, jak myślała.

Odkąd zdradziła mu, że boi się o życie brata, odnosił się do niej z niezwykłą delikatnością, a jednocześnie jakby z rezerwą, czego nie potrafiła zrozumieć. Po tym długim, czułym pocałunku w restauracji ani razu jej nie dotknął; nawet nie próbował. Dotychczas sądziła, że nieźle go zna. Teraz przyszło jej do głowy, że to nieprawda. Że wcale nie wie, co się kryje pod maską twardziela. A bardzo ją to ciekawiło.

Zauważyła również zmianę w Kirku. Stał się

jeszcze bardziej zamknięty w sobie. Ale ponieważ miewał takie okresy w przeszłości, nie wypytywała, co mu dolega. Po prostu uznała, że jest to związane ze stresem, bądź co bądź mistrzostwa powoli dobiegały końca. Pam również wydawała jej się inna niż na początku, znacznie spokojniejsza. Zazdrościła przyjaciółce tej błogości, zwłaszcza podczas treningów i kwalifikacji.

Liczący trochę ponad trzy i pół kilometra tor Watkins Glen prowadził przez teren częściowo zalesiony. Liście na drzewach mieniły się barwami jesieni: złotem, fioletem, czerwienią. Panowała typowo październikowa aura: niebieskie niebo, mocno operujące słońce, chłodne rześkie powietrze. Spośród wszystkich torów, jakie Foxy widziała w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ten lubiła najbardziej. Miał w sobie coś bardzo swojskiego.

Oglądała ścigające się bolidy przez obiektyw aparatu. Ostatni wyścig, pomyślała z ulgą. Obok niej stał Charlie Dunning, który mrużąc oczy przed słońcem, uważnie śledził kolejne okrążenia.

- Już prawie koniec - szepnęła.

- Nie nudzi ci się pstrykanie zdjęć? - spytał skrzywiony.

- A tobie nie nudzi się naprawianie wozów i uganianie się za kobietami?

- Ależ to są szlachetne zajęcia - odparł. - Robisz się coraz chudsza - dodał, próbując ją uszczypnąć w pasie.

- A ty coraz przystojniejszy. - Pogładziła jego nieogolony policzek. - Ożenisz się ze mną?

- Patrzcie ją! Jaka mądrała! - Mimo wąsów i zarostu widać było, że poczerwieniał.

Uśmiechając się szeroko, Foxy wsunęła rękę do kieszeni na piersi Charliego; czekał tam na nią czekoladowy batonik.

- Daj znać, gdybyś zmienił zdanie. - Zerwała opakowanie i wbiła zęby w czekoladowy przysmak. - Bądź co bądź latek mi przybywa.

Mrucząc coś pod nosem, Charlie odszedł na bok, aby wydać polecenia swoim mechanikom.

- Nigdy nie widziałem, jak Charlie się czerwieni.

Foxy odwróciła się; po krzyżu przebiegły jej dreszcze. Lance, ubrany w ciemnoszary sweter, przyglądał się jej z zaciekawieniem. Na jego wargach błąkał się uśmiech. Przypomniała sobie ich dotyk i... i nagle mgła opadła jej sprzed oczu. Miała wrażenie, że po raz pierwszy dostrzega Lance'a. Nic dziwnego, że Scott Newman wydawał się jej nudny! Żaden chłopak ani mężczyzna nie dorównywał Lance'owi. Dla niej od dawna liczył się tylko on.

Wciąż go kocham, uświadomiła sobie. I nigdy nie przestanę.

- Nic ci nie jest? - spytał zaniepokojony jej nagłą bladością.

- Nie... Tak... Nie, nic. - Przetarła oczy, jakby

chciała usunąć niewidoczną pajęczynę. - Po prostu się zamyśliłam.

- O szczęściu małżeńskim u boku Charliego?
- Czułym gestem odgarnął jej włosy z czoła.

- Charliego? - Popatrzyła na batonik, który powoli topniał w słońcu. - A tak, przekomarzałam się z nim.

Marzyła o tym, by na moment zostać sama. W głowie kręciło jej się od odkrycia, jakiego przed chwilą dokonała.

- Na pewno dobrze się czujesz? - Zmarszczył czoło. - Bo wyglądasz na zmęczoną.

Na zmęczoną? Miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Świetnie - skłamała. - A ty?

Powietrze zawirowało od przejeżdżających samochodów. Ciekawa była, ile przegapiła okrażeń, gdy tak śniła na jawie.

- Ja też. - Wskazał głową na jej rękę. - Czekałada się rozpuszcza.

Foxy posłusznie odgryzła kawałek batona.

- Co będziesz robił po zakończeniu sezonu?
- spytała, starając się nie okazywać nadmiernego zainteresowania.

- Odpoczywał.

- Masz rację. - Napięcie powoli zaczęło ją opuszczać. Za kilka godzin będzie po wszystkim.

- To był długi sezon.

- Tak myślisz? - Nie spuszczał oczu z twarzy

Foxy, delikatnie ujął w palce kołnierzyk jej bluzki. - A ja mam wrażenie, jakbyś zaledwie parę dni temu wysunęła się spod czerwonego MG w garażu Kirka.

- Och, to było sto lat temu! - Ponownie spojrzęła na tor. Miała już dość nieustającego ryku silników, zapachu oleju, benzyny, palonej gumy. Przy boksach spostrzegła postać drobnej blondynki. - Pam tak spokojnie wszystko śledzi... Cóż, łatwiej jest tym, których ukochany brat czy facet nie siedzi za kierownicą.

Roześmiawszy się wesoło, Lance obrócił Foxy twarzą do siebie.

- Hej, ślepugo. Przespałaś kilka ostatnich tygodni? A może potrzebujesz okularów?

- O czym ty mówisz? - Cofnęła się przed jego dotykiem.

- Foxy, kwiatuszku, twoja przyjaciółka Pam świata nie widzi poza takim jednym, który śmiga po torze. Zdejmij klapki z oczu.

Zerknąwszy przez ramię, Foxy ponownie utkwiała wzrok w dziennikarce.

- Chyba nie masz na myśli Kirka? - Zanim jeszcze skończyła pytać, doznała olśnienia. Tak, oczywiście, że chodziło o jej brata! Gdyby nie to, że bez przerwy rozmyślała o Lansie, sama by to wcześniej zauważyła. - O Boże! - jęknęła.

- Nie pochwalasz? - spytał kwaśno Lance i znów obrócił ją ku sobie. - Przecież Kirk jest dorosły.

- Och, nie bądź śmieszny. - Zniecierpliwionym gestem odgarnęła z twarzy włosy. - Nie w tym rzecz, czy pochwalam, czy nie. Jeśli chcesz wiedzieć, to uwielbiam Pam.

- Więc o co chodzi?

Odszukała spojrzeniem delikatną blondynkę w świeżo wyprasowanym eleganckim żakiecie, z dobrze ostrzyżonymi króciutkimi włosami.

- No, popatrz na nią. Jest szczuplutka, drobniutka i taka elegancka. Kirk zupełnie do niej nie pasuje.

- Przeciwnieństwa się przyciągają. Zresztą może w tej drobniutkiej kobiecie tkwi ogromna siła? - Pogładziwszy Foxy po policzku, Lance odwrócił się i odszedł.

Przez chwilę stała bez ruchu, odprowadzając go wzrokiem. Kochała tego człowieka, wcześniej miłością szczenięcą, teraz prawdziwą i dojrzałą. To nie było żadne zauroczenie, żadna fascynacja. To było szczere, głębokie uczucie. A po jutrzejszym dniu, kiedy skończy się sezon wyścigowy, już więcej go pewnie nie zobaczą, pomyślała z rozpaczą. Zacisnęła powieki. Nie, nie chciała nawet się nad tym zastanawiać.

Otworzywszy oczy, ponownie zerknęła na Pam. Boże, Pam i Kirk... Wolnym krokiem podeszła do przyjaciółki.

- Wcześniej niż zwykle wysunął się na prowadzenie - rzekła Pam, gdy bolid Kirka śmignął im przed oczami. - Strasznie mu zależy na wygraniu

tego wyścigu. - Roześmiał się cicho, popatrzyła na Foxy. - A właściwie to jemu zależy na wygraniu wszystkich zawodów.

- Zawsze tak było. - Foxy wzięła głęboki oddech. - Pam, wiem, że to nie moja sprawa, ale uważam, że... - Westchnęła ciężko i wsunęła ręce do kieszeni. - Boże, zaraz zrobię z siebie idiotkę.

- Uważasz, że nie nadaję się dla Kirka? - spytała łagodnie przyjaciółka.

- Nie! - Foxy zrezygnowana pokręciła głową.

- Uważam, że Kirk nie nadaje się dla ciebie.

- Jesteście do siebie tacy podobni - szepnęła Pam. - Bo wiesz co? On mi to samo powiedział. Ale nie szkodzi. Oboje się mylicie.

- Posłuchaj. Wyścigi... - Foxy urwała; szukała odpowiednich słów, by wyrazić swoje myśli.

- Zawsze będą dla niego na pierwszym miejscu - dokończyła Pam, po czym wzruszyła ramionami.

- Wiem. I nie zamierzam z tym wałczyć. Przecież dlatego zwróciłam na Kirka uwagę; zafascynowało mnie jego umiłowanie tego sportu, jego niesamowita wola walki i pragnienie zwycięstwa, a także lekceważący stosunek do zagrożeń. Zaraził mnie swoim zapałem. Jestem przerażona, kiedy Kirk wsiada do kokpitu, ale kiedy samochody ruszają, strach mija. Ogarnia mnie podniecenie, z całego serca kibicuję Kirkowi, chcę, żeby pokonał rywali. - Uśmiechnęła się. - Wciągnęła mnie atmosfera zawodów. Kocham Kirka, kocham go

takim, jakim jest. I nie chcę go zmieniać. Wystarczy mi drugie miejsce w jego życiu.

Foxy miała wrażenie, jakby słyszała samą siebie. Podobne rzeczy o pałsi swojego brata mówiła Lance'owi. To, że wystarcza jej drugie miejsce...

- Nie myśl, że próbuję ci go odebrać - kontynuowała Pam. - Bo ja naprawdę...

- Och nie, nie o to mi chodziło! - przerwała jej Foxy. - Cieszę się z powodu Kirka. Słowo honoru! Jemu potrzebny jest ktoś, kto go rozumie. - Przeczesała ręką włosy. Miały identyczny odcień jak jesienne liście. - A ciebie też bardzo lubię, Pam, i po prostu... - Rozłożyła bezradnie ręce. - Kirk bywa przykry, oschły. Często zapomina o ważnych rzeczach, a to boli...

- Niełatwo mnie zranić. - Pam poklepała przyjaciółkę po ramieniu. - Zresztą kiedy się kocha, wiele potrafi się znieść, prawda? - Uśmiechnęła się, widząc zdumioną minę Foxy. - Nie dziw się, zakochana kobieta zawsze rozpozna oznaki zakochania u drugiej - oznajmiła pogodnie. - Nie zaprzeczaj, że nie straciłaś głowy dla Lance'a, bo nie uwierzę! - Na moment zamilkła. - Jak będziesz chciała pogadać, toja wkażdej chwili. Tym bardziej że czuję się ekspertem w dziedzinie miłości.

- Dzięki, ale... - Foxy wzruszyła ramionami. - Jutro każde z nas ruszy w swoją stronę.

- Wciąż macie dzisiaj wieczór.

Wszystko stało się tak nagle. W pierwszej

chwili Foxy po prostu nie uwierzyła w to, co zarejestrował jej umysł. Kirk wyłonił się zza zakrętu i odbił w bok, by uniknąć kolizji z kierowcą po jego prawej ręce. Foxy patrzyła na brata, czekając, aż odzyska kontrolę nad wozem. Zobaczyła jednak, jak Kirk wpada w poślizg. Czuła paniczny strach, lecz z uporem maniaka powtarzała w myślach, że wszystko się dobrze skończy. Musi się dobrze skończyć. Huk pękniętej opony zabrzmiał jak huk wystrzału. Pojawiły się kłęby czarnego dymu i jednocześnie rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu; samochód wpadł na mur, potem zaczął jechać zygzakiem, a koła i różne części obudowy fruwały w powietrzu.

- Nie! - krzyknęła Foxy. Jednym mocnym szarpnięciem uwolniła się od Pam, która usiłowała ją przytrzymać za rękę, i ile sił w nogach rzuciła się w stronę toru.

Nie zważała na przelatujące ze świstem kawałki włókna szklanego. Nie myślała o niebezpieczeństwie. Po prostu gnała przed siebie ogarnięta strachem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuła. Strachem o brata bezradnie wirującego po torze. Zanim zdołała wbiec na tor, coś jakby imadło zacisnęło się wokół jej talii. Znalazła się pół metra nad ziemią. Zaczęła kopać, wymachiwać nogami. Bez skutku. Obróciła głowę i w tym momencie ujrzała, jak samochód Kirka koziółkuje po pasie trawy.

- Foxy, na miłość boską! Chcesz się zabić?!
- usłyszała nad uchem gniewny głos Lance'a.

A więc to on, Lance, jest tym imadłem!

- Puść mnie! - krzyknęła. Spodziewała się, że lada moment czarne kłęby dymu ustąpią miejsca językom ognia. - To samochód Kirka, nie widzisz? Muszę do niego dotrzeć! Boże, chcę być przy nim! Puść mnie, do cholery! - Szamotała się desperacko, ale Lance nie rozluźnił uścisku.

- Teraz mu nie pomożesz. Będziesz tylko przeszkadzać. - Ponad jej ramieniem widział członków ekipy ratowniczej; jedni polewali wóz pianą z gaśnic, inni usiłowali wydobyć Kirka z kokpitu. - Będziesz tylko przeszkadzać - powtórzył cicho.

Nagle przestała się wrywać, jakby całkiem opadła z sił. Przez moment nawet sądził, że straciła przytomność.

- Puść mnie - szepnęła. - Przysięgam, nie zrobię nic głupiego - dodała, kiedy nie zareagował na jej prośbę. - Puść mnie, Lance.

Powoli postawił ją na ziemi i rozluźnił uścisk. Nawet na niego nie spojrzała. W milczeniu obserwowała, jak ratownicy wyciągają Kirka z wraku. Obok niej stała Pam. Na wietrze trzepotała biała chorągiewka.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poczekalnia szpitalna pomalowana była na kolor seledynowy. Na podłodze leżały beżowe płytki w drobne brązowe cętki, które idealnie ukrywały naniesiony na butach brud. Na ścianie na wprost Foxy wisiała reprodukcja martwej natury van Gogha - była to jedyna barwna plama w całym pokoju. Foxy wiedziała, że do końca życia ten obraz będzie się jej kojarzył z udręką i niepewnością.

Pam siedziała przy oknie, popijając zimną kawę. Charlie - na plastikowej kanapie. Lance wydeptywał ścieżkę w podłodze. Kilka razy Pam coś do niego mówiła, a on odpowiadał cicho; Foxy słyszała ich głosy, lecz słów nawet nie

próbowała zrozumieć. Nie interesowało jej, o czym rozmawiają. Czuła paraliżujący strach, identyczny jak wtedy, gdy odzyskała przytomność po wypadku, w którym zginęli jej rodzice. I wtedy, i teraz była totalnie bezradna. Lance miał rację, mówiąc, że ona nie może pomóc bratu. Ponownie utkwiała wzrok w reprodukcji van Gogha. Wypadek Kirka zdarzył się ponad trzy godziny temu.

- Panno Fox?

Obcy głos wyrwał ją z zadumy. Przez moment wpatrywała się w okrytą zielonym fartuchem postać w drzwiach.

- Tak? - Wstała z krzesła.

Przemknęło jej przez myśl, że lekarz jest bardzo młody. Miał wąsy, podobnie jak Kirk, tylko trochę ciemniejsze. Maseczka chirurgiczna wisiała mu pod brodą.

- Już po wszystkim - rzekł łagodnym tonem.
- Przewieźliśmy pani brata do sali pooperacyjnej.

- Jakie ma obrażenia? - spytała, nie spuszczać oczu z twarzy lekarza.

Widział, że kobieta stara się trzymać w garści, nie ulec histerii; był jej za to wdzięczny. Ale widział też, że jest śmiertelnie wystraszona.

- Pięć złamanych żeber. Zapadnięcie się płuca, ale z tym już sobie poradziliśmy. Oraz nieduże wstrząśnienie mózgu. Przez jakiś czas żebra będą go bolały. Natomiast noga...

- Co z nogą? - przeraziła się Foxy. - Nie... nie musieliście amputować?

- Nie. - Uścisnął ją za rękę, by dodać jej otuchy.

- Po prostu doszło do skomplikowanego otwartego złamania, z przemieszczeniem i z uszkodzeniem tętnicy. Nastawiliśmy kości... Wszystko powinno się ładnie zrosnąć, ale chodzić normalnie to pani brat będzie mógł dopiero za kilka miesięcy. Na razie wciąż istnieje ryzyko infekcji. - Puściwszy jej dłoń, powiódł wzrokiem po reszcie zgromadzonych w sali osób. - Jakiś czas musi spędzić w szpitalu.

- Rozumiem. - Foxy odetchnęła z ulgą. - Czy to już wszystko?

- Tak, jeśli nie liczyć drobnych ran i oparzeń. Miał dużo szczęścia.

- To prawda - przyznała Foxy. - Jest przytomny?

- Owszem. - Lekarz uśmiechnął się. Z uśmiechem na twarzy wydał się jeszcze młodszy.

- Chciał wiedzieć, kto wygrał wyścig... Mniej więcej za godzinę opuści salę pooperacyjną. Wtedy można go będzie odwiedzić. Ale dziś tylko jedna osoba - rzekł z naciskiem, ponownie przesuwając wzrokiem po zebranych w poczekalni. - Resztę państwa zapraszam jutro.

Foxy skinęła głową.

- W takim razie dziś do Kirka zajrzy pani Anderson.

- Ale... - zaczęła Pam. - Przecież...

- Najbardziej będzie chciał zobaczyć się z tobą - przerwała jej Foxy. - A ja... wystarczy mu świadomość, że tu byłam. To co, odwiedzisz go?

- Tak. - Czując, jak zbiera się jej na płacz, Pam odwróciła się. Tak dzielnie się trzymała przez te trzy godziny, a teraz szlachetny gest przyjaciółki sprawił, że nie była w stanie zahamować łez. Podeszła do okna i pozwoliła im popłynąć.

- Pielęgniarki mają mój numer telefonu - rzekła Foxy do lekarza. - Czy mógłby im pan polecić, żeby do mnie zadzwoniły, gdyby w nocy nastąpiła jakakolwiek zmiana?

- Oczywiście, panno Fox. Ale proszę się nie martwić. Pani brat wyzdrowieje.

- Dziękuję.

- Charlie, zostań z Pam, a potem odwieź ją do hotelu - wydał polecenie Lance. - Ja odwiezę Foxy. Panie doktorze - zwrócił się do młodego lekarza - w holu na dole kłębią się dziennikarze. Wolałbym oszczędzić pannie Fox spotkania z nimi.

- Proszę zejść windą służbową do podziemnego parkingu. Tuż koło wyjścia jest postój taksówek.

- Doskonale. - Ujmując Foxy za łokieć, ruszył korytarzem do windy.

- Nie musisz mnie odprowadzać.

- Wiem. - Wcisnęła przycisk.

- Nie podziękowałam ci, że nie pozwoliłeś mi wbiec na tor.

Rozległ się cichy dzwonek, po czym drzwi

rozsunęły się bezszelestnie. Nie protestując, Foxy weszła do pustej kabiny.

- To by było głupie z mojej strony...

- Przestań, do jasnej cholery! Przestań! - Obróciła ją do przodem do siebie. Jego palce wpijały się boleśnie w jej ramiona. - Krzycz, płacz, uderz mnie, ale nie zachowuj się w ten sposób!

Popatrzyła na Lance'a. Oczy płonęły mu żarem. Ona sama jednak nie potrafiła wyrazić emocji; było jeszcze za wcześnie.

- Już się nakrzyczałam - oznajmiła spokojnie. - Więcej nie zamierzam. Płakać nie mogę, bo wciąż jestem odrętwiała. A ciebie nie mam powodu bić.

- Jechał moim samochodem. Czy to nie jest dostateczny powód?

Drzwi windy otworzyły się. Ściskając Foxy za rękę, Lance ruszył w stronę wyjścia z podziemnego parkingu.

- Nikt go siłą nie wpychał do bolidu. To nie jest twoja wina, Lance.

- Widziałem, jak na mnie patrzyłaś, kiedy go wyciągali z wraku - powiedział, pomagając jej wsiąść do czekającej taksówki.

- Przepraszam - szepnęła Foxy. - Może faktycznie winiłam cię za wypadek Kirka, ale tylko przez minutę. Chciałam kogoś obarczyć winą, kogokolwiek. Bo myślałam, że Kirk nie żyje. - Głos jej drżał. Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym ciągnęła: - Całe życie starałam się być przygotowana psychi-

cznie na coś takiego. Ale nie byłam i nie jestem.
- Wzdychając ciężko, zamknęła oczy i oparła się o siedzenie. - Nie winię cię, Lance. Słowo honoru. Ani ciebie, ani Kirka. Mam jedynie nadzieję, że może tym razem Kirk coś zrozumie, może się wycofa...

Lance nie odpowiedział; usłyszała jedynie pstryknięcie zapalniczki. Resztę drogi odbyli w milczeniu, Foxy z przymkniętymi oczami - nie miała siły unieść powiek. W hotelu zastali Scotta Newmana, który przemierzał korytarz przed drzwiami do jej pokoju. Z marsową miną i w przekrzywionym krawacie wyglądał jak dyrektor, który wyszedł z długiej, burzliwej narady. Skinąwszy na powitanie Lance'owi, wyciągnął ręce do Foxy.

- Cynthio, nareszcie! W szpitalu powiedzieli mi, że jesteś w drodze do hotelu. Co z Kirkiem? Nie mogłem uzyskać żadnych informacji.

- Wydobrzeje. - Zreferowała mu pokrótce słowa lekarza.

- Całe szczęście. Wszyscy się potwornie o niego martwili. A jak ty się czujesz? Pomyślałem sobie, że może przyda ci się moja pomoc.

- Jej potrzebny jest wyłącznie odpoczynek - oznajmił krótko Lance.

- To miło, że czekałeś, Scott - rzekła Foxy, chcąc złagodzić szorstki ton Lance'a. - Ale dziękuję, niczego mi nie trzeba. Jestem jedynie trochę zmęczona, to wszystko. Pam została z Kirkiem, pewnie też niedługo wróci...

- Dziennikarze domagają się oświadczenia. - Scott poprawił krawat. - Na powtórce wyraźnie widać, że Kirk gwałtownie odbił w bok, żeby nie zderzyć się z Martellem. Stracił panowanie nad wozem. Winę niewątpliwie ponosi niesprawny układ kierowniczy w wozie Martella. Możesz przekazać prasie tę informację, sama lub przeze mnie.

- Nie - sprzeciwił się Lance. - Jeśli chcesz być pomocny, Scott, poproś recepcję, żeby nie łączyli z pokojem Foxy żadnych rozmów, chyba że zadzwonią ze szpitala.

- W porządku. Ale jeśli chodzi o dziennikarzy... oni nie dadzą nam...

- Wpadnij do mnie za dwie godziny - przerwał mu Lance, biorąc z rąk Foxy klucz, który wydobyła z torebki. - Przekażę ci oświadczenie dla prasy. Postaraj się tylko, żeby dziennikarze nie niepokoiili Foxy. Czy to jasne? - Przekręcił klucz w zamku.

Skinąwszy głową, Scott zwrócił się do dziewczyny.

- Gdybyś czegokolwiek, Cynthio, potrzebowała, po prostu daj znać.

- Dzięki, Scott. Dobranoc. - Tyle zdołała powiedzieć, zanim Lance zatrzasnął drzwi. Zmęczona podeszła do fotela i usiadła. - Dlaczego byłeś dla niego taki nieuprzejmy? - spytała, pocierając palcami skronie.

- Spójrz w lustro, to zrozumiesz. - W jego głosie pobrzmiwała wściekłość. - Ledwo trzymasz się na

nogach, z sekundy na sekundę stajesz się coraz bledsza, a ten idiota myśli tylko o oświadczeniu dla prasy. - Skrzywił się z niesmakiem. - Ma rozum wielkości ziarnka ryżu.

- To dobry menedżer - mruknęła Foxy, czując narastający ból głowy.

- Jasne. I wspaniały człowiek.

- Lance - podniosła wzrok - próbujesz mnie chronić, prawda?

- Może - burknął, po czym podszedł do aparatu telefonicznego, podniósł słuchawkę i wydał kilka poleceń.

Dziwne, pomyślała Foxy; ciągle mnie osłania. Najpierw we Włoszech, teraz tu.

Odłożywszy słuchawkę, zaczął przemierzać pokój. W tę i z powrotem, tak jak w poczekalni szpitalnej.

- Lance...

Przystanął. Wyciągnęła do niego rękę. Była szczęśliwa, że w takiej chwili nie jest sama. Sama na pewno by sobie nie poradziła. Czuła się mała, zmęczona, bezsilna; i przeraźliwie się bała.

- Dziękuję - szepnęła, ściskając jego dłoń.
- Bez ciebie i twojego wsparcia kompletnie bym się dziś załamała. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo cię potrzebuję. Jestem ci ogromnie wdzięczna...

Wolną ręką przecesał włosy. W jego oczach zobaczyła wyraz frustracji i znużenia.

- Fox... - zaczął, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

- Czy mógłbyś jutro nie wyjeżdżać? - spytała błagalnym tonem, chociaż proszenie o cokolwiek nie leżało w jej naturze. - Gdybyś został kilka dni... dopóki wszystko się trochę nie unormuje. Wiesz, umiem kłamać, jestem dobrą aktorką - ciągnęła pośpiesznie. - Mogę wejść do pokoju Kirka, spojrzeć mu prosto w oczy i nie dać po sobie poznać, że nienawidzę wyścigów. Ale byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś mi towarzyszył. Mam świadomość, że wiele od ciebie wymagam, ale... - Urwała, po czym przycisnęła ręce do oczu. - Boże, chyba odrętwienie mija...

Rozległo się pukanie. Nie zareagowała. Lance otworzył drzwi, po chwili zaś wrócił do fotela, na którym siedziała.

- Foxy. - Delikatnie oderwał jej rękę od oczu. - Masz, wypij to. - Podał jej kieliszek brandy, który zamówił przez telefon, po czym przykucnął, tak by ich oczy znalazły się na jednym poziomie. - Fox... - Odczekał, aż dziewczyna popatrzy mu w twarz. - Wyjdź za mnie.

- Co? - Zacisnąwszy powieki, pokręciła głową, jakby chciała odzyskać jasność myśli. - Co powiedziałeś?

Przysunął jej do ust kieliszek.

- Żebyś za mnie wyszła.

Wypiła brandy jednym haustem. Przez kilka

sekund w milczeniu wpatrywała się w oczy Lance'a. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Z trudem przełknęła ślinę i wreszcie wyszeptała:

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? - Zabrał pusty kieliszek.

- Dlaczego nie? - powtórzyła zaskoczona, po czym wykonała ręką nieokreślony ruch.

- No właśnie, dlaczego nie?

- Nie wiem... - Niekonwencjonalnymi oświadczeniami Lance w sposób niezwykle skuteczny odwrócił jej uwagę od wypadku Kirka. - Mogłabym ci podać kilka powodów, ale w tej chwili żaden nie przychodzi mi do głowy.

- Skoro tak, to zostań moją żoną i jedź ze mną do Bostonu.

- Do Bostonu? - Patrzyła na niego oszołomiona.

- Do Bostonu. - Po raz pierwszy od kilku godzin się uśmiechnął. - Tam mieszkam, zapomniałaś?

- No tak, oczywiście. - Usiłowała się skupić.

- Kirk będzie zmuszony zostać tu kilka miesięcy, ale ty nie musisz cały czas tkwić przy jego łóżku.

Mówił spokojnie, racjonalnie. Foxy potrząsnęła głową. Ja śnię, pomyślała, mam halucynacje. Łatwiej było jej uwierzyć w halucynacje niż w to, że Lance poprosił ją o rękę, w dodatku takim tonem, jakby prosił o przyniesienie kubka herbaty.

- Słuchaj, ja... - zawahała się. - Jestem tym wszystkim zbyt oszołomiona. Najpierw wypadek, potem twoje oświadczenia. - Przełknęła ślinę.
- Daj mi dzień czy dwa do namysłu, dobrze? Muszę się zastanowić...

- W porządku. - Odsunął się, aby mogła wstać z fotela. - Chociaż nie - rzekł po chwili.

Spojrzała na niego.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie. Nie zamierzam ci dawać czasu do namysłu.

Poderwał się na nogi i obrócił ją do siebie. Oczy mu błyszczały. Przypomniała sobie, że kiedyś też ją tak ścisnął za ramiona i patrzył z identycznym błyskiem gniewu w oczach. To było lata temu, w pustym boksie na torze w La Mans. Czy tak jak wtedy zamierzał urządzić jej awanturę? Zmarszczyła czoło, usilnie starając oddzielić teraźniejszość od przeszłości.

- Czego chcesz? - spytała niepewnie.

- Ciebie. - Objął ją w pasie. - Nie pozwolę ci zniknąć z mojego życia, Fox. Dostatecznie długo się na ciebie naczekałem. - Pochyliwszy głowę, pocałował ją w usta. - Naprawdę myślałaś, że zostawię cię samą i dam ci dwa dni do namysłu? Że mógłbym stąd wyjść po tym, jak mi powiedziałaś, że mnie potrzebujesz?

- Lance, nie chciałam, żebyś... - Zamilkła, szukając właściwych słów, by wyrazić myśli. - Po

prostu jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś. Ale nie czuj się zobowiązany do...

- Do diabła z wdzięcznością - mruknął zniecierpliwiony. - Nie zależy mi na twojej wdzięczności ani sympatii. Chcę czegoś więcej.

Widziała determinację w jego twarzy, słyszała żar w głosie. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Może to nieodpowiednia chwila, ale... nie mogę dłużej czekać. Jestem egoistą, Fox. Nawet nie wiesz, od jak dawna cię pragnę. I nie pozwolę, żebyś mi uciekła.

Zakreśliło się jej w głowie.

- Lance... To, że ci się podobam, że mnie pragniesz, to jeszcze nie powód, aby brać ślub. Małżeństwo to poważny krok, to zobowiązanie na całe życie. I nie wiem, czy...

- Kocham cię - przerwał jej w pół zdania. - Chcę spędzić z tobą resztę życia. I nie wrócę do Bostonu sam. - Wsunął ręce w jej włosy. - Przepraszam, te oświadczenia nie są zbyt romantyczne, jakoś nastrój temu nie sprzyja, ale przysięgam, później wszystko ci wynagrodzę. - Objął ją w pasie i przytulił mocno do siebie. - Foxy, szaleję za tobą. I wiem, że ty mnie też kochasz.

- Tak. - Oparłszy się policzkiem o jego klatkę piersiową, westchnęła cicho. - Kocham cię. - Przez chwilę stała bez ruchu, rozkoszując się ciepłem jego ramion. Miała wrażenie, że śni, że to się nie dzieje naprawdę. Mężczyzna, którego ko-

chała od lat, poprosił ją, by została jego żoną.

- Lance...

Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta.

- Pobierzemy się pojutrze - szepnął. - Jutro załatwimy wszystkie formalności, a potem pojedziemy do Bostonu. - Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie martw się o Kirka. On ma Pam.

- Tak. On ma Pam. Cieszę się. - Uśmiechnęła się czule. - Chcę być z tobą, Lance. Zostań tutaj, dobrze?

- Wtuliła twarz w jego szyję. - Tu, w moim pokoju...

Powoli odsunął ją od siebie. Była przeraźliwie blada, oczy miała podkrążone.

- Nie. - Pokręcił przecząco głową i wierzchem dłoni pogładził ją po policzku. - Dziś jesteś wyczerpana. Musisz się dobrze wyspać. - Wziął ją na rękę i przeniósł do łóżka, po czym usiadł obok na materacu. - Potrzebujesz czegoś?

- Tak. Żebyś mi jeszcze raz to powiedział.

Uniósł jej dłoń do ust i złożył na niej pocałunek.

- Kocham cię, maleńka. A teraz śpij.

- Dobrze.

Powieki jej ciążyły. Ledwo zamknęła oczy, przeniosła się w krainę snu. Nie poczuła, jak Lance leciutko muska ustami jej wargi.

- Dobranoc, moja śliczna. Przyjdę do ciebie rano.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Promienie słońca padały na jej twarz. Powoli się budziła. Najpierw, wciąż spowita pajęczyną snu, rejestrowała drobne, nieistotne rzeczy, takie jak tykanie budzika na szafce nocnej, lekkie swędzenie między łopatkami, ciężar kołdry. Przykryła się nią w nocy, kiedy obudziła się zmarznięta i wystraszona. Zaczęła straszliwie szlochać; wszystko ją bolało od płaczu - oczy, żebra. Płakała, dopóki znów nie zasnęła. Zасыpiając, myślała o niekonwencjonalnych oświadczeniach Lance'a. Może jednak oświadczył się jej z poczucia obowiązku? Usiłowała sobie przypomnieć, co czuła, kiedy wyznał jej miłość, ale nie potrafiła. Leżała skulona

pod kołdrą, dygotała z zimna i marzyła o tym, by wreszcie nadszedł świt.

Teraz, gdy nastał nowy dzień, drażniło ją światło słoneczne, a kołdra, którą była opatulona, wydawała się jej potwornie ciężka. Foxy przewróciła się na bok. Czy kołdra nie mogłaby zniknąć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Przecież już spełniła swoje zadanie. Stopniowo zaczęła powracać pamięć o tym, co się wczoraj wydarzyło.

Usiadła na łóżku. Weź się w garść, Foxy, nakazała sama sobie. Śniły ci się koszmary, ale Kirk żyje. Jest w szpitalu, lecz żyje. No wstawaj, nie marudź. Wkrótce zjawi się Lance... Zmrużysz oczy, usiłowała sobie wyobrazić pierścionek zaręczynowy połyskujący na palcu serdecznym lewej ręki.

- Będę żoną Lance'a - powiedziała na głos.

Przeszył ją dreszcz. Uzmysłowała sobie, że właściwie nic nie wie o mężczyźnie, który mieszka w Bostonie i prowadzi firmę wartą wiele milionów dolarów. Lance Matthews, którego znała, był aroganckim kierowcą wyścigowym, który grał w pokera i potrafił rozłożyć na części silnik. Zamierza wyjść za mąż za człowieka, który pokazał jej dotąd tylko jedno swoje oblicze. Czy grywa w soboty w golfa? Próbowała go sobie wyobrazić, jak kijem uderza piłeczkę. Pokręciła głową, odpychając od siebie wątpliwości. Co za różnica, czy Lance grywa w golfa, w tryktraka, czy ćwiczy jogę? Czy

nosi garnitur z kamizelką, czy dżinsy i tenisówki? Przecież to nie ma najmniejszego znaczenia.

No dobrze, pora wstawać, pomyślała. Powinna coś z sobą zrobić, żeby nie wystraszyć tego biedaka.

Zsunawszy kołdrę, wstała z łóżka. Bolały ją wszystkie mięśnie; pewnie strasznie się w nocy rzucała. Hm, gorący prysznic, to ją postawi na nogi. Zaczęła ściągać ubranie, w którym wczoraj zasnęła.

Pół godziny później Lance zastukał do drzwi. Przyjrzał się jej uważnie. Miała na sobie prostą żółtą sukienkę, włosy starannie upięte w kok, oczy spuchnięte i lekko podkrążone.

- Płakałaś - powiedział oskarżycielskim tonem.

Uświadomiła sobie, że puder, róż i tusz do rzęs na niewiele się zdały.

- Żle spałaś?

- Nie najlepiej - przyznała, zastanawiając się, dlaczego w głosie Lance'a brzmi złość. - Ciągłe się budziłam. Śnił mi się wypadek Kirka.

- Powinienem być z tobą zostać - burknął.

- Nie... - Popatrzyła w jego oczy, szukając przyczyny niezadowolenia. - Chciałam być sama, żeby wszystko na spokojnie przemyśleć. Już mi znacznie lepiej.

Nie była w stanie niczego wyczytać z jego twarzy.

- Zmieniłaś zdanie?

Wiedziała, że pyta o ich małżeństwo; ogarnął ją strach.

- Nie - odparła, siląc się na spokój.

- Dobrze. - Pokiwał głową. - Najpierw załatwimy sprawy papierkowe, a potem pojedziemy do szpitala. Gotowa?

Zamyślona, wyszła na korytarz, po czym zamknęła za sobą drzwi.

- Kirkowi o naszych planach chciałabym powiedzieć... we właściwym czasie.

Uniósł brwi.

- W porządku.

Ale coś było nie w porządku. Czują to w tonie Lance'a.

- Może to ja powinnam spytać ciebie, czy nie zmieniłeś zdania - rzekła chłodno.

- Gdybym zmienił, powiedziałbym ci.

Wyszli na skapaną w słońcu ulicę. Lance bez słowa podprowadził Foxy do niebieskiego porsche, którego wynajął z samego rana. Foxy czuła, jak z sekundy na sekundę narasta w niej złość.

- Zamierzasz poprosić prawników, żeby przygotowali intercyzę? - zapytała. - Jeśli tak, może powinnam kupić sobie okulary, żeby dobrze przeczytać wszystko napisane drobnym drukiem...

- Przestań, proszę. - Otworzył jej drzwi.

Nie wsiadła.

- Słuchaj, nie rozumiem, dlaczego zachowujesz

się tak, jakbym ci wyrządziła krzywdę. Może należysz do ludzi, którzy wstają z łóżka lewą nogą. W porządku, przyzwyczaję się. Ale ty też przyzwyczaj się do tego, że nie lubię niczego owijać w bawełnę; mówię, co mi leży na sercu, i jeśli ci się to nie podoba...

Zatrzasnął drzwi, przerywając jej tyradę, zgarznął ją w ramiona i zamknął jej usta zaborczym pocałunkiem. Stała bez ruchu zbyt zdziwiona, by się sprzeciwić lub w jakikolwiek inny sposób zareagować.

- Na szczęście wiem, co zrobić, kiedy mówisz za dużo - powiedział, puszczając ją, gdy już nie miała czym oddychać.

- Wariat! - mknęła.

Ponownie otworzył drzwi i ujmując ją za łokieć, wepchnął do środka. Siedząc w samochodzie, Foxy zauważyła dwie nastolatki, które stały na chodniku i chichotały. Zacisnęła gniewnie usta. Nie, nie wda się z Lance'em w żadną kłótnię, w ogóle się do niego nie odezwie! W milczeniu pojechali załatwić pozwolenie na ślub.

Dwie godziny później, w którym to czasie odzywali się do siebie tylko wtedy, gdy zachodziła taka konieczność, wkroczyli do pokoju Kirka. Foxy starała się ukryć przerażenie na widok gipsu, rurek, metalowych pałaków i bandaży. Kirk siedział na łóżku wsparty o poduszki, z miną faceta, który przed chwilą skończył wygłaszać gorącą

tyradę. Pomiędzy nim a Pam wyczuwało się napięcie. Foxy udała, że niczego nie dostrzega. Nie przyniosła kwiatów, wiedząc, że brat źle na nie zareaguje. Z pustymi rękami stanęła w głowie łóżka.

- Wyglądasz paskudnie - oznajmiła lekkim tonem. Ale bynajmniej nie było jej do śmiechu; zwłaszcza dziwne metalowe urządzenie otaczające poskładaną nogę budziło grozę.

Tak jak się spodziewała, grymas gniewu na twarzy Kirka zniknął, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech.

- Dziękuję, ty też wyglądasz pięknie. Cześć, Lance. Obawiam się, że zderzak w twoim wozie mógł wczoraj trochę ucierpieć.

- Lakier też - odparł Lance, wsuwając ręce do kieszeni. - Na twoim miejscu przez jakiś czas nie pokazywałbym się Charliemu.

Obróciwszy się, napotkał oczy Pam. Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenie. Domyślił się, że dziennikarka spędziła bezsenłą noc. Wielokrotnie widywał identyczny wyraz na twarzach żon, matek, ojców i kochanek zaprzyjaźnionych kierowców.

- Słyszałem, że Betinni wygrał wyścig i zdobył mistrzostwo - oznajmił Kirk. - To dobry rajdowiec. Przez cały sezon na zmianę zajmowaliśmy pierwszą pozycję.

Próbując podsunąć się wyżej, skrzywił się

z bólu. Foxy zacisnęła zęby. Wiedziała, że jakiegokolwiek oznaki współczucia jedynie Kirka zdenewrują.

- Przynajmniej teraz mój braciszek odpoczywa i nie sprawia żadnych kłopotów, prawda? - zwróciła się z uśmiechem do Pam.

- Przeciwnie. Sprawia ich mnóstwo.

- Pam... - W głosie Kirka pojawiła się nuta ostrzeżenia.

Dziennikarka ją zignorowała.

- Polecił mi wrócić na Manhattan - kontynuowała. - Jest zły, że go nie chcę posłuchać.

Foxy przeniosła spojrzenie z przyjaciółki na brata, potem na Lance'a.

- No tak... - Odchrząknęła, niepewna, co powiedzieć.

- Uważa, że zachowuję się nierozsądnie - zaczęła wyjaśniać Pam.

- I bardzo głupio - dorzucił Kirk, łypiąc na nią gniewnie.

- Tak. - Pam uśmiechnęła się do niego łagodnie. -I bardzo głupio.

- Zrozum, nie ma żadnego powodu, żebyś tu tkwiła!

- Uwielbiam zapach szpitala.

- Psiakrew! Nie chcę cię tu oglądać! - zirytował się Kirk, po czym syknął z bólu.

Lance chwycił Foxy za łokieć, kiedy chciała podejść bliżej.

- Nie wtrącaj się - szepnął.

- Trudno, będziesz musiał - oznajmiła spokojnie Pam. Mówiła cicho, lecz stanowczym tonem generała, który stoi naprzeciw wrogiej armii. - Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Kocham cię.

- Masz nie po kolei w głowie!

- Prawdopodobnie.

Zmrużył oczy. Wpadające przez okno promienie słońca delikatnie ozłacały jej skórę.

- Nie zgadzam się na twoją obecność! - warknął.

Wzruszyła ramionami.

- A co zrobisz? Wykopiesz mną stąd zdrową nogą?

- Żebyś wiedziała! Jak tylko zdołam się podnieść - mruknął wściekły z powodu swojej bezradności.

- No dobrze. - Pam podeszła do łóżka i pociągnęła zdumionego Kirka za wąsy. - Przypomnij mi później, żebym zaczęła się bać. Na razie mam trzy możliwości do wyboru. Mogę cię udusić, mogę skoczyć z mostu albo mogę pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Wybieram trzecie wyjście. Ty natomiast - pogładziła go po policzku - nie masz żadnego wyboru. Po prostu jesteś zdany na moje towarzystwo.

- Tak myślisz? - spytał Kirk. Kąciki ust mu zadrgały. - Uparty z ciebie osioł.

- Zgadza się.

Schyliwszy się, pocałowała go lekko w usta. Kiedy chciała się podnieść, przytrzymał ją za włosy i ponownie do siebie przyciągnął.

- Ustalimy to raz na zawsze, kiedy będę już zdrowy.

- Niewątpliwie. - Pam przysiadła z uśmiechem na krawędzi łóżka.

Kirk natychmiast odszukał jej dłoń. On ją kocha, uświadomiła sobie Foxy; on ją naprawdę kocha. Popatrzyła na przyjaciółkę z wyrazem sympatii i nadziei w oczach. Może to miłość jest odpowiedzią na moje wątpliwości? - przemknęło jej przez myśl. Może kochająca żona zdoła zastąpić mu wyścigi?

- Co nowego dzieje się na świecie? - spytała Pam, wrywając Foxy z zadumy.

- Co nowego? - powtórzyła tępo Foxy.

- Jakieś trzęsienia ziemi, powodzie, wojny, głód? W ciągu doby wiele może się wydarzyć.

- Nie, nic szczególnego się nie wydarzyło - odparła Foxy, patrząc na brata. Teraz, pomyślała; teraz jest ta chwila, żeby ogłosić nowinę. Czuła się dziwnie spięta i skrępowana. - Kirk... - zaczęła. Zawahawszy się, odszukała wzrokiem Lance'a, po czym wzięła głęboki oddech. - Kirk, Lance i ja zamierzamy się pobrać.

Na twarzy Kirka odmalowało się zdumienie. Pam poderwała się z łóżka i rzuciła przyjaciółce na szyję.

- No proszę! A przed chwilą powiedziałaś, że

nic się nie wydarzyło! - Ponad ramieniem Foxy popatrzyła na Lance'a. - Szczęściarz z ciebie, wiesz?

- Wiem - oznajmił z powagą.
- Pobrać? - spytał Kirk. - Jak to pobrać?
- Normalnie. - Foxy stanęła w głowie łóżka.
- Przecież ludzie się pobierają...
- Kiedy?
- Wystąpiliśmy o pozwolenie, musimy jeszcze zrobić badanie krwi - odrzekł Lance.

Podszedłszy bliżej, otoczył ramieniem Foxy. Kirk nie spuszczał oczu z jego twarzy.

- O co chodzi? - spytał z uśmiechem Lance.
- Uważasz, że powinniśmy byli prosić cię o pozwolenie?

- No nie - mruknął Kirk. Przeniósł spojrzenie na siostrę i nagle przypomniał sobie małą dziewczynkę, którą zaopiekował się po śmierci rodziców. - A może tak. - Westchnął. - Sam nie wiem. Ale mogliście mnie przynajmniej ostrzec, żebym wiedział, co się szykuje.

- Nie gniewaj się, braciszku.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu swojemu przyjacielowi, potem siostrze.

- Kochana, jesteś pewna? - Ścisnął jej dłoń.

Wbiła wzrok w Lance'a. Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. Ale czy jest pewna, że chce go poślubić? Długo wpatrywała się w znajome rysy.

- Tak - odparła z uśmiechem. - Jestem najzupełniej pewna. - Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta. Napięcie, które towarzyszyło jej od rana, zniknęło. Ponownie obróciła się twarzą do brata. - Nie martw się o mnie.

- Postaram się, a ty bądź szczęśliwa. - Miał wrażenie, jakby Lance zabierał mu coś niezwykle cennego. - Psiakość, jesteś już dorosła...

- Ano jestem. - Cmoknęła brata w policzek.

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia. Zawsze łączyła ich silna więź emocjonalna, ale dotychczas byli przyjaciółmi, teraz zaś mieli zostać rodziną. Może łatwiej by im było, gdyby tyle o sobie nie wiedzieli, nie znali nawzajem swoich myśli i przyzwyczajień.

- Tylko jej nie skrzywdź - ostrzegł Kirk, nie wypuszczając z ręki dłoni siostry. - Zamieszkacie w Bostonie?

- Tak.

Foxy obserwowała ich w milczeniu; czuła, że dwaj kochani przez nią mężczyźni porozumiewają się bez słów. Nagle spojrzenie Kirka złagodniało.

- Obawiam się, że nie zdołam poprowadzić cię do ślubu. - Uśmiechając się ciepło, ponownie uścisnęła dłoń siostry, po czym przekazał ją Lance'owi. - Spraw, żeby była szczęśliwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzy dni później Foxy siedziała koło Lance'a w wynajętym porsche, który pokonywał dystans między Nowym Jorkiem a Massachusetts, i bawiła się gładką złotą obrączką. Jesteśmy małżeństwem, powtarzała w myślach. Mężem i żoną. Uroczystość zaślubin trwała krótko, najwyżej kwadrans. Przez cały czas Foxy miała wrażenie, że odgrywa rolę w jakiejś sztuce. Dopiero kiedy Lance nasunął jej na palec obrączkę, uświadomiła sobie, że to nie scena, lecz życie. Że w tym momencie ona, Cynthia Fox, naprawdę staje się panią Lancelotową Matthews.

Zastanawiała się, jak powinna się przedstawiać.

Cynthia Matthews? Z drugiej strony Cynthia Fox-Matthews brzmiałoby poważniej, dostojniej. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Powaga osiągnięta za pomocą kreseczki w nazwisku? Nie, wystarczy Foxy Matthews. To jej najbardziej odpowiadało.

- Wykręcisz sobie palec, zanim dojedziemy do Rhode Island - powiedział cicho Lance, lecz Foxy podskoczyła, zupełnie jakby krzyknął jej do ucha.

- Denerwujesz się? - spytał ze śmiechem.

- Nie. - Nie chcąc się przyznać, o czym myślała, zmieniła szybko temat. - Kirk wyglądał znacznie lepiej, prawda?

- Mmm. - Lance włączył wycieraczki. - Pam to najlepsze lekarstwo, jakie mógłby sobie wymarzyć.

- Fakt. - Obróciła się na siedzeniu. Mój mąż, pomyślała, wpatrując się w jego profil. - Nie spotkałam dotąd nikogo, kto by tak świetnie sobie radził z Kirkiem. Oczywiście poza tobą.

- Kirkowi potrzebna jest partnerka, która ma własne zdanie i nie boi się go wyrazić. Ty nigdy się nie bałaś. Nawet jako trzynastolatka potrafiłaś tak podejść Kirka, aby osiągnąć cel...

Zmarszczyła czoło.

- Podejść? Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób... - Zamyśliła się. - I nie sądziłam, że ktokolwiek to widzi.

- Nic nie uchodziło mojej uwadze. Przynajmniej nic, co dotyczyło ciebie.

Serce zabiło jej mocniej. Czy zawsze tak będzie? - zastanawiała się. Czy kiedy spojrzy na mnie po latach małżeństwa, wciąż będę czuła ciarki na plecach? Czułam je dziesięć lat temu, czuję dziś. Czy za dziesięć lat też będę je czuła?

- Przepraszam, co mówiłeś? - spytała, kiedy przerwał tok jej myśli.

- To był miły gest z twojej strony. To, że podarowałaś Pam swój bukiet ślubny. Chociaż szkoda, że sama nie masz żadnej pamiątki.

Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Otworzywszy torebkę, wyciągnęła szczotkę do włosów. Na dnie torebki leżała biała aksamitna wstążka, którą odpięła z bukietu ślubnych orchidei. Miała pamiątkę. Uniosła szczotkę, kiedy nagle sobie przypomniała, że włosy ma upięte w kok. Czym prędzej więc ją schowała. Deszcz spływał po szybach, zamazując jesienny krajobraz za oknem.

- Mało to było romantyczne, prawda? Dziesięć minut przed obliczem sędziego pokoju. Żadnych życzeń, żadnych przyjaciół, nikt nie płacze, nikt nie obrzuca młodych ryżem. - Zerknął na Foxy.
- Nie jest ci przykro?

- Nie żartuj. - Przez moment, w trakcie wypowiedzenia przysięgi, faktycznie pomyślała o tradycyjnym ślubie, ale raczej z ciekawością niż z żalem. Bo czy czułaby się bardziej mężatką, gdyby obsypano ją ryżem? Gdyby miała welon,

a uroczystości towarzyszyła muzyka organowa?
- Zresztą nie mam żadnych cioc ani babć, które mogłyby zalewać się łzami w kościele.

Na myśl o rodzinie - Lance'a, nie swojej - znów zaczęła kręcić nerwowo obrączką.

- Chciałaś gładką, bez ozdóbek?

- Słucham? - Skierowała wzrok tam, gdzie Lance patrzył: na swoją rękę. - Tak, tak. Właśnie taką.

- Rozmiar pasuje?

- Tak, oczywiście, jest w sam raz.

- Więc dlaczego, do diabła, ciągle nią kręcisz?

- spytał rozdrażniony.

Westchnęła. Nie dziwiła się jego irytacji.

- Przepraszam. To się wszystko dzieje tak szybko, i jeszcze ta podróż do Bostonu... - Przygryzła wargę. - Boję się spotkania z twoimi bliskimi

- przyznała. - Nie mam zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o rodziny.

Położył rękę na jej dłoni.

- Moja nie należy do typowych - oznajmił kwaśno. - Do takich, jakie widuje się na kartkach z okazji Bożego Narodzenia.

- I to ma mnie uspokoić?

- Po prostu nie przejmuj się Matthewsami.

- Uśmiechnął się, próbując dodać jej otuchy.

- Bierz przykład ze mnie.

- Łatwo ci mówić. - Zmarszczyła nos. - Ty jesteś Matthewsem.

- Ty też - rzekł, gładząc jej palec z obrączką.
- Nie zapominaj, że ty też.

- Opowiedz mi o nich.

- Prędzej czy później będę musiał... - Wyciągnął cygare i zapalniczkę. - Mama pochodzi z Bardettów. To stara bostońska rodzina. Bardzo patriotyczna. - Przyłożył zapalniczkę do cygara.
- W każdym razie matkę ogromnie cieszy przynależność do obu rodzin, Bardettów i Matthewsów, ale najbardziej cieszą ją przyjęcia.

- Przyjęcia? Jakie przyjęcia?

- Różne, byleby miały odpowiednią oprawę. Uwielbia je wydawać, uwielbia na nie uczeszczać, uwielbia o nich plotkować. Jest snobką od stóp do głów, a raczej od czubka swoich drogich włoskich pantofelków po czubki swoich siwych włosów.

- Lance!

- No co? Chciałaś, żebym opowiedział ci o mojej rodzinie. Matka zajmuje się dobroczynnością, a potem z lubością czyta o sobie w kronikach towarzyskich. Uważa, że biedni nie powinni zwracać się o pomoc, dopóki sama nie zbierze dla nich pieniędzy. Jednakże bez względu na to, co nią kieruje, w sumie czyni dużo dobra.

- Ostro ją oceniasz - powiedziała Foxy, przypominawszy sobie własną matkę, cudowną, roztrzępaną kobietę, po której Kirk odziedziczył zamiłowanie do starych tenisówek.

- Może. Zawsze się różniliśmy. Ojciec patrzył

na jej poczynania z przymrużeniem oka, ale ja mam znacznie mniej cierpliwości niż on. - Uśmiechnął się krzywo, widząc marsa na czole swojej nowo poślubionej żony. - Nie bój się, Fox. Krew się nie poleje. Nie przepadamy za sobą, ale zachowujemy się względem siebie w sposób niezwykle cywilizowany. Bardettowie to nad wyraz uprzejmi i kulturalni ludzie.

- A Matthewsowie? - spytała zaintrygowana.

- U Matthewsów w mniej więcej co drugim pokoleniu rodzi się czarna owca, a wszystko przez jakiegoś prapradziadka, który dwieście lat temu popełnił straszny mezalians: ożenił się z dziewczką podającą do stołu w miejscowej tawernie. - Zaciągnął się cygarem. - Lecz większość Matthewsów zachowuje się równie godnie, jak Bardettowie. Na przykład moja babka. Nic po sobie nie dała poznać, kiedy mój dziadek miał romans z hrabiną de Avalon. Po prostu udawała, że nic się nie wydarzyło. Jej córka, ciotka Phoebe, jest, jak słusznie zauważyła hrabina, nudna jak flaki z olejem. Od półwiecza nie wypowiedziała jednej oryginalnej myśli. Mam potwornie dużo ciotek, wujów, kuzynów oraz bliższych i dalszych powinowatych.

- Wszyscy mieszkają w Bostonie?

- Na szczęście nie. Są rozsiani po całych Stanach i Europie, ale wielu z nich faktycznie mieszka w Bostonie i na Martha's Vineyard.

- Pewnie twoja matka zdziwiła się, kiedy powiedziałaś jej o naszym ślubie? - Foxy z trudem powstrzymała się, żeby znów nie zacząć bawić się obrączką.

- Nie mówiłem jej.

- Co? - Zdumiona wytrzeszczyła oczy. - Naprawdę?

- Naprawdę.

Zamierzała zapytać dlaczego, ale po chwili sama wpadła na odpowiedź: bo się mnie wstydzi. Przełknawszy ślinę, utkwiała wzrok z szybie, po której spływały krople deszczu. Cynthia Fox z Indiany nie dorasta bostońskim Bardettom i Matthewsom do pięt.

- Cóż, mogę się ukrywać na strychu. Albo możemy wymyślić dla mnie jakiś fałszywy rodowód.

- Hm? - Zamyślony zerknął na jej profil, po czym znów skierował spojrzenie na drogę. Wyprzedziwszy wolno jadącą ciężarówkę, zgasił cygaro i wyrzucił je przez okno.

Foxy bezskutecznie próbowała pohamować narastającą w niej złość.

- Możemy na przykład powiedzieć, że jestem zdetronizowaną księżniczką z jednego z krajów trzeciego świata. Przez pół roku będę udawać, że nie znam angielskiego... - Wściekła i upokorzona obróciła się do Lance'a. - Albo mogę być córką angielskiego barona, który zmarł, pozostawiając

mnie bez grosza przy duszy. Bądź co bądź liczy się pochodzenie, a nie majątek, prawda?

Spojrzał na nią zdziwiony jej kąśliwym tonem i zobaczył, że ma oczy lśniące od łez.

- Co ty pleciesz, Foxy?

- Skoro uważasz, że nie zasługuję na miano twojej żony, to...

Nie dokończyła, bo zjechał gwałtownie na pobocze i z całej siły chwycił ją za ramiona.

- Nigdy więcej tak nie mów! Rozumiesz?

Po raz pierwszy w życiu widziała go tak rozwścieczonego.

- Nie, nie rozumiem. Nic nie rozumiem. - Ku swojemu przerażeniu poczuła, jak z oczu tryska jej fontanna łez.

Jej płacz zaskoczył ich oboje.

- Przestań, proszę-zażądał Lance. - Nie płacz.

- A właśnie, że... będę! - szlochała, nawet nie próbując się opanować. Wiedziała, że i tak nie zdoła.

Przeklinając pod nosem, Lance zabrał rękę.

- W porządku. Rób, jak chcesz. Ale czy mogłabyś mi chociaż wyjawic powód swojej rozpacz?

Przez moment szukała czegoś w torebce.

- Nie mam chusteczki. - Wierzchem dłoni otarła policzki.

Lance, mrucząc coś pod nosem, wyciągnął z kieszeni chustkę i wepchnął do rąk żony.

- Ale... to jedwab - szepnęła, usiłując mu ją zwrócić.

- Zaraz cię uduszę. -I jakby bojąc się, że spełni groźbę, czym prędzej zacisnął ręce na kierownicy.
- Nie ruszymy stąd, dopóki mi nie powiesz, co cię ugryzło.

- Nic, absolutnie nic. - Była kompletnie sobą zniesmaczona, ale nie potrafiła zamilknąć. - Niby dlaczego miałoby mi przeszkadzać, że nawet nie poinformowałeś rodziny o naszym ślubie?

Przez chwilę słychać było tylko krople deszczu uderzające w dach samochodu, monotonny szum przesuwających się wycieraczek oraz pociągającą nosem Foxy.

- Myślisz, że nic im nie mówiłem, ponieważ się ciebie wstydzę? - zapytał cicho Lance.

- A co mam myśleć? Foxowie z Indiany nie należą do starych, szacownych rodzin.

- Chryste! -jęknął Lance.

Znieruchomiała, nawet przestała chlipać. Z zafascynowaniem obserwowała, jak Lance usiłuje zapanować nad wściekłością.

- Nic nikomu nie mówiłem - ciągnął po chwili ściszoneg głosem - bo chciałem mieć kilka dni spokoju. A jak tylko rozejdzie się wieść o naszym małżeństwie, zaraz zacznie się ten koszmary towarzyski kołowrót. Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli wyjechać na miodowy miesiąc, ale jak ci tłumaczyłem, muszę najpierw załatwić parę spraw.

- Zamilkł. - Uznałem, że po długim sezonie wyścigowym i wypadku Kirka obojgu nam przyda się

moment wychnienia. Nie przyszło mi do głowy, że odczytasz wszystko na opak.

Wrzucił jedynekę i włączył się z powrotem w ruch. W samochodzie zapanowała nieprzyjemna cisza. Miętosząc w dłoni jedwabną chusteczkę, Foxy marzyła o tym, by móc cofnąć czas i zacząć rozmowę od początku.

Była zmęczona. Od wypadku Kirka minął niecały tydzień. W tym czasie na pewno kilka razy spała i kilka razy jadła, ale nie potrafiła powiedzieć, ile godzin spędziła w łóżku ani co miała w ustach. Również jej małżeństwo wydawało się czymś nieprawdziwym, nierealnym. Ale to nie jest żadna iluzja, pomyślała. I Lance ma rację. Jestem idiotką.

- Przepraszam - szepnęła, spoglądając na profil męża.

- W porządku. - W jego głosie nie było nuty przebaczenia.

Foxy ponownie utkwiała wzrok w szarych strugach deszczu. Czy wszystkie panny młode są takie płacziwe i niepewne siebie? Nigdy przecież taka nie była. Sama siebie nie poznawała. Przymknęła oczy. Miała nadzieję, że poczuje się lepiej, kiedy dojadą na miejsce. Potrzebowała kilku dni odpoczynku.

Jednostajny szum silnika i deszczu podziałał na nią usypiająco. Po paru minutach spała jak niemowlę.

Zamruczała cicho i poruszyła się we śnie. Już nie słyszała szumu silnika, ale czuła dziwne kołysanie. A także chłodną wilgoć na czole i nosie. Odwróciła twarz i raptem potarła policzkiem o coś ciepłego. W nozdrza uderzył ją znajomy zapach. Uniosła powieki; jej oczom ukazała się broda Lance'a. Po chwili uświadomiła sobie, gdzie się znajduje: na rękach męża. Wtuliła twarz w jego szyję. Powoli zapadał zmierzch, wraz z nim na świat spływała mleczna mgła.

Oprócz zapachu wody kolońskiej czuła zapach mokrych liści i traw, zapach, który wkrótce miał się jej kojarzyć z jesienią w Nowej Anglii. Wokół panowała cisza jak makiem zasiał. Foxy, zdezorientowana, obróciła głowę.

- Postanowiłaś wrócić do żywych? - Lance przystanął, nie zważając na siąpiący deszcz.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

Zobaczyła murowany, dwupiętrowy dom o wąskich, wysokich oknach i ścianach porośniętych mokrym od deszczu, soczyście zielonym bluszczem. Wokół pierwszego i drugiego piętra ciągnęły się balkony z kutego żelaza, również oplecione bluszczem. Mimo ponurej aury dom sprawiał wrażenie niezwykle eleganckiego i stylowego.

- Tu mieszkasz? - Foxy odchyliła głowę, usiłując dojrzeć dach i komin.

- Dom należał do mojego dziadka - odparł Lance, obserwując jej reakcję. - Zostawił mi go

w spadku. Babcia zawsze wołała ich posiadłość na Martha's Vineyard.

- Jest piękny - szepnęła z zachwytem Foxy.
- Naprawdę piękny.

Nie spuszczał oczu z jej twarzy. Napotkała jego wzrok. Uśmiechnęła się i zamrugała, strząsając z rzęs krople deszczu.

- Pada...

- Owszem, pada. - Pocałował ją. - Usta masz mokre, włosy... W tym szarym świetle wyglądasz blado, eterycznie. Nie znikniesz mi, jak cię puszczę?

- Nie. - Odgarnęła mu kosmyk z czoła. - Nie zniknę. - Serce zabiło jej mocniej.

- Jeszcze się przeziębisz, jak będziemy tak tkwić na deszczu. - Obejmując ją mocniej, ruszył przed siebie.

- Nie musisz mnie nieść.

Zwinnie pokonał kilka schodków prowadzących do drzwi.

- Pan młody zawsze wnosi żonę. - Przekręcił klucz w zamku, nacisnął łokciem klamkę, następnie ramieniem pchnął drzwi i z Foxy na rękach wszedł do pogrążonego w ciemności wnętrza.

- Witaj w domu - szepnął, całując ją gorąco.

- Lance - szepnęła wzruszona. - Kocham cię.

Postawił ją na podłodze. Przez moment stali w otwartych drzwiach.

- Przepraszam za tę scenę, którą urządziłam w samochodzie.

- Już raz przeprosiłaś.

- Ale byłeś tak zły, że należą ci się podwójne przeprosiny.

Roześmiał się i cmoknął ją w nos, po chwili jednak zmienił zdanie i znów pocałował w usta.

- Płakałaś, a ja zareagowałem złością... - Pogładził delikatnie jej ramiona. - Pogubiłem się. Zawsze jesteś taka dzielna... Powinienem być ci wszystko wytłumaczyć, ale nigdy dotąd nie musiałem się nikomu z niczego tłumaczyć, więc... Po prostu oboje musimy przyzwyczać się do zmian, zdobyć na kompromis. - Ujął jej dłonie i podniósł do ust. - Ale na razie zaufaj mi, dobrze?

- Postaram się - obiecała.

Puściwszy jej ręce, Lance zamknął drzwi i zapalił światło w holu. Foxy rozejrzała się dookoła. Na lewo zobaczyła lśniące drewniane schody; dębowa poręcz wydawała się gładka, jakby była wykonana z jedwabiu lub alabastru. Na prawo znajdowała się szafa z lustrem, w którym dawno temu przeglądała się praprababka Lance'a.

W milczeniu obserwował Foxy, która przeniosła wzrok z osiemnastowiecznych świeczników na oprawiony w złotą ramę obraz Thomasa Gainsborough. Miała na sobie prostą zieloną sukienkę, tę samą, w której rano brała ślub, o długich wąskich rękawach, ze stójką pod szyją, wciętą w pasie, rozkloszowaną u dołu. Biżuterii nie nosiła, jeśli nie liczyć złotej obrączki na palcu. Była uosobieniem

wiosennej świeżości, lecz w jej spojrzeniu i ruchach kryła się zmysłowość jesieni.

- Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że możesz mieszkać w takim miejscu.

- Dlaczego? - Wsparty o ścianę, czekał na jej odpowiedź.

- Bo ten dom jest jakby stworzony dla... domatora. A ty mi się nie kojarzysz z domatorem.

- Od czasu do czasu nim bywam. I nawet mi to sprawia przyjemność - oznajmił ze wzruszeniem ramion.

W szarym tweedowym garniturze pasował do obrazu pana na włościach, lecz jego spojrzenie znamionowało człowieka kochającego ruch i wolność. Foxy doskonale wiedziała, że szyte na miarę garnitury i bezcenne antyki nie zmieniają natury Lance'a. Może była szalona, ale wołała grzesznika od anioła.

- Powinnam jednak być przygotowana na to, aby w ciągu godziny się spakować i w drogę? - spytała z figlarnym uśmiechem.

- Jakie szczęście, że znalazłem kobietę, która mnie rozumie. - Owinął wokół palca kosmyk jej włosów. - W dodatku kobietę wyjątkowo atrakcyjną, inteligentną, o ciętym języku i dużym poczuciu humoru, namiętą i impulsywną, mówiącą lekko zdyszczanym głosem, jakby stale była podniecona.

- No, no, trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno - rzekła na wpół speszona, na wpół rozbawiona.

- Na to wygląda.-Spoważniał.-Dobry biznesmen wie, kiedy należy przystąpić do działania. - Po chwili uśmiech znów zagościł na jego twarzy.

- Jesteś głodna?

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie bardzo. - Nagle jednak przypomniała sobie, ile godzin Lance siedział za kierownicą.

- Ale pewnie znajdzie się jakaś zupa w proszku, którą mogłabym ugotować...

- Och, znajdzie się wiele rzeczy. - Biorąc Foxy za rękę, poprowadził ją na koniec korytarza. Po drodze minęli kilka ciemnych pokoi. - Zadzwońłem wczoraj do pani Trilby, która pomaga mi w prowadzeniu domu. Uprzedziłem ją, że wracam. Nie lubię pustych lodówek i mebli przykrytych pokrowcami.

Na końcu korytarza zapalił światło. Oczom Foxy ukazała się ogromna, wspaniale urządzona kuchnia.

- Ojej... Działa? - spytała, podchodząc do wbudowanego w ścianę niedużego kominka.

- Oczywiście - odparł Lance z uśmiechem.

- Cudnie! Chętnie będę w nim palić jesienią.

- Z radością pogładziła sosnowy stół na kozłach stojący przy oknie.

- To twój dom i twoja kuchnia. Możesz robić, co ci się żywnie podoba.

Rozluźniła mu krawat pod szyją. Było w tym gęście coś bardzo intymnego.

- Moja kuchnia, powiadasz? - Rozejrzała się.
- Nawet nie wiem, gdzie w mojej kuchni trzymam kawę.

- Chyba w szafce za sobą - powiedział Lance, sprawdzając zawartość lodówki. - Potrafisz gotować?

- Jasne. A jakie masz życzenie? - Wyciągnęła z szafki puszkę z kawą.

- Darujmy sobie skomplikowane dania; zajmują za dużo czasu, a ja jestem coraz bardziej głodny. Hm, może omlet?

- Proszę bardzo. - Obejrzała się przez ramię.

- A ty? Umiesz pichcić? Czy wszystko przypalasz?

- Głównie siebie. Na słońcu. Jak zasnę na plaży.

Wybuchnęła śmiechem.

- No dobrze. Daj mi patelnię.

Po paru minutach nowo poślubieni małżonkowie zasiedli przy kuchennym stole do weselnej kolacji. Na zewnątrz niebo było czarne, zasłane chmurami, z których siąpił deszcz. Foxy straciła poczucie czasu. Równie dobrze mogła być siódma wieczorem, jak i trzecia nad ranem. Odpowiadał jej ten stan beczasowości, dlatego świadomie unikała patrzenia na zegarek. Chociaż prowadzili lekką rozmowę o nieistotnych sprawach, nerwy miała napięte. Udając, że je, przesuwała widelcem omlet po talerzu.

- Nic dziwnego, że jesteś taka chuda - stwier-

dził Lance, a gdy uniosła pytająco brwi, dodał:

- Nie wykazujesz żadnego zainteresowania jedzeniem. Schudłaś w czasie tych kilku miesięcy...

Posłusznie zaczęła opróżniać talerz.

- Bo jadaliśmy w restauracjach, a ja wolę stołować się w domu. Ale nie martw się, szybko wrócę do poprzedniej wagi. - Posłała mu uśmiech.

- Wiesz, na co mam teraz wielką ochotę? Na ciepłą kąpiel.

- Zaprowadzę cię na górę, a potem wyjdę do samochodu po nasze torby. Reszta rzeczy powinna dotrzeć jutro.

Foxy wstała, zaczęła uprzątać naczynia ze stołu. Czuła się coraz bardziej spięta.

- Nie musisz ze mną iść. Sama znajdę łazienkę, tylko powiedz, które to drzwi.

- Wchodzi się przez sypialnię, a sypialnia to drugie drzwi na prawo. Na pierwszym piętrze. Zostaw naczynia - rzekł, wpatrując się w jej plecy.

Zamierzała się sprzeciwić, ale ugryzła się w język, kiedy położył rękę na jej ramieniu. Potrzebowała paru chwil w samotności, by ogarnąć się, uporządkować myśli...

- Dobrze. - Obróciła się przodem. - Postaram się nie zajmować wanny zbyt długo. Na pewno też chcesz się wykapać po podróży.

- Nie spiesz się. - Opuściwszy kuchnię, ruszyli holem w stronę schodów. - Skorzystam z innej łazienki.

- Doskonałe.

Rozstali się przy schodach. Boże, jacy jesteśmy dla siebie mili, jacy uprzejmi, pomyślała, pokonując po dwa stopnie naraz. Zachowujemy się jak stare małżeństwo.

Ściany w sypialni pokryte były jedwabną tapetą, beżową, z wąskim brązowym paskiem ciągnącym się nad podłogą i pod sufitem. Meble stanowiły ciekawą mieszaninę różnych stylów, między innymi hepplewhite i chippendale - efekt był znakomity. Naprzeciwko drzwi znajdował się biały marmurowany kominek z marmurową półeczką; stos drewna czekał na podpałkę. Obok stało łóżko z baldachimem, na którym leżała jedwabna narzuta - wyglądała na niezwykle starą pamiątkę rodzinną. Foxy przygryzła wargi. Bezcennych pamiątek było tu co niemiara; po prostu musi nauczyć się z nimi żyć.

Odruchowo spojrzała na swoje ręce. Obrączka zamigotała złociście w blasku lampy. Nie zwracając uwagi na kłucie w sercu, Foxy zaczęła się rozbierać. W samej halce przeszła do łazienki. Tak, pani Trilby doskonale się spisała. Na półce leżały przygotowane ręczniki oraz kolekcja pachnących mydełek, olejków, soli kąpielowych. Ogromna, wpuszczona w podłogę wanna śmiało mogłaby pomieścić dwie osoby.

Odkręciwszy wodę, Foxy skupiła się na doborze olejków. Wkrótce łazienkę wypełniła para o zapa-

chu świerkowego lasu. Foxy zanurzyła się w pianie. Pół godziny później wstała pachnąca, różowa i wypoczęta. Owinięta seledynowym ręcznikiem stanęła przed lustrem i nucąc cicho, wyciągnęła z loków klamerki. Włosy opadły jej na ramiona. Zaczęła rozczesywać je palcami. Hm, przecież w torbie musi być szczotka i koszula nocna, pomyślała. Lance na pewno przyniósł ją już na górę.

Wyszła do sypialni. Paliły się dwie małe lampki przy łóżku, które dawały ciepłe, przygaszone światło, w kominku zaś tańczyły języki ognia. Odruchowo skierowała się w stronę płomieni. Była na środku pokoju, kiedy nagle dostrzegła Lance'a. Wydając okrzyk zdziwienia, zawiązała mocniej ręcznik nad biustem. Lance, ubrany w czarny szlafrok, stał koło okrągłego stołu o szklanym blacie, otwierając butelkę szampana. Na moment znieruchomiał i powiódł wzrokiem po swej skąpo odzianej żonie, która jedną ręką ścisnęła ręcznik, a drugą usiłowała odgarnąć z twarzy wilgotne włosy.

- Przyjemna kąpiel? - Nie spuszczać z niej oczu, wysunął z butelki korek.

- Tak. - W nogach łóżka zauważyła ich bagaże.
- Nie słyszałam, jak wchodzisz... Chciałam wyjąć z torby szczotkę i koszulę.

- Po co? - Napełnił kieliszki złocistym płynem.
- Podobasz mi się w tej zieleni. - Rozciągnął wargi

w seksowym, łobuzerskim uśmiechu, na widok którego zawsze kręciło się jej w głowie. - I lubię cię taką lekko rozczochraną. Chodź, napijemy się szampana.

Nie tak wyobrażała sobie swoją noc poślubną. Zamierzała wystąpić w zwiewnej koszuli nocnej, którą dostała od Pam. Zamierzała być powabna, zmysłowa, pewna siebie. Zamiast tego stała owinięta ręcznikiem, potargana, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Ale posłusznie podeszła do męża i wzięła kieliszek. W gardle jej zaschło; miała nadzieję, że szampan pomoże. Zbliżyła kieliszek do ust, lecz zanim zdołała upić łyk, Lance zacisnął rękę na jej nadgarstku.

- Może jakiś toast? - spytał cicho. - Za wyścig, który się skończył.

Stuknęli się. Szampan był zimny, cudownie orzeźwiający.

- Dziś tylko ten jeden kieliszek - szepnął Lance. - Żebyś mi nigdzie nie odpłynęła.

Serce waliło jej jak młotem. Odwróciła wzrok.

- Jaki piękny jest ten pokój. - Zwilżyła wargi.
- Tyle w nim wspaniałych antyków...

- Lubisz antyki?

- Nie wiem - odparła, przechadzając się wolnym krokiem. - Nigdy żadnych nie miałam. Ty chyba musisz je lubić, prawda?

Obejrawszy się przez ramię, zobaczyła, że Lance stoi tuż za nią. Poruszał się bezgłośnie.

Zanim zdążyła się odsunąć, wolną ręką objął ją za szyję.

- Muszę cię przytrzymać, inaczej znów mi uciekniesz. - Delikatnie przyciągnął ją do siebie i przycisnął usta do jej ust. - Chcesz rozmawiać na temat mojej kolekcji antycznych mebli? - spytał, wyjmując Foxy z ręki kieliszek.

Otworzyła oczy.

- Nie. - Wypowiedzenie nawet tak krótkiego słowa wymagało dużego wysiłku.

Chwyciwszy żonę w ramiona, zaczął obsypywać ją pocałunkami. Ręcznik zsunął się na podłogę.

- Lance... - Krew dudniła jej w skroniach, ciało drżało z pożądania. - Pragnę cię. Kochaj mnie. Kochaj!

Nie musiała powtarzać tej prośby. Ponownie zacisnął usta na jej wargach i przeniósł ją na łóżko.

- Światło - szepnęła. - Zgaś...

- Nie, chcę cię widzieć.

Nie rozczarowała się. Był namiętny i niecierpliwy. Jego ręce i usta błądziły po całym jej ciele, szukając, badając i smakując. Nie pozostawała mu dłużna, odwzajemniała jego pocałunki i pieszczoty. Wiła się i jęczała. Z każdą sekundą czuła coraz większe pożądanie. Kierował nią wrodzony instynkt; sprawiał, że jej ruchy były coraz bardziej kuszące i zmysłowe. Lance w łóżku zachowywał się tak, jak za kierownicą: był silny, władczy,

skupiony na tym, co robi. A dokonywał cudów. Jego ciało, usta, dłonie mówiły jej, czego chce. A chciał jej, Foxy. Nie tylko chciał, również potrzebował. Rozgrzani, spleceni w miłosnym uścisku spełniali nawzajem swoje niewypowiedziane pragnienia.

Parę godzin później, gdy leżeli mocno wtuleni w siebie, szum deszczu ukołysał ich wreszcie do snu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Promienie słońca padały na jej twarz. Czuła się szczęśliwa. Nie otwierając oczu, westchnęła cicho; nigdzie się nie spieszyła, po prostu czekała, aż znikną opary snu i nadejdzie przebudzenie. Przypomniały się jej cudowne sobotnie poranki, kiedy była małą dziewczynką. Leżała w łóżku, budząc się i zasypiając, wiedząc, że wreszcie nastał dzień wolny od szkoły, od lekcji, od obowiązków. Poniedziałek wydawał się strasznie odległy. Tak, kochała te sobotnie poranki...

Jakiś ciężar, miły ciężar, przygniatał ją w pasie. A obok coś promieniowało żarem. Przysunęła się bliżej do źródła ciepła. Hm, jak dobrze. Uniosła

leniwie powieki i popatrzyła prosto w oczy Lance'a. Przeszłość zniknęła, ustępując miejsca teraźniejszości. Ale uczucie szczęścia i błogości pozostało. Nie odezwała się. Lance również milczał. Spojrzenie miał jasne, bystre, najwyraźniej nie spał od dłuższego czasu. Gdy się tak w siebie wpatrywali, ich usta powoli zbliżały się...

- We śnie wyglądałaś jak dziecko - szepnął, obsypując pocałunkami jej brodę i policzki. - Młodo i niewinnie.

Nie przyznała się, że myślała o szkole. Kiedy jego palce wędrowały po jej biodrach i plecach, czuła się coraz bardziej jak kobieta.

- Od dawna nie śpisz?

- Uhm - zamruczał w odpowiedzi. - Zastanawiałem się, czy cię nie obudzić. - Przytulił ją mocniej. - Niewiele kobiet potrafi wyglądać tak niewinnie, a zarazem zmysłowo z samego rana.

Uniosła pytająco brwi.

- Skąd wiesz?

- Bo jestem ranny ptaszek - odparł z uśmiechem.

Po krzyżu przebiegł jej dreszcz.

- Pewnie jesteś głodny?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. - Uchwycił w zęby jej dolną wargę. - Jesteś pyszna - szepnął. - Masz tak miękką skórę, jędrne ciało... Trudno ci się oprzeć - mówił, wodząc dłonią po jej biodrach.

Słowami i dotykiem doprowadzał ją do stanu podniecenia. Ale tym razem było inaczej; wiedziała, jaka rozkosz będzie ją czekać. I wcale się nie pomyliła.

Parę minut po dwunastej, ubrawszy się, postanowiła zejść na dół. Nie spieszyła się; tłumaczyła sobie, że im wolniej się będzie poruszać, tym dłużej potrwa dzień. Skręciła w stronę kuchni; resztę domu zwiedzi z Lance'em. Raptem ciszę przerwał dzwonek do drzwi. Ponieważ Lance brał prysznic, uznała, że sama otworzy.

Na osłoniętej białej werandzie stały dwie kobiety, które zdecydowanie nie wyglądały na żadne akwizytorce. Pierwsza była młoda, w wieku Foxy, o lśniących brunatnych włosach i dużych piwnych oczach. Miała na sobie elegancki kostium z tweedu, szeroką spódnicę, dopasowany żakiet, a do tego jedwabną bluzkę. Z całej jej sylwetki biła ogromna pewność siebie.

Druga kobieta była starsza, lecz nie mniej atrakcyjna z wyglądu, o krótko obciętych, białych jak śnieg włosach, które - zaczesane do tyłu - podkreślały delikatne rysy jej twarzy. Prosty jasnoniebieski kostium, który idealnie harmonizował z kolorem jej oczu, przypuszczalnie kosztował majątek. Twarz starszej kobiety, choć niewątpliwie piękna, wydała się Foxy nieco bez wyrazu ~ trochę jak piękny krajobraz namalowany bez wyobraźni.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się przyjaźnie.
- Czym mogę paniom służyć?
 - Może byłaby pani łaskawa nas wpuścić
 - oznajmiła z wyraźnym bostońskim akcentem starsza kobieta i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

Bardziej zaciekawiona niż zła, Foxy odsunęła się na bok, by młodsza również mogła wejść. Stojąc na środku holu, starsza kobieta ściągnęła rękawiczki z białej koźlęcej skóry i wbiła wzrok w Foxy, która ubrana była w dżinsy i luźny bawełniany sweter. W powietrzu unosił się zapach drogich francuskich perfum.

- Gdzie się podziewa mój syn?

Powinam była wiedzieć, pomyślała Foxy, podczas gdy zimne niebieskie oczy mierzyły ją od stóp do głów. Z drugiej strony nic dziwnego, że nie skojarzyła, iż starsza kobieta jest matką Lance'a. Nie było między nimi żadnego podobieństwa.

- Na gorze, proszę pani - odparła. - My...
- Więc niech pani po niego pójdzie. I powie mu, że tu jestem.

Nie tyle niegrzecznie wyrażone życzenie, co pogardliwy ton sprawił, że w Foxy zawrzał gniew. Z całej siły starała się go pohamować.

- Bierze prysznic. Czy panie zechcą zaczekać?
- Przybrała ton recepcjonistki w gabinecie stomatologa. Kątem oka spostrzegła wyraz rozbawienia na twarzy swojej rówieśnicy.

- Chodź, Melisso. - Uderzając rękawiczkami w dłoń, pani Matthews ruszyła przed siebie. - Poczekamy w salonie.

- Dobrze, ciociu Catherine - odrzekła młodsza kobieta, rzucając Foxy szelmowskie spojrzenie.

Foxy podążyła za nimi w głąb domu. Próbowwała nie rozglądać się na wszystkie strony; w końcu Catherine Matthews nie musi wiedzieć, że ona, Foxy, zna jedynie kuchnię i sypialnię.

- Może się pani czegoś napije? - spytała starszą kobietę. Nagle pomyślała, że powinna się przedstawić, ale wyniosłość i chłód pani Matthews jakoś nie sprzyjały prezentacji. - Herbaty? Albo kawy?

- Nie. - Catherine położyła podłużną skórzaną torebkę na stole. - Czy Lancelot zawsze prosi obce młode dziewczyny, aby zabawiały jego gości?

- Obawiam się, że nie wiem - oznajmiła uprzejmie Foxy, odruchowo prostując plecy.

- Niewiele czasu spędziliśmy na rozmowach o młodych dziewczynach.

- No tak. Przypuszczam, że to nie pani talenty krasomówcze pociągają mojego syna. - Idealnie wypielegnowanym palcem zaczęła bębnić o oparcie fotela. - Lancelot rzadko zadaje się z dziewczyną ze względu na jej walory intelektualne. Muszę przyznać, że zazwyczaj nie pochwalam jego gustu, ale tym razem po prostu brak mi słów.

- Powiodła po Foxy krytycznym wzrokiem.

- Gdzież on panią znalazł? Kim pani jest?

- Dziewczynką z zapałkami z Indianapolis - odparła Foxy, zanim zdążyła ugryźć się w język.
- Lance zamierza mnie wyedukować, ucywilizować...

- Ani mi się śni - przerwał jej, wchodząc bosy do salonu.

Ucieszyła się, że jest ubrany podobnie jak ona, w dżinsy i koszulkę. Pocałował ją lekko w usta, po czym podszedł do matki, schylił się i cmoknął nadstawiony policzek.

- Witaj, mamó. Doskonale wyglądasz. A ty, Melisso... - kuzynkę również cmoknął w policzek - jesteś jeszcze śliczniej sza niż poprzednim razem.

- Miło cię widzieć, Lance. - Melissa zatrzepotała rękami. - Jak wracasz do Bostonu, miasto od razu ożywa.

- Uroczy komplement. - Posławszy kuzynce uśmiech, popatrzył na matkę. - Zapewne wiesz o moim przyjeździe od pani Trilby?

- Owszem, wygadała się. - Catherine założyła nogę na nogę. - Trochę to denerwujące, kiedy matka dowiaduje się od służby o tym, gdzie jej syn przebywa.

- Nie złość się na panią Trilby. Przypuszczalnie sądziła, że wiesz, kiedy wracam. Zresztą zamierzałem do ciebie zadzwonić pod koniec tygodnia.

Przyglądając się swojej teściowej, Foxy przypomniała sobie, co jej Lance powiedział: że Bardet-

towie to niezwykle uprzejmi i kulturalni ludzie. Hm, może.

- Pewnie powinnam być ci wdzięczna, że w ogóle zamierzałeś się odezwać... - Catherine przeniosła spojrzenie z Lance'a na Foxy - zważywszy, że jesteś zajęty swoim gościem. - Ponownie utkwiała wzrok w synu. - Bądź jednak łaskaw poprosić swoją przyjaciółkę, żeby zostawiła nas samych. Chciałabym z tobą zamienić parę słów. Skoro nie ma Trilby, może twój gość zechciałby nam zaparzyć dzbanek herbaty?

Bojąc się, że za moment wybuchnie gniewem, Foxy czym prędzej skierowała się do holu.

- Foxy... - rzekł Lance i przemierzywszy salon, otoczył ją ramieniem. - Chyba nie zostałyście sobie przedstawione.

- Daruj sobie tę prezentację, kochanie - wtrąciła Catherine. - To całkiem zbyteczne.

- Jeśli skończyłaś ją obrażać, mamó, to chciałbym ci przedstawić moją żonę.

Zapadła grobowa cisza. Catherine Matthews nie wciągnęła z sykiem powietrza, nie wydała okrzyku zdumienia, po prostu patrzyła na Foxy tak, jakby ta była dziwnym eksponatem w galerii sztuki.

- Żonę? - powtórzyła. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje. Po chwili, położywszy ręce na kolanach, wbiła oczy w syna. - Kiedy się pobraliście, jeśli wolno spytać?

- Wczoraj. Wczoraj rano w Nowym Jorku.

Potem przyjechaliśmy tu z Foxy na... na wieczór miodowy.

On się świetnie bawi, uzmysłowiła sobie Foxy. Ta rozmowa sprawia mu autentyczną frajdę. Lodo-
waty ton białowłosej kobiety świadczył o tym, że
ona wprost przeciwnie - że wiadomość o ślubie
syna bynajmniej jej nie zachwyciła.

- Mam nadzieję, że Foxy to nie jest prawdziwe
imię?

- Nie, w dokumentach figuruję jako Cynthia
- oznajmiła Foxy, zirytowana tym, że matka Lan-
ce'a mówi o niej, jakby była nieobecna.

- Cynthia - powtórzyła z namysłem kobieta.
Nie podała ręki, nie nadstawiła policzka do poca-
łunku. Zamiast tego zmarszczyła czoło, zastana-
wiając się, w jaki sposób można zaradzić tej
nieprzyjemnej sytuacji. - A nazwisko...?

- Fox.

. - Fox... Hm... - Catherine ponownie zaczęła
stukać palcem w oparcie fotela. - Brzmi zna-
jomo.

- Fox to kierowca wyścigowy, którego Lance
sponsoruje - wyjaśniła Melissa, spoglądając na
Foxy z nieskrywaną fascynacją. - To twój brat?

- Owszem, to mój brat. - Foxy uśmiechnęła się.
- Miło mi.

- Mnie również. - Widać było, że Melissa
z trudem zachowuje powagę.

- Poznałeś ją na wyścigach? Na torze wyścigo-

wym? - spytała z niedowierzaniem Catherine. Na jej twarzy odmalował się wyraz pogardy.

W Foxy wstąpiła furia.

- Kochanie, napiłbym się kawy. Zaparzyłabyś?
- zwrócił się do żony Lance. - Melissa ci pomoże.
Prawda, Mel?

- Oczywiście. - Melissa posłusznie wstała z kanapy i skierowała się do kuchni.

Hamując złość, Foxy ruszyła jej śladem.

- Naprawdę poznaliście się z Lance'em na torze? - spytała Melissa, gdy drzwi kuchni się za nimi zamknęły. Ale w jej głosie nie było śladu lekceważenia czy pogardy; pobrzmiwała w nim zwykła ludzka ciekawość.

- Tak. Dziesięć lat temu.

- Dziesięć...? Musiałas być dzieckiem.

Usiadła przy stole, podczas gdy Foxy wyjęła z szafki puszkę kawy. Przez okno wpadały jasne promienie słońca; wczorajszy deszcz wydawał się odległym wspomnieniem.

- I teraz, dziesięć lat po pierwszym spotkaniu, postanowiliście się pobrać. - Oparła łokcie na stole, a brodę na złączonych rękach. - Jaka romantyczna historia.

- Faktycznie - przyznała Foxy; powoli zaczęła się odprężać.

- Nie przejmuj się ciotką-poradziła jej Melissa. - Kręciłaby nosem na każdą synową, której sama by nie wybrała.

- To pocieszające. - Chcąc czymś zająć myśli i ręce, Foxy postanowiła zaparzyć również dzbanek herbaty.

- Muszę cię uprzedzić, że wiele kobiet w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat będzie miało ochotę cię zamordować - ciągnęła Melissa, krzyżując nogi w jedwabnych pończochach. - Kobiet, które w skrytości ducha liczyły na to, że prędzej lub później uda im się zaciągnąć Lance'a do ołtarza.

- Wspaniale. - Oparłszy się o blat, Foxy obróciła się twarzą do Melissy. Zauważyła, że kuzynka Lance'a ma tak samo wypiełgnowane paznokcie, jak jego matka. - Po prostu wspaniale.

- Większość z nich poznasz najpóźniej w ciągu miesiąca. Oczywiście żadna nie wydlubie ci oczu podczas balu, na którym Lance będzie ci towarzyszył, ale musisz uważać, kiedy będziesz sama, na przykład w trakcie imprez charytatywnych czy damskich obiadków.

- Nie będę miała czasu na damskie obiadki - oznajmiła z ulgą Foxy. Wyjęła z szafki cukiernicę oraz mały dzbanuszek na śmietankę do kawy. - Jestem dość zajęta.

- Zajęta? Masz pracę? - Zdumienie w głosie młodej kobiety sprawiło, że Foxy wybuchnęła śmiechem.

- Tak, mam pracę. To zabronione?

- Nie, skądże. Chyba że... - Melissa zadumała się. - A czym się zajmujesz?

- Jestem fotografem. - Postawiwszy czajnik na kuchence, Foxy usiadła przy stole.

- Fotografem... - Melissa pokiwała głową.

- Chyba nikt się nie powinien czepiać.

- A ty? Co robisz? - spytała Foxy, coraz bardziej zaintrygowana.

- Co robię? Hm... - Przez moment Melissa szukała w myślach odpowiedniego słowa, po czym wykonała ręką nieokreślony ruch. - Udzielam się - rzekła; z jej oczu biła wesołość. - Trzy lata temu skończyłam studia na Radcliffe, następnie wyruszyłam w obowiązkową podróż po świecie. Po francusku mówię jak rodowita paryżanka; wiem, kto się liczy, a kto nie w śmietance towarzyskiej Bostonu; mogę zdobyć najlepszy stolik u „Charlesa”; wiem, gdzie należy się pokazywać i z kim, gdzie powinno się kupować buty, a gdzie bieliznę, a także jak i gdzie zamawia się wykwintne danie z kurczaka dla pięćdziesięciu bostońskich matron. Szaleję za Lance'em, odkąd skończyłam dwa lata; gdyby nie to, że jesteśmy spokrewnieni i małżeństwo między nami nie wchodzi w rachubę, ziałałabym do ciebie nienawiścią. A tak to zaczynam cię darzyć coraz większą sympatią i z przyjemnością popatrzę sobie, co się będzie dalej działo.

Zamilkła na moment, by zaczerpnąć tchu, nie dała jednak Foxy dojść do słowa.

- Jesteś niesamowicie atrakcyjna, masz fantastyczne włosy. Wyobrażam sobie, jak świetnie

musisz wyglądać, kiedy się wystroisz. No i masz cudownie cięty język. Przyda ci się w najbliższych tygodniach, więc pilnuj, żeby się nie stępił. - Uśmiechnęła się. - A na mnie możesz liczyć. Podziwiam ludzi odważnych, którzy nie boją się stawiać innym czoła. Woda się gotuje.

Foxy wstała, lekko oszołomiona, i zgasiła palnik.

- Czy wszyscy krewni Lance'a są tacy jak ty?

- Nie żartuj. Ja jestem wyjątkowa. - Melissa z wdziękiem odsłoniła ząbki. - Wiele osób z mojego środowiska to nudne snoby, niestety nie potrafię, tak jak Lance, powiedzieć im wprost, co o nich myślę. Podziwiam go, lecz brać z niego przykładu nie zamierzam. - Odrzuciła w tył włosy. Na jej palcu błysnął pierścionek z ametystowym oczkiem. - Mam wrażenie, że czasem Lance robi coś tylko po to, żeby rozdrażnić rodzinę. Podejrzewam, że tak było z wyścigami. Oczywiście uwielbiał się ścigać, no i nadal zajmuje się projektowaniem bolidów... - Urwała.

Foxy napotkała jej wzrok.

- Myślisz, że ze mną też ożenił się na złość rodzinie?

Melissa wzruszyła ramionami.

- Czy to takie ważne? Zdobyłaś główną nagrodę...

Na dźwięk kroków obie się obróciły. Główna nagroda pojawiła się w drzwiach.

- Melisso, mama chciałaby już ruszać w drogę.
- Szkoda. - Melissa skrzywiła się. - Miałam nadzieję, że zapomni o tych wszystkich spotkaniach, na które zamierza mnie dziś zaciągnąć. Aha, mówiła ci o jutrzejszym przyjęciu u wuja Paula?

- Tak, mówiła.

Słyszac ponure westchnienie, Melissa uśmiechnęła się szeroko.

- Przyznam się, że nie bardzo mnie kusiło, ale teraz... hm, zapowiada się ciekawie. Podejrzewam, że nawet babcia nie odmówi sobie przyjemności i przyjdzie zerknąć na Foxy. - Wstała od stołu i podeszła do kuzyna. - Jeszcze ci nie pogratulowałam.

- To prawda.

- Gratuluję. - Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w oba policzki. - Podoba mi się twoja żona, Lance. Wkrótce znów was odwiedzę, nawet jeśli mnie nie zaprosicie.

- Jesteś jedną z niewielu osób, dla których ten dom stoi otworem - powiedział, szczypiąc ją lekko w brodę.

- Połazimy po sklepach, co? - Popatrzyła na Foxy. - A jutro, biedaczko, czeka cię chrzest bojowy...

Pomachawszy im na pożegnanie, zniknęła za drzwiami.

- Chrzest bojowy... - powtórzyła cicho Foxy. Lance otoczył ją ramieniem.

- Poradzimy sobie... Powiniennem przeprosić cię za moją matkę.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie trzeba. Zresztą próbowałeś mnie ostrzec. - Wbiła w niego spojrzenie. - Wiedziałeś, że będzie przeciwna?

- Spodziewałem się. Jest bardzo niewiele rzeczy, które moja matka pochwała. - Obrysował palcem twarz żony. - Nigdy nie kierowałem się jej zdaniem, zwłaszcza w sprawach dla mnie ważnych. Nasze małżeństwo dotyczy wyłącznie nas. - Pocałował Foxy w usta. - Prosiłem cię, żebyś mi zaufała.

Oswobodziła się. Zapach kawy mieszał się z zapachem herbaty.

- No i jednak nie udało nam się mieć kilku dni wyłącznie dla siebie. - Podniósłszy dzbanek, wylała herbatę do zlewu. Po chwili poczuła, jak Lance kładzie ręce na jej ramionach. - Ale przed nami jeszcze cały dzień. - Obróciwszy się, przywarła ustami do jego ust. - Nie chce mi się kawy - szepnęła. - A tobie?

Cofnął się o krok. Zanim zorientowała się, co zamierza, przerzucił ją sobie przez ramię.

- Och, Lance, jesteś takim romantykiem! - zawołała, śmiejąc się radośnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Szykując się na przyjęcie, na którym po raz pierwszy miała wystąpić w roli żony Lance'a, czuła się tak, jakby szykowała się na wojnę. Jej zbroja składała się z mocno dopasowanej bluzki oraz luźnych wieczorowych spodni w kolorze jasnej zieleni. Stojąc przed lustrem, wygładziła szmaragdowy żakiet i zaciągnęła w talii wąski pasek.

- Skoro i tak będą plotkować, trzeba trochę zwichrzyć fryzurę - szepnęła pod nosem i zaczęła wyciągać z koka kosmyki, by opadały wzdłuż twarzy. - Szkoda, że nie mam bujniejszych kształtów...

- Ja tam nie narzekam.

Obróciła się zaskoczona. Szczotka upadła na podłogę. Lance stał oparty o framugę, ubrany w elegancki garnitur z cienkiej wełny. Z uznaniem powiódł wzrokiem po sylwetce żony.

- Chcesz, żeby wszystkim oczy wyszły z orbit, prawda?

Wzruszyła ramionami, po czym schyliła się po szczotkę.

- Moja matka dała ci się porządnie we znaki...

- A ja jej. - Zaczęła przesuwając kosmetyki na toaletce.

Wzdychając ciężko, Lance podszedł od tyłu do żony i oparł brodę na jej głowie. Uśmiechnęła się do niego w lustrze.

- Jak wyglądam? - spytała, chcąc zmienić temat, i obróciła się wokół własnej osi, by zademonstrować strój.

- Rewelacyjnie. - Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Nie chce mi się iść na żadne przyjęcie... - zamruczał jej do ucha. - Może byśmy zamknęli drzwi i udawali, że nas nie ma?

Marzyła o tym. Jego wargi stanowiły taką pokusę!

- Lance... - Odsunęła się. - Chyba wolałabym mieć to z głowy, poznać wszystkich za jednym zamachem, zamiast w grupkach po kilka osób.

- Szkoda. - Odgarnął jej z oczu niesforny lok. - Zawsze byłaś dzielna. Uważam, że należy ci się

nagroda za odwagę. - Wyciągnął z kieszeni małe czarne pudełeczko.

- Co to? - spytała, nadstawiając rękę.

- Pudełko.

Otworzywszy je, ujrzała dwa mieniące się kamienie w kształcie łezki.

- Boże, Lance, to brylanty - szepnęła.

- Czyli jubiler mnie nie oszukał. - Na jego usta wypełzł uśmiech. - Kiedyś powiedziałaś, że bym ci kupił ekstrawagancki drobiazg. Uznałem, że brylanty bardziej do ciebie pasują niż charty rosyjskie.

- Ale ja przecież nie mówiłam tego poważnie...

- Nie każdej kobiecie do twarzy w brylantach - ciągnął, nie zwracając uwagi na jej sprzeciw. - Jedne wyglądają w nich pretensjonalnie, inne tandetnie. - Wyjął kolczyki z pudełka i wpiął jej do uszu. - A ty po prostu idealnie. - Obrócił ją przodem do lustra. - Jest pani piękna, pani Matthews.

Stali razem, ona lekko wsparta o niego, on obejmując ją w talii. Patrząc na swoje odbicie, poczuła, jak zasycha jej w gardle.

- Kocham cię, Lance - powiedziała głosem drżącym z emocji. - Tak bardzo cię kocham, że aż mnie to przeraża. Szkoda, że nie mogliśmy być razem chociaż przez kilka dni. - Na moment zamilkła. - Co oni nam zrobią? Ci, którzy są przeciwni naszemu małżeństwu?

- Nic nie zrobią.

Obrócił ją do siebie i delikatnie pocałował w usta.

- Spóźnimy się trochę, co? - szepnął.

Nie odrywając ust od jego warg, zsunęła mu z ramion marynarkę, potem rozpięła koszulę. Z całej siły przywarła do jego ciała.

- Tak, spóźnijmy się troszkę - zamruczała cicho.

Wyobraźnia ją zawiodła. Gości na przyjęciu u Paula Bardetta było przynajmniej dwa razy więcej, niż się spodziewała. Piękny stary dom na Beacon Hill był po brzegi wypełniony ludźmi. Tłoczyli się w małym eleganckim salonie urządzonego w stylu Ludwika XVI, krążyli po oświetlonym lampionami tarasie, stali na pokrytych miękką wykładziną schodach. Jeśli chodzi o stroje, można było podziwiać kreacje wszystkich ważniejszych projektantów z Europy i Ameryki.

Powitania, podczas których Lance przedstawiał licznym członkom rodziny swoją nowo poślubioną żonę, ciągnęły się bez końca. Jedni uśmiechali się do Foxy, inni ściskali jej dłoń, jeszcze inni cmokali ją w policzek. Wszyscy przyglądali się jej z zaciekawieniem. Niektórzy wyrażali ciekawość w sposób skryty, inni jawny. Do tej drugiej grupy należała seniorka rodu, babcia Lance'a.

Edith Matthews, srebrzystowłosa matrona przy kości, ubrana w czarną brokatową suknię z białym koronkowym kołnierzykiem pod szyją, stanowiła

przeciwieństwo kochającej hazard hrabiny z Wenecji. Przyglądając się jej pomarszczonej twarzy, Foxy szukała śladów dawnej urody, żadnych jednak nie dostrzegła. Staruszka miała zadziwiająco mocny uścisk dłoni. Zmrużywszy oczy, zmierzyła Foxy od stóp do głów.

- Pozbawiłeś nas, Lancelocie, możliwości wybrania się na ślub - powiedziała skrzekliwym ze starości głosem.

- Ślubów w naszej rodzinie jest aż nadto, babciu. Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica?

Staruszka uniosła brwi.

- Są tacy, którzy bardzo chcieliby być na twoim. No ale trudno. - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie liczyłeś się ze zdaniem innych. Zamierzasz mieszkać w domu, który dziadek ci podarował?

- Tak, babciu.

- To dobrze. Byłby zadowolony. - Przeniosła spojrzenie na Foxy. - I jestem pewna, że polubiłby cię, moje dziecko.

Podejrzewając, że z ust Edith Matthews jest to najwyższy komplement, Foxy pochyliła się i pocałowała ją w pomarszczony policzek; pachniał talkiem i lawendą.

- Dziękuję pani - szepnęła.

Brwi staruszki ponownie się uniosły.

- Jestem stara - oznajmiła takim tonem, jakby dopiero w tym momencie uświadomiła sobie ten fakt. - Możesz mówić do mnie: babciu.

- Dziękuję, babciu. - Foxy uśmiechnęła się.

Po chwili, kiedy usłyszała za plecami głos Catherine Matthews, uśmiech jej zgasł.

- Dobry wieczór, Lancelocie. Dobry wieczór, Cynthio. Wyglądasz ślicznie.

Foxy podziękowała uprzejmie. Zauważyła, że wzrok teściowej zatrzymał się na kolczykach zdobiących jej uszy.

- Chyba jeszcze nie miałaś okazji poznać mojej bratowej, Phoebe? Phoebe Matthews-White... żona Lancelota, Cynthia.

Drobna blada kobieta o twarzy bez wyrazu i mysich włosach wyciągnęła na powitanie rękę.

- Bardzo mi miło. - Poprawiła zsuwające się z nosa okulary w szarych oprawkach i zmrużyła oczy. - Nie wydaje mi się, żebyśmy się kiedykolwiek wcześniej widziały.

- Nie, proszę pani. Na pewno się nie widziałyśmy.

- Lancelot z Cynthią spędzili całe lato w Europie - wtrąciła Catherine.

- Ach tak? Henry i ja nie ruszaliśmy się z Cape Cod. Jakoś w tym roku nie miałam siły na podróż za ocean. Może święta spędzimy w St. Croix.

- Lance, kochanie!

Obróciwszy się, Foxy ujrzała dziewczynę w jedwabiach rzucającą się na szyję jej męża. Wyglądała jak modelka; wysoka, szczupła, ponętnie zaokrąglona we właściwych miejscach, miała deli-

katne rysy, wysokie kości policzkowe, owalną twarz, duże niebieskie oczy, mały prosty nosek i pełne, ładnie wykrojone usta. Na pewno na zdjęciach wychodziła przepięknie.

- Właśnie słyszałam, że wróciłeś do Bostonu.

- Karminowe usta musnęły policzek Lance'a. - Ty niegrzeczny! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Cześć, Gwen. Wyglądasz fantastycznie, zresztą jak zwykle. Cześć, Jonathanie.

Ponad ramieniem Gwen Foxy zobaczyła mężczyznę, którego widok dosłownie zapierał dech w piersi - wysokiego, przystojnego, o wspaniałych klasycznych rysach. Zapragnęła go sfotografować.

- Catherine, przekonaj Lancelota, żeby tym razem został dłużej w Bostonie - powiedziała Gwen, biorąc Lance'a pod rękę.

- Obawiam się, że on dawno przestał mnie słuchać - oznajmiła starsza kobieta.

- Foxy... - Lance ujął żonę za przegub dłoni

- przedstawiam ci starych przyjaciół rodziny, Gwen Fitzpatrick i jej brata Jonathana.

Gwen wbiła w Foxy wielkie niebieskie oczy.

- Ach, to ty musisz być tą niespodzianką Lance'a.

- Tak, to ja. - Foxy pociągnęła łyk szampana. Nie mogła oderwać oczu od ślicznej twarzy; w myślach ustawiała Gwen do zdjęć. - Przepraszam, czy... czy kiedykolwiek pozowałeś jakiemuś fotografowi?

- Broń Boże!

- Nie? - Foxy uśmiechnęła się w duchu, słysząc oburzenie w głosie panny Fitzpatrick. - Szkoda.

- Foxy jest fotografem - wyjaśnił Lance.

- To fascynujące - rzekła znudzonym tonem Gwen i znów skupiła uwagę na Lansie. - Zaskoczyłeś nas swoim ślubem, no ale zawsze byłeś impulsywny i nieobliczalny. Musisz nam zdradzić, jakim cudem udało ci się zaciągnąć go do ołtarza - zwróciła się do Foxy. - Tak wiele z nas bezskutecznie próbowało...

- Wystarczy na nią spojrzeć, siostrzyczko, i wszystko jest jasne - oznajmił Jonathan, unosząc dłoń Foxy do ust. - Pani Matthews... - szepnął, świdrując ją uwodzicielskim wzrokiem.

Foxy z miejsca go polubiła.

- Jakie to urocze - mruknęła Gwen, posyłając bratu lodowate spojrzenie.

- Cześć, kochani. - Do grupy dołączyła Melissa we wspaniałej jaskrawoczerwonej sukni. - Lance, muszę na moment porwać twoją żonę, dobrze? A na ciebie, Jonathanie, chyba się pogniewam. Jeszcze ani razu ze mną dziś nie flirtowałeś. A teraz wybaczenie nam...

Rozdając na prawo i lewo uśmiechy, Melissa zaprowadziła Foxy w cichy kąt na tarasie.

- Pomyślałam sobie, że może chcesz odpocząć.

- Dzięki, jesteś cudowna. W dodatku czytasz w moich myślach.

Foxy odstawiła kieliszek na metalowy stolik. Suche liście szeleściły na wietrze. W powietrzu czuło się nadchodzącą jesień. O ileż przyjemniejszy był taki naturalny chłód od zimna bijącego z uśmiechów gości na przyjęciu.

- I że przyda ci się garść informacji - dodała Melissa. Sprawdziła, czy poduszka na krześle nie jest wilgotna, po czym usiadła.

- Informacji?

- Na temat klanu Matthewsów i Bardettów.
- Zapaliła papierosa. - A więc... - Wydmuchała dym i założyła nogę na nogę. - Ciotka Phoebe: stosunkowo niegroźna, bardzo zwraca uwagę na konwenanse. Jej mąż, bankier, uwielbia Bostońską Orkiestrę Symfoniczną. Paul Bardett, spokrewniony z matką Lance'a, jest ogromnie bystry, z poczuciem humoru, głównie lubi rozmawiać o swojej pracy. Prowadzi kancelarię prawną. Niestety, gdy zaczyna opowiadać o różnych procesach, staje się nudny jak flaki z olejem. Moich rodziców poznałaś... - Melissa strzepnęła popiół na ziemię. - To naprawdę całkiem fajni ludzie. Tata zbiera rzadkie znaczki, mama hoduje terier. Oboje mają bzika na punkcie swojego hobby. Jeśli chodzi o Fitzpatricków... - Na moment zamilkła i przygryzła wargę. - Gwen liczyła na to, że pokona rywalki i zostanie żoną Lance'a.

- Wyobrażam sobie, że wiadomość o naszym ślubie nie bardzo ją ucieszyła. - Foxy podeszła na

skraj tarasu. Przypomniała sobie przyjęcie u Kirka przed rozpoczęciem sezonu wyścigowego; wtedy na huśtawce za domem pierwszy raz pocałowała się z Lance'em. - Czy... - zaciśnęła powieki - czy oni...

- ' Sypiali ze sobą? - dokończyła za nią Melissa.
- Nie mam pojęcia, ale chyba tak. - Podnosząc ze stolika nie swój kieliszek, pociągnęła łyk i spojrziała na plecy Foxy. - Chyba nie należysz do zazdrosnych, co?

- Chyba jednak należę - odparła cicho Foxy, nie odwracając się.

- Ojej. - Melissa wypła kolejny łyk szampana.
- To niedobrze. Ale tamto było, minęło. Nie przejmuj się nią. Natomiast jej brat, Jonathan...
- Melissa opróżniła kieliszek, po czym zgmiotła obcasem niedopałek - to straszny flirciarz, człowiek niezwykle uroczy, którego absolutnie nie można traktować poważnie. Zamierzam wyjść za niego za męż.

- Tak? - Na twarzy Foxy odmalowało się zdumienie. - Gratuluję.

- Za wcześniej na gratulacje.

Melissa wstała i wygładziła sukienkę. Perły na jej szyi połyskiwały w promieniach księżycy.

- Jonathan jeszcze nie wie, że mi się oświadczy. Myślę, że wpadnie na ten pomysł w czasie świąt Bożego Narodzenia. - Podała zdumionej Foxy pusty kieliszek. - Jeśli masz ochotę poflir-

tować z Jonathanem, to śmiało - dodała wspaniało-
myślnie. - W przeciwieństwie do ciebie, nie należę
do zazdrosnych. A ślub chciałabym wziąć na
wiosnę, mniej więcej w maju. Czteromiesięczne
zaręczyny to chyba w sam raz, prawda? No,
chodźmy do środka. - Ujęła Foxy pod rękę. - Mu-
szą zacząć roztaczać swoje wdzięki.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obejrzawszy cały dom, Foxy znalazła idealne miejsce na ciemnię. Kiedy Lance przesiadywał w biurze, ona - nie tracąc czasu - załatwiła transport swoich rzeczy z Nowego Jorku, po czym przystąpiła do remontu. Musiała przerobić pomieszczenie tak, aby jak najlepiej spełniało swoją funkcję: najpierw opróżnić, potem doprowadzić do niego kanalizację, następnie ustawić sprzęt. Pani Trilby zajmowała się parterem i pokojami na piętrze, piwnicę zaś pozostawiła Foxy. Obie pracowały w pocie czoła, każda na własnej przestrzeni; obie były usatysfakcjonowane takim układem.

Od czasu do czasu pracę w ciemni Foxy uroz-

maicała sobie zwiedzaniem miasta. W trakcie odbywanych samotnie wędrówek robiła mnóstwo zdjęć; aparat fotograficzny służył jej za notes, w którym zapisywała wrażenia. Łaknęła towarzysztwa, ale wiedziała, że po wielu miesiącach spędzonych w drodze Lance musi skupić się na firmie. Zresztą nie miała zwyczaju narzekać. Zawsze uważała, że człowiek powinien sam rozwiązywać swoje problemy. Poza tym samotność przestawała jej doskwierać, kiedy łąziła po mieście albo kiedy była z Lance'em. A w domu... w domu wystarczyło zamknąć się w ciemni i rzucić w wir pracy.

Oglądała świeżo wywołane zdjęcia z wyścigów, gdy nagle pomyślała o Kirku. Czy naprawdę wypadek zdarzył się zaledwie trzy tygodnie temu? Odgarnęła włosy z oczu. Miała wrażenie, jakby od tego czasu minęła wieczność. Właściwie to wypadek Kirka odmienił całe jej życie. Świat, w którym teraz żyła, w niczym nie przypominał świata, w którym żyła jako Cynthia Fox. Odruchowo pogładziła palcem obrączkę.

Raptem jej uwagę przykuło jedno zdjęcie: biały bolid, a za nim w tle barwna rozmazana smuga. Właśnie tym zdjęciem chciała złożyć hołd swojemu bratu, człowiekowi odważnemu, który dotąd jawił się jej jako niezniszczalny. Ogarnęła ją straszliwa tęsknota. Od dziesięciu lat nie miała domu; jedynym stałym punktem w jej życiu był Kirk...

Wybiegła z ciemni. Na pierwszym piętrze

warczał odkurzacz. Dobrze; skorzysta z telefonu w gabinecie Lance'a. Zamknawszy za sobą drzwi, usiadła w fotelu przy biurku, podniosła słuchawkę i wykrciła numer szpitala w Nowym Jorku.

- Pam? - Ucieszyła się, słysząc na drugim końcu linii głos przyjaciółki. - Tu Foxy.

- No proszę, pani Matthews we własnej osobie. Co słyhać w Bostonie?

- W porządku - odparła automatycznie Foxy.
- Naprawdę całkiem nieźle się tu żyje - dodała, kiwając przy tym głową. Rozparła się wygodnie w fotelu. - Chociaż inaczej niż w Nowym Jorku. Jak tam Kirk?

- Zdrowieje. Oczywiście nie może się doczekać, kiedy w końcu opuści szpital. Cierpliwość nie jest jego mocną stroną. Niestety nie pogadasz z nim, zabrali go na prześwietlenie.

- Szkoda. - Foxy nie kryła rozczarowania.
- A jak ty się miewasz? Udaje ci się trzymać Kirka w ryzach i nie zwariować?

- Z trudem. - Pam roześmiała się wesoło.
- Będzie żałował, jak mu powiem, że dzwoniłaś.

- Wiesz, nagle strasznie za nim zatęskniłam - przyznała Foxy. - Wszystko dzieje się tak szybko, że ledwo nadążam za zmianami. Czasem mam wrażenie, że ja to nie ja. - Urwała. - Boże, chyba wygaduję jakieś kosmiczne bzdury.

- Bez przesady. Wiesz, Kirk nie tylko pogodził się z faktem, że wyszłaś za męża, ale chyba nawet

wmówił w siebie, że sam wszystko zaaranżował.

- Na moment Pam zamilkła. - Powiedz, Foxy, jesteś szczęśliwa?

Mimo lekkiego tonu, jakim zadane było pytanie, Foxy wiedziała, że Pam pragnie usłyszeć prawdę. Przed oczami stanął jej Lance; odruchowo rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Tak, jestem. Kocham Lance'a, uwielbiam nasz dom, w dodatku strasznie mi się podoba Boston. Ale niekiedy czuję trochę zagubiona; Lance sporo czasu spędza w biurze, a życie tutaj różni się od życia w Nowym Jorku.

- Wyobrażam sobie. Co porabiasz?

- Pracuję, moja miła, pracuję. Skończyłam urządzić ciemnię, za jakiś tydzień przyślę ci zdjęcia. Będą ponumerowane. Jeżeli któreś będziesz chciała zmniejszyć lub powiększyć, po prostu podasz mi numer.

- Świetnie. A ile już masz gotowych?

Foxy zmarszczyła czoło.

- Razem z tymi, które się suszą, będzie... hm, około dwustu.

- No, no, nie tracisz czasu.

- Fotografowanie to nie tylko moja praca, ale i zbawienie. Pozwala mi się wykręcić od tak zwanych babskich obiadków. - Foxy uśmiechnęła się pod nosem. - Byłam na jednym w zeszłym tygodniu i na więcej nie dam się skusić.

- No cóż... - Pam cmoknęła współczująco.

- Jakoś sobie będą musieli radzić bez ciebie. Poznałaś już rodzinę Lance'a?

- Owszem. Przypadła mi do gustu jego kuzynka Melissa; niezły z niej numer. Babcia też jest całkiem miła. A reszta... - skrzywiła się. - Powiem tylko, że z różnymi spotkałam się reakcjami, od obojętności po jawną dezaprobatę. Pierwsze dwa tygodnie były najtrudniejsze.

- Mama Lance'a to dość wymagająca kobieta, prawda? Budząca respekt i strach...

- Owszem - przyznała zdumiona Foxy. - Skąd wiesz?

- Obraca się w tych samych kręgach co moja mama - odparła Pam, a Foxy przypomniało się, że przyjaciółka wywodzi się z tak zwanych wyższych sfer. - Poznałam ją kiedyś, gdy pisałam artykuł o mecenasach sztuki. - Oczami wyobraźni zobaczyła elegancką kobietę o chłodnym spojrzeniu i pięknej cerze, kobietę, która nie ma w sobie ani odrobiny ciepła. - Bądź dzielna, Foxy. Wszystko się ułoży.

Bawiąc się mosiężnym samochodzikiem, który służył jako przycisk do papieru, Foxy westchnęła ciężko.

- Wiesz, żałuję, że nie możemy z Lance'em zamknąć drzwi i udać, że nas nie ma w domu. Tym bardziej że tydzień miodowy przerwano nam, zanim się jeszcze zaczął. Może jestem egoistką, ale chciałabym pobyć z mężem sam na sam.

- Nie jesteś żadną egoistką - sprzeciwiła się Pam. - To całkiem racjonalne pragnienie. Ale może zdołacie wyjechać, kiedy Lance skończy ten wóz dla Kirka. Praca nad nim trwa dłużej niż zwykle z powodu nowych elementów gwarantujących większe bezpieczeństwo.

- Wóz dla Kirka? - Foxy poczuła, jak krew w niej zastyga. - O czym ty mówisz?

- O nowym samochodzie wyścigowym. Lance nic ci nie wspominał?

- Nie - odparła Foxy głosem, który niczego nie zdradzał. Wpatrywała się tępo w biurko. - Pewnie chodzi o wóz na kolejny sezon?

- Dlatego im się tak spieszy. Kirk o niczym innym nie mówi. Natychmiast po wyjściu ze szpitala chce lecieć do Bostonu i obejrzeć projekt. Lekarze uważają, że dzięki temu lepiej przebiega jego rehabilitacja. - Pam mówiła, nie zwracając uwagi na milczenie, jakie zapadło na drugim końcu linii. - Po prostu Kirk ma silną motywację. Do końca roku chce na własnych dwóch nogach opuścić szpital.

- A jeśli opuści na wózku inwalidzkim, to też nie problem, bo ktoś go zawsze może wsadzić do kokpitu - wtrąciła Foxy, starając się nie okazać zdenerwowania. - Lance na pewno się nie sprzeciwi.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby oni już wszystko między sobą obgadali - rzekła ze śmiechem Pam.

- Wiesz co? Ogromnie bym chciała zobaczyć ten nowy pojazd. A skoro masz chody u konstruktora, może pozwoliłby ci pstryknąć parę zdjęć...

Foxy zamknęła oczy. Czuła narastający ból głowy.

- Może. Porozmawiam z Lance'em - obiecała, zastanawiając się, czy kiedykolwiek się z tego wyzwoli, z tego strachu, jaki ją dławił na samą myśl o wyścigach. - Muszę wracać do pracy, Pam. Ucałuj ode mnie Kirka, dobrze? I dbaj o siebie.

- Jasne. Pozdrów Lance'a.

Foxy odłożyła słuchawkę na widełki. Nic nie czuła; miała wrażenie, że zarówno jej ciało, jak i umysł przenika chłód. Nawet nie potrafiła krzyknąć ze złości. Zaczęła odtwarzać w pamięci wypadek Kirka, w zwolnionym tempie, klatka po klatce. Zrobiło się jej słabo.

Była świadkiem wielu karamboli na torze. Nagle wszystko do niej wróciło: pęd, świst, poniszczony wozy, ranni kierowcy, przejęci członkowie ekip technicznych. Siedziała w wielkim fotelu w gabinecie Lance'a, słońce za oknem chyliło się ku zachodowi, a ona rozmyślała o dziesięciu latach, jakie spędziła na wyścigach. Wraz z nastaniem wieczoru temperatura na zewnątrz zaczęła opadać. Wreszcie drzwi gabinetu się otworzyły. Lance wszedł do środka.

- Tu jesteś... Dlaczego nie zapalisz sobie świat-

ła? Nie masz dość ciemności w swojej piwnicznej twierdzy? - Ujął ją za brodę i pocałował. Kiedy nie zareagowała, zmrużył oczy. - Hej, Fox, co ci jest?

Podniosła wzrok.

- Rozmawiałam z Pam.

- Chodzi o Kirka? - zaniepokoił się.

Lód, który ją przenikał, stopniał. Odżyły emocje, głównie wściekłość z powodu nielojalności męża. Z całej siły starała się zachować spokój.

- Martwisz się o jego zdrowie?

Lance wyczuł w jej głosie gniew i zmarszczył czoło.

- Oczywiście, że tak - odparł, gładząc ją delikatnie po policzku. - Pojawiły się jakieś komplikacje?

- Komplikacje... - powtórzyła cicho, zaciskając dłonie w pięści. - Zależy, co przez to rozumiesz. Pam powiedziała mi o samochodzie.

- O jakim samochodzie?

Zdumienie w jego głosie sprawiło, że straciła nad sobą panowanie. Odtrącając rękę Lance'a, poderwała się z fotela.

- Jak możesz projektować nowy samochód, kiedy Kirk wciąż przebywa w szpitalu? Nie mogłeś chociaż poczekać, aż zacznie chodzić?

Lance pokiwał wolno głową; wyraz zdumienia malujący się na jego twarzy ustąpił miejsca zrozumieniu.

- Fox, zaprojektowanie i zbudowanie nowego

pojazdu wymaga bardzo dużo czasu. Pracę rozpoczęto wiele miesięcy temu.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? - spytała rozdrażniona. - Dlaczego to przede mną ukrywałeś?

- Przecież wiesz, że na tym polega moja praca. Na projektowaniu nowych wozów wyścigowych. I wiesz, że wcześniej też projektowałem samochody dla Kirka. Więc o co ci chodzi?

- O to, że niecały miesiąc temu prawie zginął na torze! - Zaciśnęła ręce na skórzanym oparciu fotela.

- Tak, miał wypadek - oznajmił spokojnie Lance. - Nie pierwszy i podejrzewam, że nie ostatni. To ryzyko zawodowe.

- Ryzyko zawodowe! - powtórzyła z furją. - Łatwo ci mówić! Nienawidzę takiej chłodnej logiki, takiej...

- Licz się ze słowami, Foxy.

- Dlaczego go zachęcasz, żeby wrócił na tor? Może tym razem przejrzałby na oczy? Może by zrezygnował? Ma Pam, więc...

- Hola! - Mimo panującego w gabinecie półmroku na twarzy Lance'a widać było zniecierpliwienie. - Kirk nie potrzebuje żadnej zachęty. On się rwie do wyścigów; nie może się doczekać kolejnego sezonu. Po co się oszukujesz, Fox? Ani wypadek, ani kobieta nie powstrzymają Kirka przed startem w następnych zawodach.

- Tego nigdy nie będziemy wiedzieli na pewno, prawda, Lance? - spytała z wściekłością. - Bo wkrótce będzie gotowy nowy samochód. Czy takiej pokusie Kirk mógłby się oprzeć?

- Gdybym ja nie przygotował dla niego wozu, kto inny by to zrobił - oznajmił cicho Lance, chowając ręce do kieszeni. - Myślałem, że rozumiesz Kirka... i mnie.

- Wiem tylko jedno: że chcesz go wsadzić do bolidu, a on nawet jeszcze nie wstaje z łóżka. - Niecierpliwym gestem przeczesła palcami włosy. - On się liczy z twoim zdaniem. Mogłeś na niego wpłynąć, żeby nie wracał na tor, żeby...

- Przestań - przerwał jej ostro. - Nie jestem odpowiedzialny za twojego brata, za to, co robi ze swoim życiem.

Z trudem powstrzymała łzy.

- Nie chcesz tej odpowiedzialności. Nic dziwnego. - W jej głosie gorzycz mieszała się z gniewem i rozpaczą. - Rysujesz linie na papierze, robisz obliczenia, zamawiasz części. Nie narażasz życia, ryzykujesz jedynie pieniądze. A tych, jak wiemy, masz w nadmiarze. Wiesz, to mi trochę przypomina wizytę w kasynie. - Zaciśnęła ręce, próbując ukryć ich drżenie. - Siedzisz sobie wygodnie, nie denerwujesz się, po prostu patrzysz, jak się obraca koło ruletki. Pieniądze nie mają znaczenia dla kogoś, kto nigdy nie żył w niedostatku. To ci sprawia satysfakcję, prawda? - kontynuowała ze

złością. - Płacenie innym za to, by podejmowali ryzyko, podczas gdy *ty* po prostu siedzisz sobie i patrzysz?

- Wystarczy! - Doskoczył do niej tak szybko, że nawet nie miała czasu się cofnąć, i chwycił za ramiona. - Nie muszę wysłuchiwać takich bzdur. Podobnie jak Kirk, spędziłem wiele lat na torze, odnosząc liczne zwycięstwa, ale potem się wycofałem. Wycofałem się, bo taką podjąłem decyzję. I jeżeli postanowię się znów ścigać, to znów usiądę za kółkiem. Robię to, na co mam ochotę. Nikomu nie muszę się tłumaczyć. I nikomu nie muszę płacić, żeby ryzykował za mnie.

Na samą myśl, że Lance mógłby wrócić na tor, ogarnęło ją przerażenie.

- Ale nie będziesz się znów ścigał? - Głos drżał jej ze zdenerwowania. - Nie wsiądziesz znów do...

- Nie mów mi, co mam robić, a czego nie - warknął.

W życiu Kirka zajmowała drugie miejsce. I nie protestowała; wiedziała, że jego pierwszą miłością są wyścigi. Ale w swoim małżeństwie nie zamierzała akceptować takiej sytuacji; nie miała na to ochoty ani siły.

- Myślałam, że moje uczucia coś dla ciebie znaczą - powiedziała cicho. - Najwyraźniej się myliłam.

Chciała zrobić krok, lecz nie puścił jej. Dotyk jego dłoni przejął ją dreszczem.

- Foxy, posłuchaj... Kirk jest dorosły. Sam decyduje o swojej karierze i swoim życiu. To nie ma z tobą nic wspólnego. Moja praca również cię nie dotyczy.

- Nieprawda. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Ale mniejsza o to. Zaprojektujesz dla Kirka nowy wóz, a Kirk będzie się na nim ścigał. Nigdy nie miałam wpływu na życie brata, ty też mi pokazałeś, gdzie jest moje miejsce. A teraz przepraszam. Chciałabym pójść na górę. Jestem zmęczona.

Słońce zaszło; w gabinecie panował półmrok. Przez *chwilę Lance bez słowa* wpatrywał się w twarz żony, po czym opuścił ręce. Cofnęła się o krok, następnie w milczeniu obeszła męża i zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Leżała w łóżku samotna i nieszczęśliwa. Przez wiele godzin nie mogła zasnąć. Odtwarzała w myślach rozmowę z Pam, a także kłótnię z Lance'em. Nawet nie wiedziała, kiedy w końcu zmorzył ją sen. Kiedy rano się obudziła, promienie słońca zalewały pokój. Druga połowa łóżka była pusta. Odruchowo wyciągnęła rękę i pomacała materac. Jeszcze był ciepły, jakby Lance dopiero niedawno wstał, ale ten fakt nie przyniósł jej ukojenia. Po raz pierwszy od nocy poślubnej czuła się tak, jakby spali oddzielnie, na dwóch łóżkach. Nie przytulali się, nie dotykali, nie obudzili się spleceni w miłosnym uścisku.

Wiele razy w życiu kłóciła się z Lance'em, ale jeszcze żadnej kłótni tak bardzo nie przeżywała. Może, pomyślała wpatrując się w sufit, mam teraz więcej do stracenia. Podejrzewała, że Lance jest na dole w kuchni. Mogłaby zejść i... Nie. Potrząsnęła głową. To niedobry pomysł. Muszą odbyć poważną rozmowę; kręcąca się po domu pani Trilby będzie im tylko przeszkadzała.

Wstała z łóżka i wzięła prysznic. Osuszywszy się, włożyła sztruksowe spodnie i luźny sweter. Rozczesując włosy, obmyśliła plan działania. Do jedenastej popracuje nad zdjęciami z wyścigów, potem wybierze się do parku i zajmie nowym projektem. Ustaliwszy harmonogram, zeszła na dół. Lance'a nigdzie nie było widać. Przez moment stała niezdecydowana przy telefonie w holu. Nie, nie ma sensu dzwonić, uznała. Lepiej porozmawiać w cztery oczy. Ale czy jest o czym? Łypnęła gniewnie na aparat, jakby był czemukolwiek winny. No właśnie, czy jest o czym rozmawiać? Wczoraj Lance jasno przedstawił jej swój punkt widzenia. Nie, to wykluczone, powiedziała sama do siebie. Nie zgadzam się. On nie może wrócić do ścigania się. Strach ścisnął ją za gardło. Nie, Lance na pewno nie mówił tego serio. Pokręciła głową. Na razie o tym nie myśl. Idź na dół i skup się na pracy. Biorąc głęboki oddech, czym prędzej odeszła od telefonu.

Nalała sobie w kuchni kubek kawy, po czym

zamknęła się w ciemni. Zdjęcia, przypięte spinaczami, wisały na linie. Instynktownie sięgnęła po to, które przedstawiało Kirka w bolidzie. Jest jak kometa, pomyślała, patrząc na brata; ale nawet kometa kiedyś musi się wypalić. W przyszłym roku pojawią się kolejne zdjęcia, ale nie ona będzie je robiła. Westchnęła ciężko. Po prostu za bardzo zżerały ją nerwy; wiedziała, że dłużej nie wytrzyma. Odczepiła pozostałe zdjęcia, odłożyła je na bok i zaczęła wywoływać następną rolkę. Czas płynął szybko. Była tak skoncentrowana na pracy, że aż podskoczyła, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Dziwne; pani Trilby nigdy nie schodzi do piwnicy.

- Melissa! - zawołała na widok swojego gościa. - Jaka miła niespodzianka.

- Wcale tu nie jest ciemno - zdziwiła się kuzynka Lance'a, obrzucając spojrzeniem miejsce pracy. - A skoro tak, to dlaczego to pomieszczenie nazywa się ciemnią? Jestem rozczarowana.

- Przyszłaś w niewłaściwym czasie — wyjaśniła Foxy. - Jeszcze godzinę temu było tu jak w grobie.

- Wierzę ci na słowo. - Melissa zbliżyła się do kolejnej serii zdjęć suszących się na sznurku. - No, no, prawdziwy z ciebie zawodowiec...

- Owszem.

- Ile tu sprzętu, ile butelek... Tego się uczyłaś na studiach?

- Tak, na wydziale sztuki. Nie w Radcliffe ani

na Vassar, lecz na małym stanowym uniwersytecie.

- Oho! - Melissa przygryzła wargę. - Coś mi się zdaje, że nasłuchiłaś się przykrych uwag na temat swojego pochodzenia. Zgadłam?

- Zgadłaś - przyznała ze śmiechem Foxy. - No cóż, pogadają, a potem dadzą mi spokój. Znajdą sobie ciekawszy temat.

- Jakaś ty słodka i naiwna. - Melissa poklepała Foxy po policzku. - Dobrze, nie będę ci odbierać złudzeń. Słuchaj... - Strzepnęła ze swetra niewidoczny pyłek. - W sobotę w klubie golfowym będą tańce. Wybieracie się z Lance'em, prawda?

- Owszem, wybieramy się - odpowiedziała Foxy z ciężkim westchnieniem.

- Głowa do góry, złotko. Jeszcze parę spotkań, a potem... Lance naprawdę nie cierpi tych różnych imprez, więc nie będzie cię na nie ciągał. - Melissa uśmiechnęła się promiennie. - A na razie to idealna okazja, żeby połączyć po centrum handlowym. - Rozejrzała się wkoło. - Skończyłaś pracę?

- Tak. - Foxy spojrzała na zegarek. - Punktualnie co do minuty.

- Świetnie, chodźmy na zakupy. Musimy znaleźć jakieś fantastyczne kiecki na sobotę. - Wzięła Foxy pod rękę i zaczęła ją prowadzić do wyjścia.

- O nie, nie! - zawołała Foxy, zamykając drzwi do ciemni. - W zeszłym tygodniu urządziłaś mi

rajd po sklepach. Nie pominęłyśmy ani jednego na Newbury Street. Zresztą nie potrzebuję żadnej nowej kiecki. Mam co włożyć w sobotę.

- Mój Boże, Foxy, czy koniecznie trzeba coś potrzebować, żeby się wybrać na zakupy? - Melissa wydawała się szczerze zdumiona. - A poprzednim razem kupiłaś tylko jedną nędzną bluzeczkę. Jak myślisz: po co Lance'owi tyle forsy?

- Nie wiem - odparła Foxy, usiłując zachować powagę. - Ale na pewno nie po to, żeby jego żona bez potrzeby szalała po sklepach. Tak czy inaczej, rzeczy osobiste kupuję za własne pieniądze.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, Melissa uważnie przyjrzała się swojej nowej przyjaciółce.

- Mówisz serio, prawda? Ale dlaczego? Przecież Lance ma forsy w bród.

- Wiem. I czasem wolałabym, żeby nie miał.
- Foxy ruszyła na górę.

- Poczekaj. - Melissa zagroziła jej drogę.

- Matthewsowie aż tak ci dopiekli?

- To nie ma znaczenia. - Foxy wzruszyła ramionami.

- Przeciwnie, ma. Posłuchaj mnie, dobrze? Nie wolno ci się przejmować tym, co inni gadają. Że poślubiłaś Lance'a ze względu na jego majątek. To bzdura. Nie każdy to mówi i nie każdy w to wierzy. Jak w każdej rodzinie, w tej też są krety, dla których liczy się status społeczny i pochodzenie, ale kretynami nie warto zawracać sobie głowy.

- Uśmiechnęła się, lecz spojrzenie wciąż miała poważne. - Zdobyłaś przychyłność wielu osób, choćby babci, a ona zna się na ludziach. Po prostu dalej bądź sobą, to naprawdę zjednuje sympatię... Pewnie Lance ci mówił, ilu członków rodziny pochwała jego wybór żony?

- Nie rozmawialiśmy o tym. - Foxy nerwowo przeczesła ręką włosy. - Wiesz, nie skarzę mu się. Nie chcę go obarczać swoimi kłopotami.

- A dlaczego masz znosić nieprzyjemne uwagi jego kuzynów? - Melissa potrząsnęła głową. - Nie wolno cierpieć w milczeniu i nadstawiać drugiego policzka.

- Wiem, i nie nadstawiam. Chyba po prostu jestem nadwrażliwa. - Na moment zamilkła. - Tyle zmian zaszło w moim życiu, i stąd te moje kłopoty.

Razem zaczęły wspinać się po schodach.

- Przyznaj się, co cię jeszcze gnębi?

- A coś widać?

- Jestem bardzo spostrzegawcza. Nie wiedziałas? Domyślam się, że poprzytykałaś się z Lance'em.

- To zbyt łagodne określenie. - Foxy pchnęła drzwi prowadzące do holu na parterze. - Ale niech będzie, że się poprzytykaliśmy.

- Kto zawinił?

Otworzyła usta, zamierzając powiedzieć, że Lance. Po chwili uznała, że wcale nie, że sama jest winna. W końcu westchnęła ciężko.

- Chyba nikt.

- Na ogół tak bywa. Mówię ci, najlepszym lekarstwem na chandrę są zakupy. Fajny ciuch od razu poprawi ci nastrój. Potem, kiedy Lance wróci do domu, możesz potraktować go chłodno i wyniosłe, dalej udając obrażoną albo - ciągnęła Melissa, żywo gestykulując - możesz dać wolne pani Trilby i powitać męża w skąnym, seksownym stroju.

Foxy roześmiała się wesoło.

- Zawsze potrafisz znajdować tak cudownie proste rozwiązania?

- Owszem - przyznała skromnie Melissa, studiując swoje odbicie w zabytkowym lustrze. - To co, pójdziesz ze mną na zakupy czy będziesz nudnym pracusiem i wrócisz do ciemni?

Foxy zmarszczyła z namysłem czoło.

- Hm, chyba zostałam obrażona... - Pochyliwszy się, cmoknęła Melissę w policzek. - Kusi mnie twoje towarzystwo, ale mam niesamowicie silną wolę.

- Zamierzasz spędzić popołudnie na pracy?

- W oczach gościa odmalowało się zdumienie i podziw. - Przecież cały ranek pracowałam.

- Wiesz, niektórym zdarza się siedzieć w pracy od ósmej do siedemnastej. - Foxy uśmiechnęła się.

- Praca bywa nałogiem, jak palenie papierosów. Zaczynam serię zdjęć przedstawiających dzieci, więc ruszam do parku.

Melissa narzuciła krótkie futerko.

- Boże, przez ciebie czuję się jak patentowany leń.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Foxy, z zaciekawieniem gładząc miękkie białe futro.

- Wiem, wiem. - Obróciwszy się, Melissa pocałowała Foxy na pożegnanie. - Wyrzuty sumienia zawsze mi szybko mijają. Baw się dobrze, skarbie - rzekła, wychodząc na zewnątrz.

- Ty też, Mel! - Foxy wyjęła z szafy zamszową marynarkę, przez jedno ramię przewiesiła torebkę, przez drugie torbę z aparatami, potem cofnęła się i o mało nie zderzyła się z panią Trilby. - Ojej, przepraszam!

Buty na tak cichych podszewkach powinny być stanowczo zakazane, przemknęło jej przez myśl.

- Wychodzi pani? - spytała gospodyni, która miała na sobie szary uniform oraz biały fartuszek.

- Tak, robić zdjęcia w parku. Powinam wrócić około trzeciej.

- Dobrze, proszę pani.

- Aha, gdyby Lance... gdyby pan Matthews dzwonił, proszę mu powiedzieć, że... - zawahała się.

- Tak, proszę pani? - Głos gospodyni przybrał łagodniejsze brzmienie.

- Nie, nic. - Foxy zirytowana pokręciła głową.
- To nieważne. Do widzenia pani.

Zamknąwszy za sobą drzwi, wciągnęła w płuca rześkie jesienne powietrze. Chociaż sprowadzone

z Indiany MG stało w garażu, postanowiła iść pieszo. Niebo było bezchmurne. Na tle niezmaconego błękitu odcinały się czarne zarysy drzew. Suche liście szeleściły pod nogami. Od czasu do czasu podrywał się wiatr; wtedy dywan z liści wzbijał się w górę i wirował metr nad ziemią, po czym znów opadał. Z każdą minutą Foxy poprawiał się humor.

Po parku krążyły młode mamy z wózkami, czasem wózki pchały nianie. Starsze dzieci biegały roześmiane po parkowych alejkach. Gdziekolwiek na zasłanej liśćmi trawie maluszki uczyły się trudnej sztuki chodzenia. Foxy spacerowała między nimi, wdawała się w rozmowy z rodzicami lub opiekunami dzieciaków, niektórym pstrykała zdjęcia. Z doświadczenia wiedziała, że fotografowanie to coś więcej niż umiejętność posługiwania się aparatem. Na dobre zdjęcie składa się znajomość psychologii, talent, zdolność uchwycenia obiektu, cierpliwość, wytrwałość, szczęście.

Leżała na zimnej ziemi, celując obiektywem w dwuletnią jasnowłosą dziewczynkę, która bawiła się w słońcu z młodym bulterierem. Dziecko i pies, oboje pochłonięci zabawą, nie zwracali uwagi na kobietę z aparatem, która to czołgała się, to biegała wokół nich. Szczeniak piszczał i szczekał, ganiając w kółko, dziewczynka zaś, śmiejąc się radośnie, łapała go za ogon. Pies dawał się schwytać, po czym znów uciekał. Po paru minu-

tach Foxy wstała i zamieniwszy parę słów z matką dziewczynki, wyjęła z torby nową rolkę filmu.

- To było fascynujące przedstawienie.

Obróciwszy się, zobaczyła stojącego nieopodal Jonathana Fitzpatricka.

- Dzień dobry. - Odgarnęła z twarzy włosy, po czym strzepnęła suchy liść, który przyczepił się jej do rękawa.

- Dzień dobry. Idealny dzień na tarzanie się po trawie, prawda?

- Idealny - przyznała ze śmiechem Foxy. - Miło pana znów widzieć, panie Fitzpatrick.

- Jonathan - poprawił ją, wyjmując jej z włosów źdźbło trawy. - I pozwolisz, że będę do ciebie mówił Foxy, tak jak Melissa? - Uśmiechnął się czarująco. - Możesz mi zdradzić, co robisz? Chyba że to tajemnica państwowa?

- Zdjęcia. - Wyjęła z aparatu film i włożyła nowy. - Na tym polega moja praca. Jestem fotografem.

- Faktycznie. Obiło mi się to o uszy. - Patrzył z zachwytem na jej włosy, które lśniły złociście w promieniach słońca. - Jesteś więc zawodowym fotografem, tak?

- Tak się przedstawiam w redakcjach i wydawnictwach. - Zamknęła aparat i ponownie utkwiała wzrok w swoim rozmówcy. Podobieństwo między nim a Gwen było uderzające, lecz przy Jonathanie nie czuła się jak na cenzurowanym.

W przeciwieństwie do Lance'a sprawiał wrażenie miłego, niegroźnego... Nagle ogarnęła ją złość. Dlaczego ciągle wszystkich facetów porównuje z Lance'em? - Właśnie robię zdjęcia do albumu o dzieciach.

Przyjrzał się jej uważnie, jej promiennemu uśmiechowi, szarzielonym oczom, twarzy, która coraz bardziej go intrygowała. I pogratulował w duchu Lance'owi. To była wyjątkowa kobieta.

- Mogę ci towarzyszyć? - spytał, zaskakując zarówno siebie, jak i ją. - Mam wolne popołudnie...

- Oczywiście. - Pochyliwszy się, podniosła z ziemi torbę na aparaty..- Ale podejrzewam, że szybko się znudzisz. - Wolnym krokiem ruszyła w stronę jeziora.

- Wątpię. Piękne kobiety rzadko mnie nudzą.

Rzuciła mu spojrzenie spod oka. Adonis o pięknym uśmiechu, pomyślała. Melissa będzie miała pełne ręce roboty.

- A ty, Jonathanie, czym się zajmujesz?

- Och, nie przemęczam się. - Wsunął ręce do kieszeni skórzanej kurtki. - Teoretycznie jestem dyrektorem rodzinnej firmy importowo-eksportowej. W praktyce zaś przekładam papiery z kąta w kąt; gdy zachodzi potrzeba, staram się oczarować żony klientów, czasem eskortuję na przyjęcia ich córki.

W oczach Foxy pojawił się błysk wesołości.

- Lubisz swoją pracę?
- Ogromnie.
- Ja moją też. A teraz stań z boku i nie przeszkadzaj.

W tafli wody odbijała się wierzba płacząca. Pod nią siedziała na ławce kobieta; czytała książkę, a jej puciołowate dziecko w jaskrawoczerwonej kurteczce karmiło kaczki. Dwa metry dalej niemowlę spało w wózku, trzymając w rączce zapomnianą grzechotkę. Zamieniwszy z kobietą parę słów, Foxy przystąpiła do pracy. Ostrożnie, by nie przeszkodzić zaaferowanemu maluchowi, zrobiła mu kilka zdjęć, gdy niezdarnymi ruchami rzucał przed siebie połamane krakersy, a kaczki ochoczo wyławiały je z wody. Piszcząc z radości, chłopczyk raz po raz wyjmował z torby krakersa; czasem się zapominał i sam go zjadał.

Foxy pracowała bez wytchnienia; bawiła się słońcem i cieniem, zmieniała kąty i filtry. Chciała uchwycić różne nastroje i emocje. Wreszcie, usatysfakcjonowana, opuściła ręce, a aparat zawisł jej na szyi.

- Jesteś ogromnie skupiona, kiedy pracujesz
- zauważył Jonathan, podchodząc bliżej. - Sprawiasz wrażenie niebywale kompetentnej.
- To komplement czy obserwacja?
- Jedno i drugie. - Nie spuszczał z niej oczu.
- Fascynujesz mnie, Foxy. Stanowisz kolejny powód, żebyśmy zazdrościł Lance'owi.

- Kolejny? - zainteresowała się. - A dużo masz tych powodów?

- Mnóstwo - odparł, biorąc ją za rękę. - Czy to prawda, że jesteś siostrą Kirka Foxa i że poznaliście się z Lance'em na wyścigach samochodowych?

- Owszem - odparła znacznie chłodniejszym tonem. - Można powiedzieć, że dorastałam na torze.

- Czyżbym poruszył czułą strunę? Przepraszam. - Poglądził ją po dłoni. - Pytałem z ciekawości, a nie dlatego, że z góry patrzę na sport samochodowy. Od początku śledzę karierę Lance'a. Twojego brata też. Po prostu myślałem, że usłyszę kilka zabawnych anegdotek.

Foxy wyczuła w jego głosie szczerść. Tak, zdecydowanie różnił się od swojej siostry, od której biła fałszywa słodycz.

- To ja przepraszam. - Westchnęła. - Dzisiaj już drugi raz zachowałam się jak nadwrażliwa idiotka. Niełatwo być nową uczennicą w klasie, wiesz?

- Wiem. Nie przejmuj się. Są ludzie, którzy nie cierpią niespodzianek, lubią mieć wszystko z góry zaplanowane. Lance na szczęście do nich nie należy; woli to, co piękne i niepowtarzalne.

- Co piękne i niepowtarzalne? - Popatrzyła mu prosto w twarz. - To mam być ja? No, nie wiem. Nie mam pokaźnego konta w banku ani wspaniałego rodowodu. Dorastałam wśród samochodów,

smarów i mechaników. Nie kończyłam ekskluzywnych szkół. W Europie znam tylko te miasta, w których odbywały się wyścigi.

Usłyszał nutę smutku w jej głosie.

- Chciałabyś mieć ze mną romans? - spytał jak gdyby nigdy nic.

Zdumiona wytrzeszczyła oczy.

- Romans? Zwariowałeś?

- Pływałaś tu łódką po jeziorze? - spytał tym samym przyjaznym tonem.

Otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła i znów zamknęła.

- Nie - odparła niepewnie.

- To dobrze - rzekł, ponownie biorąc ją za rękę.

- Zamiast romansować, możemy popływać.

- Uśmiechnął się. - Zgoda?

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Zgoda. - Co jak co, pomyślała, ale z Jonathanem nuda Melissie na pewno nie zagrozi.

- Czy można pani kupić balon? - spytał uroczystym tonem.

- Bardzo proszę. Niebieski - odparła z powagą.

Spędzili cudowne dwie godziny. Wraz z innymi turystami i grupką przedszkolaków pływali po jeziorze, potem spacerowali alejkami, jedząc lody na patyku. Jonathan okazał się świetnym kompanem, idealnym lekiem na chandrę.

Późnym popołudniem odwiózł Foxy do domu. Wciąż była w znakomitym humorze.

- Wejdiesz? - spytała, kiedy zatrzymał samochód przy krawężniku. - Mógłbyś zjeść z nami kolację.

- Innym razem. Jestem umówiony na wieczór z Melissą.

- Uściskaj ją ode mnie. - Pod wpływem impulsu pochyliła się i cmoknęła Jonathana w policzek.

- Wiesz, myślę, że spacer po parku jest o wiele sympatyczniejszy i znacznie mniej skomplikowany niż romans.

- Mniej skomplikowany na pewno. - Dał jej prztyczka w nos. - Pozdrów Lance'a. I widzimy się w sobotę.

- Słusznie. - Na myśl o sobotniej imprezie w klubie golfowym skrzywiła się. - Aha, powiedz Melissie, że popieram jej plany na maj.

- Roześmiała się, widząc zdziwione spojrzenie Jonathana. - Ona będzie wiedziała, o czym mówię.

Wysiadłszy z samochodu, zadrżała z zimna. Powietrze wyraźnie się ochłodziło. Akurat wyciągnęła rękę, by nacisnąć klamkę, kiedy drzwi się otworzyły. W progu stał Lance.

- Cześć, Foxy. - Popatrzył na jej roześmianą twarz, lśniące oczy i niebieski balon na sznurku. - Widzę, że dobrze się bawiłaś.

Pogodny nastrój, w jakim była od wielu godzin, sprawił, że zapomniała o wczorajszej kłótni z mężem.

- Wcześniej wróciłeś do domu - powiedziała uradowana.

- Nie, to ty wróciłaś późno - rzekł, zamykając za nią drzwi.

- Naprawdę? - Spojrzała na zegarek; dochodziła piąta. - Ojej, straciłam rachubę czasu. - Postawiła torbę z aparatami na podłodze. Przywiązany do niej balon unosił się w powietrzu. - Długo jesteś?

- Wystarczająco długo. - Przyglądał się jej zarumienionym policzkom. - Nalać ci drinka? - spytał, kierując się do salonu.

- Nie, dziękuję. - Bijący od niego chłód podziałał na nią jak kubeł zimnej wody. Postanowiła załagodzić sytuację, zanim dojdzie do kolejnego konfliktu. - Nie mieliśmy żadnych planów na wieczór, prawda?

- Nie. - Nalał sobie szklanek whisky. - Dlaczego pytasz? Czyżbyś zamierzała znów wyjść?

- Nie, ja... - Stała jak rażona piorunem. - Nie.

Napięcie, które znikło w czasie spaceru po parku, wróciło ze zdwojoną siłą. Nie potrafiła się jednak zdobyć na rozmowę o Kirku i wyścigach.

- Spotkałam w parku Jonathana Fitzpatricka - zaczęła, rozpinając żakiet. - Odwiózł mnie do domu.

- Zauważyłam.

- Tak ładnie dziś było - kontynuowała po-

spiesznie, patrząc, jak Lance podchodzi do barku i dolewa sobie whisky. - W mieście wciąż jest mnóstwo turystów, ale Jonathan twierdzi, że zimą ich ubędzie.

- Nie wiedziałem, że Jonathana interesują takie rzeczy.

- Nie Jonathana, ale mnie. - Zdjęła żakiet. - Łodzie pływające po jeziorze były strasznie zapchane.

- Pływaliście? - Jednym haustem opróżnił zawartość szklanki. - Jak uroczo.

- Wiesz, nie miałam wcześniej okazji...

- Wygląda na to, że cię zaniedbuję - przerwał jej Lance.

Foxy skrzywiła się, widząc, jak mąż znów sięga po butelkę.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała z rosnącą irytacją. - I za dużo pijesz.

- Po pierwsze, jeszcze nie zacząłem pić. - Nałał sobie kolejną porcję whisky. - A po drugie, niektórzy mężczyźni biją żony za to, że spędzają pół dnia z innym facetem.

- Ci mężczyźni to neandertalczyki - warknęła, ciskając żakiet na fotel. - Jonathan i ja nie zrobiliśmy nic złego. Cały czas byliśmy w miejscu publicznym.

- Pływaliście po jeziorze, kupowaliście balony...

- Tak. I jedliśmy lody! - Wsunęła ręce do kieszeni.

- Masz zdumiewająco małe wymagania. - Zerknął do szklanki, po czym podniósł ją do ust.
- Zwłaszcza jak na osobę zajmującą tak wysoką pozycję społeczną.

Wciągnęła z sykiem powietrze. Obrócił się. Stała bez ruchu, trupio blada, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Z oczu wycierał ogromny ból. Opamiętawszy się, Lance odstawił szklankę.

- To był cios poniżej pasa. Przepraszam, Fox.

Ruszył w jej stronę. Cofnęła się pośpiesznie, unosząc ręce, jakby chciała go powstrzymać.

- Nie dotykaj mnie, Lance. - Wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. - Odkąd przyjechaliśmy do Bostonu, ciągle widzę pogardliwe uśmieszki i słyszę krytyczne uwagi pod swoim adresem, ale nigdy nie sądziłam, że usłyszę je z twoich ust. Wolałabym, żebyś mnie zbił, niż obrażał w ten sposób.

Odwrociwszy się na pięcie, rzuciła się biegiem na górę. Zanim jednak zdołała zatrzasnąć drzwi sypialni, Lance chwycił ją za nadgarstek.

- Nigdy więcej się ode mnie nie odwracaj
- wycodził przez zęby. - Słyszysz?

- Puść mnie! - Usiłowała mu się wyrwać. Po chwili, nie myśląc, co robi, zamachnęła się wolną ręką i uderzyła męża w twarz.

- Dobrze. - Wykręcił jej obie ręce. - Zasłużyłem na to. A teraz uspokój się. Proszę.

- Zostaw mnie. - Ponownie zaczęła się szamotać.

- Za chwilę. Najpierw musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy.

- Nic nie muszę ci wyjaśniać. Zabierz ręce.

- Foxy, proszę cię. - Głos Lance'a zdradzał silne napięcie. - Po wczorajszym wieczorze z trudem nad sobą panuję. Uspokój się i porozmawiajmy.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Przestała się wyrywać, ale jej oczy ciskały gromy. - Wszystko powiedziałam wczoraj. Ty też. Nie musimy się dziś powtarzać.

- Dobrze, więc nie będziemy rozmawiać.

Zacisnął mocniej ręce na jej nadgarstkach i przywarł ustami do jej ust. Wiedziała, że protesty nic nie dadzą. Chciał ją pokonać, tak jak dawniej rywali na torze. Poddała się; stała jak kukła, nie reagując na pocałunek.

- Udajesz sople lodu? - spytał, wnosząc ją do sypialni. - W porządku. Potrafię go stopić.

- Nie! - Znów zaczęła walczyć. - Tak nie chcę!

Wymachiwała nogami, uderzała go pięściami. Po chwili Lance rzucił ją na materac i przygwoździł własnym ciałem. Stanowczymi ruchami, nie zważając na jej sprzeciw, zaczął zdierać z niej ubranie. Chociaż cały czas walczyła, próbując się oswobodzić, czuła, że jej opór maleje, że ogarniają coraz większe pożądanie. Zanim się zorientowała,

leżała naga. Lance piśzczotami gasił jej protesty, rozpalał w niej ogień. Przestała się opierać, przestała walczyć. Zaczęła reagować, odwzajemniać pocałunki. Gniew wyparował, ustąpił miejsca szalonej namiętności.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wczesnym rankiem zaczęło padać, najpierw deszcz, a po południu śnieg. Foxy krążyła po domu, od czasu do czasu patrząc przez okno na wirujące w powietrzu płatki. Ziemia była jeszcze dość nagrzana, więc śnieg nie zalegał na chodnikach. Po prostu spadał, po czym znikał bez śladu. Nikt dziś nie ulepi bałwana, przemknęło jej przez myśl.

Obudziła się w pustym łóżku. Kiedy wstała, Lance'a nie było w domu. Wczoraj oboje przeżyli cały wachlarz emocji, od gniewu po pożądanie. Zatracili się w namiętności, w swoich pieszczotach i ciałach, ale kłopotów nie rozwiązali. Przykro jej

się zrobiło, kiedy rano zobaczyła pusty materac; w ciągu dnia jej smutek narastał.

Co się dzieje z moim małżeństwem, zastanawiała się, spoglądając przez okno. Przecież ledwo wzięliśmy ślub. Oparła łokcie na parapecie. Nie, nie pozwolę, żeby się rozpadło. Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Chwyciła słuchawkę, pewna, że dzwoni Lance.

- Halo?

- Cześć, Foxy. Co tam słyszać w wielkim świecie?

- Kirk? - Rozczarowanie szybko ustąpiło miejsca radości. - Och, jak dobrze słyszeć twój głos! - Przysiadła na kanapie. - Jak się czujesz? Przekonałeś lekarzy, żeby cię wypuścili do domu? Gdzie Pam?

- Poproszę o inny zestaw pytań - oznajmił z powagą.

Wybuchnęła śmiechem.

- Nic z tego. Żądam odpowiedzi, zwłaszcza na pierwsze pytanie. Jak się czujesz?

- Nieźle. Powoli wracam do zdrowia. Może wypiszą mnie za dwa lub trzy tygodnie, jeśli Pam zgodzi się przywozić mnie na terapię.

Nietrudno się było domyślić, że obrażenia, jakich doznał, nie wywarły na nim szczególnego wrażenia. Przypomniała sobie słowa Lance'a - ryzyko zawodowe - i przygryzła wargi.

- Podejrzewam, że się zgodzi - rzekła, siląc się na neutralny ton. Nie powiedziała mu, że się

o niego martwi. Nie chciałby tego słyszeć. - Pewnie się nudzisz, co?

- Z nudą skończyłem w zeszłym tygodniu - odparł ironicznie. - Teraz rozwiązuję krzyżówki. Doszedłem do takiej wprawy, że od razu wpisuję odpowiedzi długopisem.

- Pewności siebie nigdy ci nie brakowało. Może przysłać ci kredki i książeczki do kolorowania? - spytała niewinnie.

- Udam, że tego nie słyszałem. Znaj moje dobre serce. - Zignorował jej śmiech. - Lepiej opowiedz mi o Bostonie.

- Jestem zachwycona. - Wyjrzała za okno na spadające z nieba gęste płatki, które topniały po zetknięciu z ziemią. - W tej chwili pada śnieg... Pewnie zimą też jest tu pięknie.

- Pytając o Boston, miałem na myśli rodzinę Lance'a - wtrącił Kirk. - O pogodzie mogę sobie poczytać w gazecie.

- Matthewsowie są... hm... - zawahała się, szukając właściwego słowa, po czym wybuchnęła śmiechem. - Po prostu różnimy się. Czasem czuję się jak Guliwer; jakbym trafiła do świata olbrzymów lub liliputów, w których obowiązują całkiem inne reguły gry. No ale powoli się do siebie przyzwyczajamy, udało mi się nawet zaprzyjaźnić z paroma osobami. - Na wspomnienie Catherine Matthews mina jej zrzędła. - Niestety, mama Lance'a nieszczególnie mnie lubi.

- Poślubiłaś Lance'a, nie jego matkę - uważał Kirk. - Chyba moja mała siostrzyczka nie daje się wodzić za nos jakimś bostońskim ważniakom, co?

- Kto, ja? Przecież pochodzę ze środkowego zachodu, krainy twardzieli.

- Zawsze byłaś dzielna - powiedział ciepło.

- A jak się miewa Lance?

- Dobrze... Ale jest potwornie zajęty.

- Nic dziwnego; pochłania go praca nad nowym samochodem. Mówię ci, Fox, to będzie cudo.

- Nawet nie próbował ukryć podniecenia. - Nie mogę się doczekać, kiedy je w końcu zobaczę. Lance to prawdziwy geniusz.

- Serio? - spytała z zaciekawieniem.

- Nie sztuką jest wpaść na nowy pomysł. Sam wpadłem na kilka. Ale sztuką jest z niczego stworzyć coś. - Widać było, że podziwia talent Lance'a.

- Dziwne, bo Lance nie sprawia wrażenia człowieka, który lubi siedzieć przy stole kreślarskim.

- To facet o wszechstronnych talentach i zainteresowaniach. Powinnaś to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek.

Zamyśliła się, a po chwili uśmiechnęła.

- Masz rację. Dobrze, że mi o tym przypomniałeś. Swoją drogą to miło, że mój brat uważa mojego męża za geniusza.

- Jego zawsze bardziej pasjonowały samochody

niż wyścigi - dodał Kirk. - Co porabiasz? Jak się miewasz?

- Ja? W porządku. Powiedz Pam, że wywołałam już wszystkie zdjęcia i wyślę jej za dzień lub dwa.

- Foxy, czy jesteś szczęśliwa?

Usłyszała w jego głosie poważną nutę. Taką samą jak w głosie Pam, gdy zadała jej identyczne pytanie.

- No wiesz! - oburzyła się ze śmiechem. - Od ślubu minęło zaledwie parę tygodni!

- Foxy, nie żartuj, proszę.

- Kocham go, Kirk. Nie zawsze jest mi łatwo. I nie zawsze jest jak w bajce. Ale tu chcę być, w Bostonie, u boku Lance'a. Jestem szczęśliwa i jestem smutna. Przeżywam dziesiątki różnych emocji, ale tego właśnie pragnę.

- Dobrze. To chciałem usłyszeć. - Na moment zamilkł. - Prawdę mówiąc, dzwonię do ciebie z innego powodu. Pomyślałem sobie, że ciebie pierwszą powinienem zawiadomić...

Odczekała z dziesięć sekund. Dłużej nie wytrzymała.

- O czym?

- Poprosiłem Pam o rękę.

- Dzięki Bogu!

- Nie wydajesz się zaskoczona.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Kiedy ślub?

- Był godzinę temu.

- Co?

- No, wreszcie się zdziwiłaś - rzekł zadowolony. - Pam nie chciała czekać, aż będę normalnie chodził, więc wzięliśmy ślub tu w szpitalu. Dzwoniłem wcześniej do ciebie, ale nikt nie odbierał.

- Byłam w ciemni. - Podciągnęła kolana pod brodę. - Och, Kirk, tak się cieszę. Wprost nie mogę uwierzyć...

- Ja też nie. Pam jest wyjątkowa. Nie znam drugiej takiej kobiety.

Oczy Foxy zaszyły łzami.

- Możesz mi ją dać do telefonu?

- Wyszła podpisać umowę na mieszkanie. Po nowym roku przyjedziemy do Bostonu, muszę pilnować postępu prac nad nowym samochodem, ale dopóki nie skończę rehabilitacji, będziemy mieszkać w pobliżu szpitala.

- Rozumiem. - On się nigdy nie zmieni, pomyślała, zamykając oczy. Wszystko, co Lance mówił tamtego wieczora, jest prawdą. Kirk będzie się ścigał dopóty, dopóki mu zdrowie pozwoli. Nikt i nic go nie powstrzyma. Na wspomnienie kłótni z Lance'em ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Wzdychając cicho, przełożyła słuchawkę do drugiej ręki.

- Miło będzie was widzieć, chociażby do rozpoczęcia sezonu.

- Pojedziesz z nami do Europy?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Zdecydowanie nie.

- Pam podejrzewała, że tak powiesz. Słuchaj, Foxy, muszę kończyć, bo przyszedł rehabilitant. Uprzedź Lance'a, że przyjedziemy. Niech mrozi szampana. Oczywiście francuskiego.

- Uprzedzę - obiecała zadowolona, że brat nie draży tematu jej nieobecności na przyszłorocznych zawodach Formuły 1. - Dbaj o siebie.

- Będę. Kocham cię, mała.

- Ja ciebie też, braciszku.

Odłożywszy słuchawkę, objęła ramieniem kolana. Pogrążona w zadumie, obserwowała śnieg za oknem; płatki stawały się coraz mniejsze i rzadsze.

Już mnie nie potrzebuje, pomyślała nagle. Dziwne, ale wcześniej nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, że jest bratu potrzebna. A była, nawet jako dziecko. Osieroceni, potrzebowali się nawzajem. Może dlatego, że po śmierci rodziców zostali tylko we dwoje, że nie mieli żadnej innej rodziny. Wiedziała, że zawsze będzie istniała między nimi więź, teraz jednak w życiu Kirka pojawiła się Pam, a w jej - Lance. Oparłszy brodę na kolanach, zaczęła się zastanawiać, czy Lance jej potrzebuje. Owszem, kocha ją, pożąda jej, ale czy człowiek tak majątny i pewien siebie w ogóle kogokolwiek potrzebuje? Czy ona, Foxy, mogłaby wzbogacić jego życie? Miała nadzieję, że tak. Bardzo chciała, by tak było.

Nagle przeszył ją dreszcz. Podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach Lance'a. Czym prędzej

poderwała się na nogi. Kiedy ich oczy się spotkały, przemówienie, które szykowała od rana, wyleciało jej z głowy. Zaczęła obciągać bluzę. Żałowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej eleganckiego.

- Nie słyszałam, kiedy wróciłeś.

- Rozmawiałś przez telefon.

Nie była w stanie niczego wyczytać z jego spojrzenia. Czuła nerwowe klucie w żołądku.

- Tak. Z Kirkiem. - Przezcesała ręką włosy. Nie potrafiła ukryć napięcia.

Lance przyglądał się jej w milczeniu.

- Jak się czuje? - spytał, nie ruszając się z miejsca.

- Dobrze. Wspaniale. Dziś rano wzięli z Pam ślub.

Zaczęła krążyć po pokoju; to pogładziła palcem bezcenną porcelanową figurkę, to poprawiła kwiaty w wazonie.

- To cię cieszy? - spytał Lance, podchodząc do barku. Podniósł butelkę szkockiej, ale po chwili ją odstawił.

- Ogromnie. - Zamierzała przeprosić męża za wyrzuty, jakie mu wczoraj czyniła. - Lance, słuchaj, ja...

Kiedy się odwróciła, stał tuż za nią. Zaskoczona cofnęła się. Zdziwiło go jej zachowanie.

- Nie umiem przeproszać - rzekł, wsuwając ręce do kieszeni - ale powinienem. - Intensywnie wpatrywał się w jej oczy, jakby czegoś w nich

szukał, lecz sam nie zdradzał żadnych emocji.
- Przepraszam cię za to, co mówiłem, i za to, co się stało. Daję ci słowo honoru, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

Jego oficjalny ton zbił ją z tropu. Chciała mu tyle powiedzieć, ale nie potrafiła rozmawiać z tym uprzejmym obcym mężczyzną. Spuściwszy głowę, utkwiała spojrzenie w pięknym perskim dywanie.

- Nie dostanę rozgrzeszenia? - spytał cicho.

Podniosła wzrok. Na twarzy Lance'a zauważyła oznaki zmęczenia. Odruchowo pogładziła go po policzku.

- Zapomnijmy o kłótni, dobrze? Oboje mówiliśmy rzeczy, których nie powinniśmy byli mówić. Ja też nie lubię przepraszać...

Owinał wokół palca kosmyk jej włosów.

- Jesteś dziwną mieszanką kotka i tygryscy. Zapomniałem, jaka potrafisz być słodka i urocza. Kocham cię, Foxy.

- Lance! - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Tak strasznie za tobą tęskniłam. Obudziłam się rano, a ciebie już nie było. Dom wydał mi się taki pusty...

- Poszedłem do biura. - Wsunąwszy ręce pod bluzę żony, zaczął ją gładzić po plecach. - Mogłaś zadzwonić, jak się czułaś samotna.

- O mało nie zadzwoniłam, ale potem uznałam... - Westchnęła i szczęśliwa zamknęła oczy.
- Nie chciałam, żebyś pomyślał, że cię kontroluję.

- Głuptasie, przecież jesteś moją żoną.
 - Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłam. Poza tym nie wiem, co żonie wolno. Nie znam zasad...
 - Zasady sami ustalamy. - Pocałował ją czule w usta.
 - Mmm, wypijemy dziś szampana? - szepnęła mu do ucha.
 - Za Kirka i Pam? - Ponownie ją pocałował.
 - Najpierw za nas - odparła z uśmiechem. - Dopiero potem za nich.
 - Dobrze. A jutro pójdziemy do kina i kupimy sobie popcorn.
 - Och tak! - Twarz się jej rozpromieniła. - Na jakiś łązawy film. Albo na komedię. A potem pójdziemy na pizzę z pepperoni.
 - Co za wymagająca kobieta.
- Roześmiawszy się wesoło, zacisnął palce na jej dłoni. I nagle zeszywniał. Wyczuwając zmianę w jego nastroju, Foxy popatrzyła na ich złączone ręce; na swoich nadgarstkach zobaczyła fioletowe sińce.
- Należą ci się kolejne przeprosiny - oznajmił Lance tym samym tonem co na początku.
 - Przestań, błagam. Nic się nie stało.
 - Przeciwnie. Stało się. - Zdumiał ją chłód w jego głosie.
 - Nie cierpię, jak jesteś taki! - Nie potrafiąc sobie znaleźć miejsca, zaczęła krążyć po pokoju.
 - Taki uprzejmy i sztywny. Jeśli masz być zły, to

bądź, ale normalnie. Krzyknij, przeklnij, stłucz coś. Ale nie stój jak słup. Nienawidzę słupów.

- Foxy... - Kąciaki warg mu zadrżały. - Dlaczego wszystko tak bardzo komplikujesz?

- Ja niczego nie komplikuję. — Podniosła z kanapy poduszkę i cisnęła ją przez pokój. - Przeciwnie, staram się uprościć. Mam prostą naturę...

- Złożoną. Bardzo złożoną.

- Nie, nieprawda! - Tupnęła nogą, zła, że znów się nie mogą dogadać. - Ty niczego nie rozumiesz. - Odgarnęła z twarzy włosy. - Idę na górę.

Poszła do łazienki, odkręciła kran, nasypała do wanny różnych soli i ściągnęła ubranie. Co za kretyn, pomyślała, zanurzając się w pianie. A ja kretynka. Dobrana z nas para! Zaciskając gniewnie zęby, chwyciła gąbkę i zaczęła się szorować.

Tłumaczyła w myślach sobie: Muszę przestać go kochać. Muszę, bo inaczej całe życie będę zachowywać się jak idiotka.

Nagle w drzwiach łazienki pojawiła się głowa.

- Nie będę ci przeszkadzał? - spytał Lance, wchodząc do środka. - Chciałbym się ogolić.

Miał na sobie spodnie i koszulę; marynarkę zostawił w sypialni. Nie czekając na odpowiedź, otworzył szafkę nad umywalką.

- Postanowiłam, że będę cię nienawidzić - oznajmiła, patrząc, jak Lance rozprowadza po twarzy krem do golenia.

- Tak? - Jego oczy napotkały w lustrze jej wzrok. - Znowu?

Zirykowało ją, że się z niej śmieje.

- Owszem, znowu. Kiedyś mi się to udawało, teraz też się uda.

- Nie wątpię. - Przejechał maszynką po policzku. - Z wiekiem nabywamy doświadczenia.

Rozeźlona rzuciła w niego mokrą gąbką; trafiła między łopatki. Poczowała satysfakcję, a po chwili strach. Nie puści tego płazem, pomyślała. Lance odłożył maszynkę do golenia i podniósłszy z podłogi gąbkę, wolnym krokiem ruszył w stronę wanny. Nie, przecież mnie nie utopi, pomyślała z rosnącą obawą Foxy. Kiedy nerwowo rozważała swoje opcje, Lance usiadł na krawędzi wanny.

Bez słowa wrzucił gąbkę do wody. Foxy skierowała za nią wzrok. Zanim się zorientowała, czym to grozi, Lance położył rękę na jej głowie i wepchnął ją pod pianę. Wynurzyła się, plując i kaszląc. Mokre włosy lepiły się jej do ramion i policzków.

- Nienawidzę cię! - zawołała, przecierając oczy. - Będę pielęgnowała w sobie tę nienawiść, będę...

- Słusznie - przerwał jej. - Każdy powinien mieć jakieś hobby.

- Och ty!

Niewiele się zastanawiając, chlusnęła mu wodą w twarz. Zamarła z przerażenia, pewna, że za

moment spotka ją sroga kara. Ku jej zdumieniu, Lance zsunął się do wanny. W ubraniu. Poziom wody wzrósł, piana spłynęła na podłogę. Foxy zaczęła trząść się ze śmiechu.

- Brakuje ci piątej klepki, wiesz? - powiedziała. - Jesteś wariat! - Zaciśnęła ręce na krawędzi wanny. - Uważaj, bo mnie utopisz! - zawołała, kiedy przysunął ją do siebie i znów zaczęła dusić się ze śmiechu.

- Nie mam zamiaru cię topić. Mam zamiar się z tobą kochać. - Jedną ręką objął ją w talii, drugą delikatnie gładził po namydlonej piersi. - Skoro rzuciłaś we mnie gąbką, potem chlusnęłaś wodą... potraktowałem to jako zaproszenie do wspólnej zabawy.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem.

- Powinniśmy porozmawiać... - szepnęła, wzdychając błogo.

- Jutro. Jutro wszystko sobie wyjaśnimy. - Jego ręce błędziły po jej ciele. - Dziś pragnę się z tobą kochać. - Obsypał jej twarz setkami drobnych pocałunków. - Potem zabiorę cię na kolację, troszeczkę upiję i znów będziemy się kochać.

Nie miała nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Następnego ranka zeszła do ciemni później, niż miała w zwyczaju. Kiedy skończyła opisywać zdjęcia, zbliżała się jedenasta. Pakując odbitki do koperty, zaczęła rozmyślać o ostatnich paru miesiącach. Niemal czuła zapach benzyny, słyszała pisk opon i ryk silników. Uśmiechnąwszy się pod nosem, wróciła do rzeczywistości. Tamto już minęło.

Zakleiła kopertę, po czym przystąpiła do wywoływania ostatnich filmów. Od pewnego czasu w jej głowie kiełkował pomysł na album ze zdjęciami dzieci. Coraz bardziej się do niego zapalała. Instynkt jej podpowiadał, że niektóre zdjęcia są

wyjątkowe. Ale potrzebowała ich więcej. Tak, musi jeszcze pochodzić po parkach, odwiedzić kilka placów zabaw. Pracowała do wczesnego popołudnia. Wszystko wykonywała mechanicznie; jej myśli zaprzętał Lance.

Wczoraj spędzili razem upojną noc, ale nawet najlepszy seks nie rozwiązuje problemów. Głównie męczyła ją możliwość powrotu Lance'a na tor. Wiedziała, że muszą o tym spokojnie porozmawiać. Przycisnęła palce do oczu i wzięła głęboki oddech. Muszą. Nie mogą tego zostawić w zawieszeniu. Odkąd Lance oświadczył się jej w motelu przy torze Watkins Glen niewiele rozmawiali na poważne tematy. Czas najwyższy, aby poznali swoje oczekiwania i pragnienia.

Zamknięta w ciemni, w której paliło się tylko jedno czerwone światełko, przekładała zdjęcia z kuwety do kuwety. Patrząc ma wyłaniające się z nicości twarze, roześmiane, wystraszone lub zapłakane, twarze śpiących niemowlaków, pyzatyńskich szkrabów, zadziornych przedszkolaków, nagle uświadomiła sobie, czego sama chce. Chce mieć normalną rodzinę, dzieci, dom. Coś, czego dotąd nie miała. Dom z ogródkiem, kochającego męża, córkę, syna.

Czy Lance też tego pragnie? Zmarszczyła czoło. Chociaż znali się długo, nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Tak, porozmawiamy dziś wieczorem, obiecała sobie, wpatrując się w schnące odbitki. Musimy omówić bardzo wiele spraw.

Zerknęła na zegarek. Było wczesne popołudnie; miała jeszcze czas zrobić to, o co ją Pam prosiła. Zapakowawszy do torby potrzebny sprzęt, wyszła z ciemni i udała się na górę, by zadzwonić do biura Lance'a. Na drugim końcu linii usłyszała rześki głos sekretarki.

- Dzień dobry, Lindo. Mówi Cynthia Matthews. Czy zastałam Lance'a?

- Przykro mi. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość? A może ja mogłabym w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję... - zaczęła, po czym zmieniła zdanie. Chciała mieć to już z głowy. - A właściwie to tak. Lance pracuje nad nowym samochodem, który w przyszłym sezonie ma startować w wyścigach Formuły 1.

- Tak, tym dla pani brata.

- Właśnie. Chciałabym mu zrobić kilka zdjęć.

- Nie widzę problemu, tylko musi pani pojechać na tor. Pan Matthews udał się tam z całą ekipą, żeby przetestować samochód.

- Świetnie. - Chwyciła leżący przy telefonie ołówek. - Proszę mi podać adres. Nigdy tam nie byłam.

Pół godziny później dotarła na miejsce. Kiedy wysiadła ze swojego MG, wiatr zmierwił jej włosy. Nieopodal usłyszała ryk silnika. Przysłoniwszy ręką oczy, patrzyła, jak niski czerwony bolid śmiga wokół toru. W powietrzu unosił się zapach

rozgrzanej gumy i smarów. To się nigdy nie zmienia, pomyślała, zawieszając aparat na szyi. W grupie mężczyzn zauważyła Charliego. Lance'a nie było nigdzie widać.

Przystąpiła do pracy. Wybrała najlepsze miejsce, zmieniła obiektyw, potem zaczęła pstrykać. Jak błyskawica, pomyślała, obserwując wóz na zakręcie. Czerwona kula ognia. Kirk będzie zachwycony. Wyobraziła go sobie w kokpicie. Tak, to idealna dla niego maszyna. Wyprostowawszy się, odgarnęła włosy za uszy.

- Co, nie umiesz żyć z dala od toru?

Obejrzała się przez ramię.

- Nie umiem żyć z dala od ciebie, Charlie.

- Wyjęła mu z ust tłące się cygaro, po czym cmoknęła go w policzek.

- Żadnego szacunku dla starszych - mruknął, odbierając jej cygaro. - Jak tam? - Zmrużył oczy.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Starym zwyczajem potarła jego brodę.

- A u ciebie?

- Praca, praca i praca - mruknął, lekko czerwieniąc. - Przez twojego brata i męża nie mam chwili wytchnienia. Mogliby sobie znaleźć innego frajera.

- Nie mogliby. Jesteś najlepszy.

Wykrzywił w uśmiechu wargi.

- Założę się, że kiedy tylko skończymy pracę, zaraz pojawi się Kirk... - Na moment zamilkł,

kierując spojrzenie na tor. - Szkoda, że nie mamy dwóch takich egzemplarzy. Lance świetnie sobie radzi z tą maszyną.

Foxy zamierzała coś odpowiedzieć, kiedy nagle zrozumiała, co Charlie mówi. Samochód frunął po prostej. Poczowała, jak strach chwyta ją za gardło. Potrząsnęła głową, nie chcąc dopuścić do siebie prawdy.

- Lance... to on siedzi za kółkiem? - upewniła się cicho.

- Tak. Zachorował kierowca, który zwykle odbywa jazdę próbną.

Po chwili Charlie odszedł, zostawiając ją samą. Nie zwalniając, samochód pokonał zakręt i znów pruł po prostej. Foxy przygryzła wargę. Stała skamieniała ze strachu, a oczami wyobraźni widziała dziesiątki kolizji i karamboli, jakich była świadkiem w ciągu ostatnich lat. Nie, błagam, nie! - modliła się w duchu. Lance prowadził tak jak dawniej: z niesamowitą determinacją. Miał pełną kontrolę nad wozem. Zaczęła dygotać.

Wiedziała, że prędkość jest jak narkotyk, jak nałóg, od którego trudno się wyzwolić.

Nie była w stanie się ruszyć nawet wtedy, gdy samochód zaczął zwalniać. Patrzyła, jak Lance podejżdża do grupy mężczyzn, zdejmując z głowy kask, odpina pasy, wysiada z kokpitu, przeczesuje ręką włosy. Widziała to setki razy na setkach różnych torów. Paraliż zaczął ustępować; poczuła

dojmujący ból. Oddech miała urywany, nieregularny. Lance uśmiechał się do Charliego. Starszy mężczyzna wskazał coś ręką. Lance uniósł brwi i rozejrzał się wokół.

Odnalazł Foxy. Przez moment mierzyli się wzrokiem. Łzy napłynęły jej do oczu, zanim zdołała je powstrzymać. Przegrałam, pomyślała, przyciskając dłonie do policzków. Lance ruszył w jej stronę. Nie czekając, odwróciła się i pobiegła do samochodu. Wołał ją, lecz nie słuchała. Zatrzasnęła drzwi. Myślała tylko o tym, żeby uciec jak najdalej. Po chwili silnik zawarczał. Odjechała.

Paliły się już latarnie, kiedy skręciła w ulicę, przy której mieszkali. Samochód Lance'a stał przed domem, a nie w garażu. Zaparkowała za nim. W czasie tych dwóch godzin, jakie spędziła, jeżdżąc po mieście, uspokoiła się. Powoli wysiadła z MG i weszła po schodach prowadzących do domu. Zanim zdążyła nacisnąć klamkę, drzwi się otworzyły.

Przyglądał się jej uważnie, tak jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Serce zabiło jej mocniej. Czy ja kiedykolwiek przestanę go kochać? - spytała samą siebie. Znała odpowiedź. Nie, nigdy.

- Fox.

Wyciągnął do niej rękę. Zignorowała ją. Weszła do środka, postawiła na podłodze torbę z aparatami i nie zdejmując kurtki, udała się do salonu. Bez słowa nalała sobie kieliszek koniaku. Decyzję

podjęła w czasie dwugodzinnej jazdy po mieście, ale wykonanie tego, co postanowiła, nie było łatwe. Wypiła jeden łyk, potem drugi. Skrzywiła się; alkohol piekł ją w gardło.

- Zjrzałem do ciemni - powiedział Lance, z niepokojem spoglądając na jej blade policzki.
- Myślałem, że cię tam znajdę. - Wsunął ręce do kieszeni. - Widziałem suszące się zdjęcia. Są niesamowite. Ty jesteś niesamowita. Już wydaje mi się, że cię znam, a ciągle odkrywam w tobie coś nowego. - Chciałbym cię przeprosić za dzisiejsze popołudnie - dodał, gdy odwróciła się do niego twarzą.

- Nie. - Odstawiła kieliszek. - Już wcześniej mi powiedziałeś, że twoja praca nie ma ze mną nic wspólnego. - Napotkała jego spojrzenie. - Nie musisz mi nic tłumaczyć.

Postąpił krok bliżej.

- Dobrze. Powiedz mi więc, czego chcesz?

- Rozvodu. - Czuła ucisk w gardle; bała się, że za chwilę się rozpłacze. - Popełniliśmy błąd, Lance. Im szybciej go naprawimy, tym nam będzie łatwiej.

- Tak myślisz?

- Nie powinniśmy mieć problemów z otrzymaniem rozvodu - ciągnęła, unikając odpowiedzi na jego pytanie. - Na pewno masz prawnika, ja nie, więc lepiej, żebyś ty się tym zajął. Oczywiście niczego od ciebie nie oczekuję.

- Napijesz się jeszcze? - Zachowywał się, jakby nic się nie stało.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Poproszę - odparła.

Ciszę w pokoju zakłócił cichy brzęk szkła. Trzymając w ręce karafkę, Lance podszedł do żony i nalał jej drugi kieliszek koniaku. Wypiła łyk. Zakreśliło się jej lekko w głowie. Zaczęła się zastanawiać, czy powinni wznieść toast za rozwód.

- Nie - oznajmił Lance.

- Nie? - powtórzyła. Czyżby czytał w jej myślach?

- Nie, nie zgadzam się na rozwód. Ale może masz inne życzenia, które mógłbym spełnić?

Zdumiała ją jego bezczelność.

- Wynajmę adwokata. Uzyskam rozwód. - Odstawiła z hukiem kieliszek. - Czy ci się to podoba, czy nie.

- Będę walczył. - On również odstawił szklankę. - I wygram. - Wsunął palce w jej włosy. - Nie puszczę cię, Foxy. Nie pozwolę ci odejść. Chyba ci mówiłem, że jestem egoistą? - Zgarnął ją w ramiona. - Kocham cię i nie mam zamiaru żyć bez ciebie.

- Jak śmiesz? - Odepchnęła go. - Myślisz tylko o sobie! Nie obchodzą cię moje uczucia. W ogóle nie wiesz, co to miłość. - Szamotała się, lecz nie zdołała uwolnić się z jego objęć.

- Przestań, nie wrywaj się.

Wziął ją na ręce. Przymknęła powieki, wściekła z powodu własnej bezsilności.

- Puść mnie - wycedziła przez zaciśnięte zęby.
- Wysłuchasz mnie?

Chciała mu odmówić. Ledwo panowała nad gniewem.

- A mam wybór?
- Proszę cię.

Prośbę słyszała w głosie męża, widziała w jego oczach. Zrezygnowana, skinęła głową. Kiedy postawił ją na podłodze, odeszła do okna. Na niebo wytoczył się księżyc w pełni, który srebrzystym blaskiem oświetlał łysze drzewa i leżące na ziemi liście. Wyglądał przeraźliwie samotnie.

- Nie spodziewałem się ciebie na torze.

Roześmiawszy się gorzko, przytknęła czoło do szyby.

- Myślałeś, że to, czego nie wiem, nie sprawi mi bólu?

- W ogóle się nad tym nie zastanawiałem - przyznał. - Po prostu mam zwyczaj testować samochody. Dopóki cię nie zobaczyłem, nie przyszło mi do głowy, że tak cię to poruszy.

- W ostatnim czasie dokonałam pewnego odkrycia. - Zaczęła przemierzać salon. - Nie chcę być na drugim miejscu w twoim życiu. Chcę być na pierwszym. - Wzięła głęboki oddech. - Drugie zajmowałam w życiu Kirka, ale to był mój brat, nie mąż. Teraz dorosłam do czegoś innego; potrzebuję

stabilizacji. Ciągłe zmiany już mnie nie zadowalała. Możemy wyjeżdżać dziesięć razy w roku, ale chcę wracać do domu. Do naszego domu. Chcę stworzyć prawdziwą rodzinę, mieć męża, który będzie mnie kochał, dzieci.

Głos jej drżał, z trudem powstrzymywała łzy. Odwróciła się plecami do Lance'a i wzięła kilka głębokich oddechów.

- Kiedy zobaczyłam cię dziś w tym samochodzie... - przełknęła ślinę, i dopiero po chwili ciągnęła: - Nie umiem tego wytłumaczyć. Dosłownie sparaliżował mnie strach. Nie chcę dłużej tak żyć, w strachu i niepewności. Kocham cię i wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteśmy razem. Ale masz prawo mieć inne priorytety, a ja nie mam prawa wymagać, żebyś się zmienił. Kiedy jednak myślę o twoim powrocie na tor...

- Dlaczego miałabym wracać na tor? - zdumiał się.

Wzruszyła ramionami.

- Przecież powiedziałeś mi to tego dnia, kiedy Pam wygadała się o nowym samochodzie dla Kirka. I wiem, że to dla ciebie ważne.

- Myślisz, że mógłbym ci to zrobić? To cię gryzie? - Poszedł do Foxy i obrócił ją twarzą do siebie. - Już nie ciągną mnie zawody. Ale nawet gdyby ciągnęły, potrafiłbym z nich zrezygnować. Ze względu na ciebie. Bo widzę, ile to dla ciebie

znaczy. Nie rozumiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza?

Otworzyła usta, ale nim zdołała cokolwiek powiedzieć, Lance kontynuował:

- Może nie powinienem się dziwić. - Delikatnie pogładził ją po ramionach. - Wykorzystując wypadek Kirka, właściwie zmusiłem cię do małżeństwa. Nie, nie przerywaj... Pragnąłem cię, a ty byłaś taka zagubiona. Bałem się, że mi uciekniesz, więc szybko załatwiłem ślub i wywoziłem cię do Bostonu. Nie miałaś sukni z welonem, tortu, przyjęcia weselnego... Obiecałem sobie, że wszystko ci potem wynagrodzę.

- Lance - przerwała mu. - Nie zależało mi na torcie ani weselu.

Uniósł jej palce do ust.

- Skręcałem się z zazdrości, kiedy okazało się, że spędziłaś popołudnie w parku z Jonathanem. To ja powinienem być tam z tobą. - Pokręcił głową.

- Dlaczego człowiek bywa czasem taki głupi? Przecież kocham cię od dziesięciu lat...

- Co takiego? - Osunęła się na fotel. - Co powiedziałeś?

Uśmiechnął się smutno.

- Gdybym od razu ci wszystko wyjaśnił, może uniknęlibyśmy wielu nieporozumień. Nie pamiętam, kiedy się w tobie zakochałem, ale na pewno było to dawno temu. Zwariowałem na twoim punkcie.

- Dlaczego... dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie żartuj. Byłaś dzieckiem, dziewczynką o cudownych oczach i dźwięcznym śmiechu, a ja byłem dorosłym facetem. - Przeczesał ręką włosy. - W dodatku Kirk był moim najlepszym przyjacielem. Gdybym cię dotknął, chyba by mnie zabił. I miałyby rację. Tamtego wieczoru w La Mans, kiedy cię przytrzymałem, żebyś nie upadła... tak strasznie cię pragnąłem. Zachowałem się nieprzyjemnie, bo chciałem cię zrazić do siebie. Bałem się, że mogę stracić nad sobą kontrolę. - Podszedł do barku i podniósł kieliszek, który odstawiła niedopity. - Wiedziałem, że muszę uzbroić się w cierpliwość, dać ci czas, żebyś dorosła i odkryła, czego chcesz od życia. Sześć lat... tyle czasu się nie widzieliśmy. Właśnie w tym okresie wprowadziłem się do tego domu i zająłem projektowaniem samochodów wyścigowych. - Utkwił wzrok w Foxy. - To miejsce czekało na ciebie. Z żadną inną kobietą nie kochałem się w tym domu. - Spojrzenie mu spochmurniało. - Kochanie, kobiety, z którymi się spotykałem, były namiastką ciebie, marnym substytutem. Pragnąłem ich, ale nie kochałem. Kochałem tylko ciebie, tylko ciebie potrzebowałem.

Przez moment nie była w stanie wydobyć głosu.

- I wciąż mnie potrzebujesz?

- Jak powietrza. - Pogładził ją po policzku.

- Zależy mi na tobie. Z każdym dniem, z każdą godziną i minutą stajesz się dla mnie coraz ważniejsza.

Rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Co jak co, ale nuda nam nie zagraża.

- Dwie silne indywidualności... czasem musi dochodzić między nami do śpięć.

- Ale potem będziemy się godzić. Boże, Lance, jak ja cię strasznie kocham. Te lata przerwy nie osłabiły moich uczuć. Pocałuj mnie... całuj mnie do utraty tchu.

Zanim skończyła mówić, pochylił się i spełnił jej żądanie.

- Foxy... - Uniósł głowę.

- Nie, jeszcze oddycham. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Dlaczego jesteśmy tacy durni? Dlaczego nie mówimy wprost tego, co czujemy?

- Po prostu nie mamy doświadczenia. - Potarł nosem o jej nos. - Uczymy się.

- Lubię być twoją żoną, wiesz?

- Mojej żonie należy się podróż poślubna. Dlatego tyle czasu spędzałem w biurze. Żeby z czystym sumieniem wziąć sobie dwa tygodnie urlopu. Dokąd chcesz jechać?

- Mogę wybrać dowolne miejsce?

- Dowolne.

- To nigdzie. - Wsunęła ręce pod sweter męża.

- Tu mi się podoba. Wspaniała kuchnia, piękne widoki, cudowne towarzystwo. - Po omacku od-

nalazła telefon i podała Lance'owi słuchawkę. - Zadzwoń do pani Trilby i powiedz jej, że ma dwa tygodnie wolnego, bo lecimy... hm, na Fidżi. Zabarykadujemy się, wyłączymy telefon, nikomu nie będziemy otwierać drzwi.

- Poślubiłem bardzo mądrą kobietę. - Opuścił słuchawkę na podłogę. - A do pani Trilby zadzwonię później... - Delikatnie pocałował Foxy w usta. - Coś mówiłaś o dzieciach?

- Mówiłam. - W jej oczach pojawiły się wesołe isierki.

- A konkretnie o ilu?

- Konkretnie to się jeszcze nie zastanawiałam.

- To może zaczniemy od jednego i zobaczymy, jak nam pójdzie?

- Doskonały pomysł - odrzekła cichym głosem.

KONIEC